

JACK REACHER

**LEE
CHILD**

ANDREW CHILD

LEPIEJ JUŻ UMRZEĆ



**NOWOŚĆ
2022**

ALBATROS

**LEE
CHILD**

ANDREW CHILD

LEPIEJ JUŻ UMRZEĆ

Z angielskiego przetoczył
Jan Kraśko

ALBATROS
Wydanie elektroniczne

**CI, KTÓRZY WEJDĄ JACKOWI REACHEROWI W DROGĘ,
WCZEŚNIEJ CZY PÓŹNIEJ BĘDĄ MUSIELI SIĘ PRZEKONAĆ, ŻE...
LEPIEJ JUŻ UMRZEĆ.**

Kiedy obudził się tego dnia, nie planował troszczyć się o to, by grabarzom nie zabrakło pracy. Nie miał też w planach spędzenia nocy w kostnicy... jako trup. Nie zamierzał również zatrzymywać się w miasteczku w Arizonie, które czasy świetności już dawno miało za sobą. Zresztą w ogóle się tam nie wybierał. Cały Reacher – zmierza tam, dokąd prowadzi go wzrok albo dokąd go podwiozą.

Na drodze pod Los Gemelos na granicy z Meksykiem spotyka Michałę Fenton, która urządza zasadzkę na ludzi tajemniczego Dendonckera – miejscowego wcielenia zła. Michaela, była agentka FBI, musi do niego dotrzeć, by dowiedzieć się, co się stało z jej bratem. I prosi Reachera o pomoc. Ten nie ma ochoty odgrywać roli rycerza na białym koniu – woli chodzić pieszo albo jeździć autostopem – i pakować się w kłopoty. Ale po pierwsze, zaczyna lubić tę dzielną kobietę. A po drugie, zdaje sobie sprawę, że nie chodzi tylko o uratowanie jej brata, lecz być może także setek, a nawet tysięcy istnień ludzkich.

Jack Reacher: CV

Imiona i nazwisko:

Jack Reacher
(drugiego imienia nie ma)

Narodowość:

Amerykańska

Urodzony:

29 października 1960 roku

Charakterystyczne dane:

195 cm; 99-110 kg; 127 cm w klatce piersiowej

Ubranie:

Kurtka 3XLT, długość nogawki mierzona od kroku 95 cm

Wykształcenie:

Szkoły na terenie amerykańskich baz wojskowych w Europie i na Dalekim Wschodzie; Akademia Wojskowa West Point

Przebieg służby:

13 lat w żandarmerii armii Stanów Zjednoczonych; w 1990 zdegradowany z majora do kapitana, zwolniony do cywila w randze

majora w 1997 roku

Odnaczenia służbowe:

Wysokie:

Srebrna Gwiazda, za wzorową służbę Service Medal, Legia Zasługi

Ze środkowej półki: Soldier's Medal, Brązowa Gwiazda, Purpurowe

Serce

Z dolnej półki:

„Junk awards”

Matka:

Josephine Moutier Reacher, ur. 1930 we Francji, zm. 1990

Ojciec:

Żołnierz zawodowy, korpus piechoty morskiej, służył w Korei i Wietnamie... zm. 1988

Brat:

Joe, ur. 1958, zm. 1997;

5 lat w wywiadzie armii Stanów Zjednoczonych; Departament Skarbu

Ostatni adres:

Nieznany

Czego nie ma:

Prawa jazdy; prawa do zasiłku federalnego; zwrotu nadpłaconego podatku; dokumentu ze zdjęciem; osób na utrzymaniu

LEE CHILD

Pisarz brytyjski, od 1998 mieszkający w Nowym Jorku. W 2009 wybrany prezesem stowarzyszenia Mystery Writers of America. Kształcił się na prawnika, potem pracował w teatrze i telewizji Granada. Zwolniony po 18 latach z pracy w wyniku restrukturyzacji, zainwestował we własną karierę literacką. W 1997 ukazała się jego pierwsza powieść – *Poziom śmierci*. Książka zdobyła nagrodę Anthony Award za najlepszy debiut kryminalny i zapoczątkowała serię thrillerów ze wspólnym bohaterem, byłym żandarmem wojskowym Jackiem Reacherem, m.in.: *Echo w płomieniach*, *Siła perswazji*, *Jednym strzałem*, *Elita zabójców*, *Nic do stracenia*, *Jutro możesz zniknąć*, *61 godzin*, *Czasami warto umrzeć*, *Ostatnia sprawa* i *Poszukiwany*. Książki Childa publikowane są w 43 krajach. W grudniu 2012 miała miejsce premiera filmu *Jack Reacher* z Tomem Cruise'em w roli głównej, opartego na powieści *Jednym strzałem*. Tom Cruise ponownie wcielił się w Reachera w adaptacji *Nigdy nie wracaj*.

Dla Jane i Tashy

1

Zajął pozycję pod latarnią o jedenastej wieczorem, zgodnie z umową.

Latarnię znalazł bez trudu, tak jak mu powiedziano. Stała na samym końcu kompleksu, niecałe dwa metry od wystrzępionej metalowej siatki, która oddzielała Stany Zjednoczone od Meksyku i jako jedyna wciąż się paliła.

Przyszedł sam. Nieuzbrojony.

Zgodnie z umową.

Samochód pojawił się dwie minuty później, w przejeździe między równoległymi rzędami garaży. Garaże też były metalowe. Wypaczone przez słońce dachy, wyszorowane przez piasek ściany. Pięć garaży po prawej stronie. Cztery po lewej. A trzy metry dalej szczątki jeszcze jednego, skorodowanego i rozwalonego, jakby przed laty coś w nim wybuchło.

Samochód miał jaskrawe światła, więc trudno było rozpoznać markę i model. I zobaczyć, kto nim jedzie. Zatrzymał się cztery i pół metra od latarni, przez chwilę kołysał się na dobitych resorach i w końcu osiadł na nich w chmurze piaszczystego pyłu. Otworzyły się przednie drzwi. Lewe i prawe. Wysiadło dwóch mężczyzn.

Niezgodnie z umową.

Po chwili otworzyły się tylne. I wysiadło jeszcze dwóch.

Nie tak się umawiali. Zdecydowanie.

• • •

Mężczyźni zmierzili wzrokiem wielkoluda stojącego pod latarnią. Uprzedzono ich, że facet będzie duży, a nie ulegało wątpliwości, że ten taki jest. Metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu. Sto piętnaście kilogramów wagi. Pierś jak szafa pancerna, ręce jak łyżki do koparki. Robił wrażenie niechluj. Miał rozczochrane grube, szorstkie włosy, kilkudniowy zarost i był w źle dopasowanym tanim ubraniu. Za to w całkiem porządnym butach. Jak coś w rodzaju formy pośredniej między włóczęgą a neandertalczykiem. Nikt, kogo ktoś będzie szukał.

Kierowca, pięć centymetrów niższy i dwadzieścia pięć kilogramów lżejszy od tego pod latarnią, zrobił krok do przodu. Był w czarnych dżinsach, czarnym podkoszulku bez rękawów i czarnych wojskowych butach. Choć miał ogoloną głowę, ukrywał twarz pod pełną brodą. Dołączyła do niego pozostała trójka.

– Masz kasę? – rzucił.

Rozczochrane włóczęga poklepał się po tylnej kieszeni spodni.

– Dobra. – Kierowca wskazał samochód. – Na tylne siedzenie. Wskakuj.

– Po co?

– Zawiozę Cię do Michaela.

– Nie tak się umawialiśmy.

– Jak nie tak, jak tak?

Wielkolud pokręcił głową.

– Miałeś mi powiedzieć, gdzie on jest.

– Powiedzieć, pokazać. Co to za różnica?

Włóczęga milczał.

– No? Na co czekasz? Dawaj kasę i wskakuj.

– Umowa to umowa. Chcesz kasę, powiedz, gdzie jest Michael.

Kierowca wzruszył ramionami.

– Umowa się zmieniła. Jedziesz albo spadasz.

– No to spadam.

– Dość tego pieprzenia. – Kierowca sięgnął za siebie i wyjął zza paska pistolet. – Wsiadaj.

- Od początku nie zamierzaliście mnie do niego zawieźć.
- Co Ty powiesz, Sherlocku!
- Chcieliście mnie zawieźć gdzie indziej. Do kogoś, kto ma wielką ochotę o coś mnie spytać...
- Dość gadania. Do samochodu.
- Co znaczy, że nie możesz mnie zastrzelić.
- Co znaczy, że nie mogę Cię zabić. Na razie. Ale w każdej chwili mogę Cię postrzelić.
- Naprawdę? – spytał wielkolud.

• • •

Naoczny świadek zeznałby, że włączęga prawie się nie poruszył, mimo to w ułamku sekundy udało mu się zmniejszyć dzielącą ich odległość, chwycić kierowcę za nadgarstek i podnieść mu rękę. Podniósł ją aż nad głowę, gwałtownym szarpnięciem, jak dumny rybak, który wyciąga z morza wielką rybę. Zadarł ją tak wysoko, że kierowca musiał stanąć na palcach. A potem lewą pięścią grzmotnął go w bok. Mocno – taki cios powaliłby każdego – i bardzo długo trzymał go w pozycji horyzontalnej. Tyle tylko, że kierowca nie upadł. Nie mógł. Bo wisiał w powietrzu. Bo ziemia umknęła mu spod nóg. Upuścił pistolet. Miał zwichnięte ramię. Maksymalnie napięte ścięgna. Pęknięte żebra. Doznał mnóstwa paskudnych urazów, z których każdy coraz bardziej go osłabiał. Ale on prawie tego nie zauważał, ponieważ cała górna część jego ciała zwijała się z bólu promieniującego z jednego miejsca, punktu leżącego poniżej pachy, gdzie tuż pod skórą kryła się płatanina nerwów i węzłów chłonnych zmiażdżonych potężnymi kłykciami wielkoluda.

A ten podniósł z ziemi pistolet i zaniósł kierowcę do samochodu. Nie zważając na jęki ciężko sapiącego i skrzęcającego się z bólu mężczyzny, położył go na zmatowiałej masce i spojrzął na trzech pozostałych.

- Lepiej odejdźcie – powiedział. – Dopóki macie okazję.

Z szeregu wystąpił ten stojący w środku. Mniej więcej tego samego wzrostu co kierowca, może odrobinę szerszy w ramionach. Krótko ostrzyżony i bez brody, na szyi miał trzy grube srebrne łańcuchy.

– Miałeś fart – rzucił z jadowitym uśmieszkiem. – Ale to się już nie powtórzy. Wsiadaj do samochodu, bo zrobimy Ci krzywdę.

– Serio? Wy też?

Włóczęga nie drgnął z miejsca. Widział, jak tamci wymieniają płochliwe spojrzenia. Pomyślał, że jeśli są sprytni, postawią na taktyczny odwrót. A jeśli są naprawdę dobrzy, zaatakują razem. Najpierw jeden spróbuje zająć go od tyłu, udając, że chce sprawdzić, co z kierowcą. Albo że zrezygnował z walki i woli wsiąść do samochodu. A nawet uciec. A dwóch pozostałych zostanie, żeby odwrócić od niego uwagę. I kiedy tamten zajmie już właściwą pozycję, rzucą się całą trójką. Jednocześnie, z trzech stron naraz. Jeden na pewno oberwie. Może dwóch. Ale trzeci może mieć szansę. I znaleźć jakąś lukę. Pod warunkiem że będzie umiał ją wypatrzeć i wykorzystać.

Tyle że nie byli sprytni. Ani dobrzy w swoim fachu. Nie wycofali się. Nie spróbowali go okrążyć. Nie zrobili nic, zdając się najwyraźniej na tego z łańcuchami na szyi, który sam jak palec podszedł jeszcze bliżej i przyjął pozycję rodem ze sztuk walki. Wydał przenikliwy pisk. Zamarkował cios w twarz. A potem wyprowadził cios właściwy, w splot słoneczny. Olbrzym odparował go zewnętrzną stroną lewej ręki, a prawą uderzył w biceps, wysuniętym kłykiem środkowego palca. Napastnik przeraźliwie krzyknął i odskoczył do tyłu z przeciążonym nerwem pachowym i chwilowo bezużyteczną ręką.

– Lepiej odejść – powtórzył wielkolud. – Bo zrobisz sobie krzywdę.

Mężczyzna skoczył do przodu. Tym razem nie próbował niczego markować. Po prostu skręcił się jak sprężyna i wyprowadził zamasysty cios zdrową ręką. Włóczęga odchylił się do tyłu, odprowadził wzrokiem przelatującą tuż obok pięść, po czym wbił sterczący kłykiec w jego mięsień trójgłowy. Obie ręce napastnika były teraz wyłączane z walki.

– Odejść – rzucił po raz trzeci wielkolud. – Dopóki możesz.

Ale tamten nie odszedł. Podniósł prawą nogę. Najpierw udo, potem stopę. Błyskawicznie, z potężną siłą. Celował w krocze, lecz cios nie dosięgnął celu, ponieważ olbrzym zablokował go kopniakiem. Bardzo podstępny. Prostym i niskim. Trafił w goleń w chwili, gdy noga przeciwnika osiągnęła maksymalną prędkość. Kość kontra czubek buta. Buty olbrzyma. Jedyna przyzwoita rzecz, jaką miał. Kupione przed laty w Londynie. Kilka warstw skóry, kleju i pasty. Zahartowanych przez czas i żywioły. Twardych jak stal.

Tamtemu pękła kość. Przerażliwie krzyknął i odskoczył do tyłu. Stracił równowagę i nie mógł jej odzyskać bez pomocy rąk. Dotknął stopą ziemi. Końce kości zetknęły się w miejscu pęknięcia. Zazgrzytały. Całą nogę zalała fala bólu. W ogniu stanęły wszystkie nerwy. Organizm nie mógł tego znieść i napastnik stracił przytomność. Utrzymał się na nogach jeszcze pół sekundy, po czym runął na plecy jak powalone drzewo.

Pozostałych dwóch ruszyło do samochodu. Minęli przednie drzwi, minęli tylne. Przystanęli. Odskoczyła kłapa bagażnika i jeden zniknął z pola widzenia. Ten niższy. Po chwili ukazał się ponownie. W rękach miał coś, co wyglądało jak dwa kije baseballowe, tyle że dłuższe. Grubsze i bardziej kwadratowe na końcach. Trzonki do siekiery. W sprawnych rękach bardzo skuteczne narzędzie. Podał jeden kumpłowi, wyszli z samochodu i przystanęli półtora metra przed wielkoludem.

– A gdybyśmy tak połamali Ci nogi? – Ten wyższy oblizał usta. – Wciąż mógłbyś gadać, ale chodzić już nie, chyba że o lasce. Dlatego przestań z nami pogrywać i wsiadaj. Szybko.

Olbrzym nie widział potrzeby kolejnego ostrzeżenia. Od początku stawiał sprawę bardzo jasno i uczciwie. To oni postanowili podnieść stawkę.

Ten niższy chciał wziąć zamach, lecz zrezygnował. Inicjatywę przejął jego kumpel. On zamach wziął. Potężny, wsparty ciężarem całego ciała. Co z tego rodzaju bronią jest bardzo złą techniką. Poważnym błędem. Bo wystarczyło, że włóczęga zrobił krok do tyłu, i koniec ciężkiego drewnianego trzonka przeleciał ze świstem kilka centymetrów od jego

brzucha i szerokim łukiem poszybował dalej – miał za duży impet, żeby mężczyzna mógł go zatrzymać. Poza tym napastnik ścisnął go obiema rękami, odsłaniając tym samym głowę. I tułów. Oraz kolana. Cały wachlarz kuszących celów, dostępnych i zupełnie niechronionych. Każdego innego dnia wielkolud mógłby wybierać i przebierać, lecz tym razem nie miał na to czasu, ponieważ jego przeciwnik zdołał się chwilowo wywinąć. Dzięki swojemu niższemu kumplowi, który postanowił posłużyć się trzonkiem jak włócznią i dźgnąć włóczęgę w brzuch. Pierwsze dźgnięcie było za krótkie i miało jedynie odwrócić jego uwagę. Drugim chciał go odstraszyć, odeprzeć. A potem skoczył do przodu. Postawił wszystko na jedną kartę i mógłby wygrać, gdyby natychmiast przystąpił do ataku. Gdyby nie zdradził swoich zamiarów, zapierając się mocno jedną nogą o ziemię. Dlatego zanim wyprowadził kolejne dźgnięcie, wielkolud wiedział już, co się szykuje. Szybko przesunął się w bok. Chwycił trzonek w połowie jego długości. I szarpnął. Mocno. Napastnik poleciał do przodu i dopiero po dobrym metrze zorientował się, w jakie wpadł tarapaty. O wiele za późno. Jego los był już przesądzony. Włóczęga wyrwał mu trzonek z rąk, wziął potężny zamach i grzmotnął go prosto w głowę. Mężczyzna przewrócił oczami. Zwiotczał, nogi się pod nim ugięły i upadł bezwładnie na ziemię. Nie ulegało wątpliwości, że prędko nie wstanie.

Ten wyższy zerknął w dół. Zobaczył, w jakim stanie jest jego kumpel. I też się zamachnął, tyle że z drugiej strony, celując w głowę. Zamach bardziej morderczy niż ten poprzedni, bo podsycany chęcią zemsty, a może nadzieją na przeżycie. I spudłował. Znowu. I znowu się odsłonił. Lecz tym razem uratowało go coś innego. Jako ostatni z czwórki napastników stał jeszcze na nogach. Był jedynym dostępnym źródłem informacji. Miał teraz wartość strategiczną. Dzięki czemu dostał szansę na kolejny zamach, którą skwapliwie wykorzystał. Wielkolud odparował cios, lecz napastnik nie zaniechał ataku. Przeciwnie, zaczął wymachiwać trzonkiem w lewo i w prawo jak oszalały drwal. Wyprowadził kilkanaście ciosów i w końcu opadł z sił.

– Pieprzyć to. – Rzucił trzonek. Sięgnął za siebie. I wyjął pistolet. – Sram na Wasze pogaduszki. I na to, żeby wziąć Cię żywcem.

Zrobił dwa kroki do tyłu. Powinien był zrobić trzy. Nie wziął pod uwagę długości rąk przeciwnika.

– Po co ten pośpiech? – Włóczęga lekko machnął trzonkiem i pistolet pofrunął jak ptak. Wielkolud podszedł bliżej i chwycił mężczyznę za szyję. – Sam nie wiem, może jednak się przejedziemy. Bo ja też mam kilka pytań. Mógłbyś na przykład...

– Stój!

To był kobiecy głos. Pewny siebie. Rozkazujący. Dochodził z cienia pod prawym rzędem garaży. Na scenie wydarzeń pojawił się nowy aktor. Włóczęga przyszedł tu o ósmej, trzy godziny przed czasem, i przeszukał każdy centymetr kwadratowy kompleksu. Był przekonany, że teren jest zupełnie czysty.

– Puść go. – Z ciemności wychynęła niewyraźna sylwetka. Kobieta. Metr siedemdziesiąt pięć wzrostu. Szczupła. Lekko utykająca. W jej wyciągniętych przed siebie rękach dostrzegł kształt czarnego, matowego pistoletu. – Odsuń się.

Zastygł w bezruchu. Nie zwolnił uścisku.

Kobieta zawahała się. Między nią i nim tkwił jeden z napastników. W fatalnym miejscu. Ale był piętnaście centymetrów niższy od włóczęgi. I stał trochę z boku. Co podsunęło jej cel. Kawałek piersi wielkoluda. Prostokąt o wymiarach piętnaście na dwadzieścia pięć centymetrów. Doszła do wniosku, że jest całkiem spory. I znajduje się mniej więcej tam, gdzie trzeba. Wzięła głęboki oddech. Łagodnie wypuściła powietrze. I pociągnęła za spust.

Olbrzym upadł na plecy. Z szeroko rozłożonymi rękami, zgiętym kolanem i głową zwróconą w stronę granicznej siatki. Leżał zupełnie nieruchomo, w rozdartej, obszarpanej koszuli. Choć nie doszło do rozprysku tętniczego, pierś miał śliską, mazistą i czerwoną. Nie biło mu serce. Nie wykazywał żadnych oznak życia.



Schludny, starannie wypielęgnowany plac, zwany teraz rynkiem, porastały kiedyś drzewa. Orzechowce. Rosły tam spokojnie od wielu stuleci. W latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku pewien handlarz kursujący regularnie między Meksykiem i Kalifornią przystawał w ich cieniu, aby dać odpocząć mułom. Ponieważ zagajnik bardzo mu się podobał, zbudował tam chatę. A gdy był już za stary na handlową włośćkę, sprzedał muły i osiadł tam na stałe.

W jego ślady poszli inni. Wokół chaty wyrosła wioska. Wioska zmieniła się w miasto. Rozrastające się zachłannie miasto podzieliło się na pół niczym komórka. Obie połowy kwitły. Jedna na południu. Druga na północy. Przeżyły wiele lat stabilnego rozwoju. Aż nadeszła stagnacja. A potem upadek. Smutny, powolny i niepowstrzymany. I nagle, pod koniec lat trzydziestych dwudziestego wieku, miasta otrzymały nieoczekiwany zastrzyk wzmacniający. Zawitała tam armia mierniczych. Potem armia robotników. Budowlańców. Inżynierów. Pojawili się nawet artyści, malarze i rzeźbiarze. Wszystkich przysłała WPA*, rządowa organizacja nadzorująca program pracy dla bezrobotnych.

Miejscowi nie wiedzieli, dlaczego wybrano akurat to miasto. Niektórzy twierdzili, że przez pomyłkę. Że jakiś biurokrata źle zinterpretował odgórne polecenie i przekazał środki nie tam, gdzie trzeba. Inni utrzymywali, że ktoś ze stolicy wisiał przysługę burmistrzowi. Ale bez względu na to, jak było naprawdę, nikt nie zaprotestował. Bo jak mógł protestować, skoro zaczęto budować nowe drogi? Nowe mosty i wszelkiego rodzaju gmachy. Projekt kontynuowano przez wiele lat. Pozostawił po sobie trwałe ślady. Tradycyjne łuki budowane z suszonej na słońcu cegły przybrały trochę bardziej kanciasty kształt. Otynkowane fasady domów stały się trochę bardziej jednolite. Ulice trochę bardziej uporządkowane. Przybyło też sporo różnych udogodnień. Szkół. Biur. Remiz strażackich. Zbudowano posterunek policji. Gmach sądu. Muzeum. I centrum medyczne.

Państwowe pieniądze z czasem się skończyły i po latach liczba mieszkańców spadła. Część obiektów się zestarzała. Część sprzedano. Inne zburzono. Ale centrum medyczne przetrwało i wciąż było głównym źródłem zdrowia dla ludzi mieszkających w promieniu wielu kilometrów od miasta. Mieścił się tam gabinet lekarski. Apteka. Szpital na dwadzieścia cztery łóżka. Pawilon pediatryczny z hotelem dla rodziców, którzy nie chcieli rozstawać się z chorymi dziećmi. A dzięki hojności planistów Nowego Ładu – nawet kostnica. Ukryto ją dyskretnie w podziemiach. I to właśnie tam pracował doktor Houllier następnego dnia rano.

Miał siedemdziesiąt dwa lata. I całe życie służył miastu. Kiedyś należał do liczego zespołu medycznego, a teraz był tu jedynym lekarzem. Odpowiadał dosłownie za wszystko, od odbierania porodów, po leczenie kataru i diagnozowanie raka. Zajmował się również zmarłymi. Dlatego tak wcześnie przyszedł do pracy. Był na nogach od świtu, odkąd zawiadomiono go telefonicznie o strzelaninie na przedmieściach miasta. Takie coś na pewno przyciągnie uwagę. Wiedział o tym z doświadczenia. Spodziewał się gości. I to już wkrótce. Musiał się przygotować.

Na jego biurku stał komputer. Wyłączony, ponieważ doktor wolał sporządzać notatki odręcznie. Dzięki temu lepiej wszystko zapamiętywał. Pomocny był przy tym specjalny formularz, który doktor osobiście zaprojektował. Nie należał do zbyt wyszukanych, lecz spełniał swoje zadanie. Był dużo lepszy od tych, które próbowały mu wcisnąć cudowne dzieciaki z Doliny Krzemowej. I co ważniejsze w tej szczególnej sytuacji, nie pozostawiał po sobie śladów elektronicznych. Doktor usiadł, podniósł pióro wieczne marki Mont Blanc – prezent od ojca z okazji ukończenia studiów – i zaczął spisywać rezultaty porannej pracy.

• • •

Nie było pukania do drzwi. Nie było powitania. Nie było żadnych uprzejmości. Po prostu otworzyły się drzwi i do kostnicy wszedł męż-

czynna. Ten sam co zawsze. Czterdzieści kilka lat, mocno kręcone włosy, jasnobrązowy lniany garnitur. Chodził sprężystym krokiem, dlatego doktor Houllier nazywał go w duchu Żwawym. Nie znał jego nazwiska. I nie chciał go znać.

Żwawy zaczął od końca pomieszczenia. Od chłodni. Albo „spizarni”, jak nazywał ją doktor po latach zajmowania się trupami. Spizarnia składała się z pięciu komór zabezpieczonych stalowymi drzwiami. Żwawy podszedł do niej i uważnie obejrzał wszystkie dźwignie. Ale żadnej nie dotknął. Nigdy ich nie dotykał. Potem przystanął przy stole autopsyjnym na środku sali i przyjrzał się rzędowi stalowych wózków stojących pod ścianą obok autoklawu. W końcu podszedł do biurka.

– Telefon. – Wyciągnął rękę.

Houllier podał mu komórkę.

Mężczyzna w lnianym garniturze sprawdził, czy aparat nie ma włączonego dyktafonu, schował go do kieszeni i odwrócił się do drzwi.

– Czysto! – zawołał.

Wtedy do kostnicy wszedł ten drugi. Doktor nazywał go Modliszką, ponieważ ilekroć widział jego długie, chude kończyny, kanciasty tułów i wyłupiaste oczy, zawsze stawał mu przed oczami ten właśnie owad. Tym bardziej że mężczyzna miał na policzku dużą, trójkątną bliznę po oparzeniu, a u prawej ręki brakowało mu trzech palców, co sprawiało, że jego dłoń przypominała szczypcę. Houllier znał jego imię i nazwisko. Waad Dendoncker. Wszyscy mieszkańcy miasta je znali, nawet Ci, którzy nigdy nie mieli z nim do czynienia.

Za Dendonckerem wszedł trzeci, trochę podobny do Żwawego. Wolał jednak ciemniejsze garnitury i jego włosy nie były tak kręcone. Twarz miał tak nijaką i poruszał się w tak bezpłciowy sposób, że doktor nie znalazł dla niego odpowiedniego przydomka.

Dendoncker przystanął na środku kostnicy. W jaskrawym górnym świetle jego jasne włosy były prawie niewidoczne. Obrócił się powoli o trzysta sześćdziesiąt stopni, uważnie lustrując pomieszczenie. W końcu przeniósł wzrok na doktora Houlliera.

– Pokaż – rzucił.

Doktor podszedł do spiżarni. Zerknął na zegarek, nacisnął dźwignię otwierającą środkowe drzwi i wyciągnął półkę z przykrytym prześcieradłem ciałem. Dużym. Długim. Niemal tak długim jak półka, na której spoczywało. I szerokim. Ramiona ledwo mieściły się w prześwicie komory. Houllier powoli odsłonił głowę. Głowę mężczyzny. O rozczochranych brudnych włosach. I pobrużdżonej bladej twarzy. Oczy były zaklejone taśmą.

– Odsuń się. – Dendoncker odepchnął lekarza na bok, ściągnął prześcieradło i rzucił je na podłogę.

Ciało było nagie. Jeśli Dawid Michała Anioła miał uosabiać męskie piękno, to leżący mężczyzna mógł być następnym z tej samej serii. Tyle tylko, że z drugiego końca spektrum. Nie miał w sobie nic eleganckiego. Nic delikatnego. Była w nim jedynie siła i brutalność. Czystość i prostota.

– To go zabiło? – Dendoncker wskazał ranę na piersi. Lekko wybrzuszona. O wystrzępionych szorstkich brzegach, które zaczynały już brązowieć.

– Na pewno nie umarł z lenistwa. – Houllier spojrzał na zegarek. – To gwarantuję.

– Postrzelono go nie pierwszy raz. – Dendoncker wskazał blizny na prawej części piersi nieboszczyka. – No i jeszcze to.

– Blizna na brzuchu? – Doktor zerknął w dół. – Wygląda jak jakiś stwór morski. To pewnie od noża.

– Nie. Od czegoś innego.

– Na przykład od czego?

– Nieważne. Co o nim wiemy?

– Niewiele. – Lekarz podniósł prześcieradło i przykrył nim ciało łącznie z głową.

Dendoncker znów je ściągnął i rzucił na podłogę. Chciał jeszcze popatrzeć na największą z blizn olbrzymia.

– Rozmawiałem z szeryfem. – Houllier podszedł do biurka. – To jakiś włóczęga. Wynajmował pokój w Border Inn. Zapłacił z góry za cały tydzień, ale nie miał żadnych rzeczy osobistych. I był zameldowany pod fałszywym adresem. Przy Sto Sześćdziesiątej Pierwszej Wschodniej w nowojorskim Bronxie.

– Skąd pewność, że pod fałszywym?

– Bo znam ten adres. To stadion Jankesów. I facet używał fałszywego nazwiska. W księdze gości wpisał się jako John Smith.

– Smith? Może tak się nazywał?

Lekarz pokręcił głową. Wyjął z szuflady torebkę strunową i podał ją Dendonckerowi.

– Niech pan sam zobaczy. Znalazłem to w jego kieszeni.

Dendoncker otworzył torebkę i wyjął z niej paszport, zmięty i wytarty. Otworzył go na drugiej stronie, tej z danymi osobowymi.

– Jest nieważny.

– Co to za różnica? Chodzi o nazwisko. I zdjęcie. Jest stare, ale pasuje.

– Spójrzmy... Nazwisko: Reacher. Imię: Jack. Drugiego imienia brak. Narodowość: Amerykanin. Miejsce urodzenia: Berlin, Niemcy Zachodnie. Ciekawe... – Dendoncker znów spojrzał na leżące przed nim ciało. Na bliznę na brzuchu. – Może wcale nie szukał Michaela. Może szukał mnie. W sumie to dobrze, że ta obłąkana suka go zabiła. – Wrzucił paszport do kosza na śmieci stojącego obok biurka. – Jakies spostrzeżenia?

Houllier podał mu swój specjalny formularz. Ten, który niedawno wypełnił. Dendoncker przeczytał każdą uwagę dwa razy, po czym zmiął dokument i też wrzucił do kosza.

– Trzeba to spalić. – Spojrzał na swoich pomagierów. – A Wy pozbądźcie się ciała. Wyrzucicie je tam gdzie zawsze.

* Skrót od Works Progress Administration.

2

Utykającą kobietę poznałem dwa dni wcześniej. Spotkaliśmy się na przedmieściach, na skraju drogi biegnącej obok słabo oświetlonego skupiska budynków, w tym centrum medycznego, gdzie pracował doktor Houllier. Okolica była opustoszała. Ja szedłem piechotą, a ona siedziała w jeepie. Wojskowym. Starym. Możliwe, że z czasów wojny w Wietnamie. Oznakowania i napisy zdążyły już wyblaknąć i nie mogłem ich odczytać. Poza tym oliwkowobrazowy lakier był pokryty grubą skorupą zapieczzonego kurzu. Samochód nie miał dachu. Ani drzwi. Przednia szyba była opuszczona na maskę, lecz nie zablokowana. Półki na kanistry świeciły pustkami, taśmy do mocowania narzędzi zwisały luźno niemal do ziemi. Bieżniki opon już dawno przekroczyły minimalną głębokość. Silnik nie pracował. Brakowało zapasowego koła. Krótko mówiąc, nie był to dobrze utrzymany pojazd.

Słońce stało wysoko. Gdybym miał termometr, wskazywałby pewnie trzydzieści stopni, lecz z braku cienia wydawało się, że upał jest większy. Plecy miałem mokre od potu. Podniósł się wiatr i w twarz siekł mnie drobny piasek. Rano nie zamierzałem nigdzie iść. Ale plany się zmieniają. Nie zawsze na lepsze. Wyglądało na to, że jej plany też nie wypaliły. Spora część startych opon jeepa była rozsmarowana na asfalcie, w miejscu, gdzie kobieta wpadła w poślizg. Zjechała z drogi i przygrzała prosto w drzewo. Prawie pozbawione liści, powyginane, karłowate szkaradztwo, które nie wygrałoby konkursu piękności. To na pewno. Ale było najwyraźniej odporne i wytrzymałe, bo oprócz niego

w promieniu wielu kilometrów nie dostrzegłem ani jednej rośliny sięgającej powyżej moich kolan. Gdyby kobieta straciła panowanie nad kierownicą w każdym innym miejscu, wylądowałyby w koślawych krzakach po jednej lub drugiej stronie drogi. I pewnie dałaby radę wycofać. Krajobraz wyglądał tak, jakby kilku gigantów włożyło ręce pod chropowaty zielony koc i rozczapierzyło palce.

To, jakim cudem trafiła akurat w to jedno jedyne drzewo, pozostawało tajemnicą. Może oślepiło ją słońce. Może drogę przebiegło jakieś zwierzę albo wystraszył ją przelatujący nisko ptak. Było mało prawdopodobne, żeby do wypadku przyczynił się inny pojazd. A może, ogarnięta depresją, zrobiła to celowo? Nie miałem czasu się nad tym zastanawiać.

Opierała się bezwładnie o kierownicę, z twarzą skierowaną w dół, w stronę miejsca na nogi. Jej wyciągnięta lewa ręka spoczywała na leżącej na masce szybie, z otwartą dłonią, jakby ranna, a może nieżywa kobieta błagała drzewo o pomoc. Prawą, zgiętą, trzymała na brzuchu. Nie poruszała się. Na jej ciele nie dostrzegłem śladów krwi. Ani ran, co dobrze wróżyło. Niestety, nie słyszałem jej oddechu. Pomyślałem, że sprawdzę puls, zobaczę, czy w ogóle żyje. Podeszedłem bliżej i przystanąłem obok jeepa. Wyciągnąłem rękę, powoli i ostrożnie. Odgarnąłem jej włosy, żeby odsłonić tętnicę szyjną. Wtedy wyprostowała się na siedzeniu. Szybko. Odwróciła się i lewą ręką odepchnęła moje ramię. A prawą wycelowała z pistoletu w mój brzuch.

Odczekała chwilę, pewnie po to, żeby sprawdzić, czy się nie wystraszę. Chciała, żebym skupił na niej całą uwagę, to na pewno.

– Do tyłu – rzuciła. – Tylko jeden krok. – Mówiła głosem stanowczym, lecz spokojnym, bez cienia paniki czy choćby niepewności.

Więc się cofnąłem. Tylko jeden krok. Postarałem się, żeby był długi. I dopiero wtedy zrozumiałem, dlaczego patrzyła w dół, pod nogi. Między pedałem gazu a tunelem środkowym tkwił kawałek lusterka. Musiała je przyciąć do odpowiedniego kształtu i ustawić tak, by zadziało jak system wczesnego ostrzegania.

– Gdzie Twój kumpel? – spytała, zerkając w lewo i w prawo.

– Nikogo innego tu nie ma – odparłem. – Jestem sam.

Spojrzała w lusterko. Było ustawione pod kątem, więc zobaczyłaby każdego, kto zakradłby się od tyłu.

– Wysłali tylko jednego? Serio?

Zabrzmiało to tak, jakby była po części urażona i rozczarowana. Zaczynała mi się podobać.

– Nikt mnie nie wysłał.

– Nie kłam. – Dla podkreślenia tych słów poruszyła pistoletem. – Zresztą to bez znaczenia. Jeden czy dziesięciu, co to za różnica? Układ jest taki sam. Powiesz mi, gdzie jest Michael. I to teraz. Powiesz prawdę albo postrzelę Cię w brzuch, zostawię i wykrwawisz się na śmierć.

– Chętnie bym Ci powiedział... – Podniosłem ręce, wnętrzem dłoni do niej. – Ale jest pewien problem. Nie mogę. Nie wiem, kto to jest.

– Nie... – Kobieta urwała i rozejrzała się. – Zaraz. Gdzie jest Twój samochód?

– Nie mam samochodu.

– Nie wymądrzaj się. W takim razie pick-up. Albo motocykl. Środek transportu, którym tu przyjechałeś.

– Przyszedłem piechotą.

– Pieprzysz.

– Słyszałaś warkot silnika? Jakikolwiek mechaniczny odgłos?

– No dobrze – rzuciła po chwili. – Przyszedłeś piechotą. Skąd? I po co?

– Powoli. – Starłem się mówić głosem łagodnym i przyjaznym. – Pomyślmy. Mógłbym opowiedzieć Ci, co robiłem przez cały dzień, minuta po minucie. I w innych okolicznościach chętnie bym to zrobił. Ale czy moje plany podrózne są w tej chwili aż tak ważne? Lepszym pytaniem byłoby chyba, czy jestem tym, na kogo czekałaś. Tym, kto ma informacje o Michaelu.

Kobieta nie odpowiedziała.

– Bo jeśli nie, a ten ktoś zaraz się tu pojawi i mnie zobaczy, Twoja sztuczka z wypadkiem pójdzie się bujać.

Wciąż milczała.

– Czy istnieje prawo mówiące, że z tej drogi mogą korzystać tylko Ci, na których chcesz zastawić zasadzkę? Nikt inny nie może nią jeździć?

Zerknęła na zegarek.

– Spójrz na mnie. Przyszedłem tu piechotą. Sam. Nieuzbrojony. Tego się spodziewałaś? Uważasz, że to ma jakiś sens?

Leciutko obróciła głowę w lewo i zmrużyła oczy. Po chwili ja też to usłyszałem. Jakiś dźwięk. Odległy. Warkot silnika. Nierówny. Chrapliwy. I coraz bliższy.

– Czas na decyzję.

Kobieta milczała. Warkot narastał.

– Pomyśl o Michaelu – dodałem. – Nie wiem, gdzie on jest. Ale jeśli nie pozwolisz mi odejść i ten ktoś mnie zobaczy, stracisz szansę. I niczego się nie dowiesz.

Warkot silnika stawał się coraz głośniejszy. Kobieta uparcie milczała. Nagle wskazała drugą stronę drogi.

– Tam. Szybko. Rów, dziesięć metrów stąd. Niezbyt głęboki, jak dno wyschniętego strumienia. Właż tam i nie wystawiaj głowy. Leż i ani mru-mru. Nie wsyp mnie. Nie zepsuj tego. Bo jeśli to zrobisz...

– Spokojnie. – Biegłem już w tamtą stronę. – Wiem, o co chodzi.

3

Rów był tam, gdzie powiedziała. Od razu go zauważyłem. Zdążyłem, zanim nadjeżdżający samochód znalazł się w polu widzenia. Dno było suche. I mogło posłużyć za dobrą kryjówkę. Ale dręczył mnie problem dużo istotniejszy. Schować się czy odejść?

Spojrzałem na jeepa. Kobieta zajęła już pozycję i znów leżała bezwładnie na kierownicy z głową zwróconą w stronę drzewa. Nie widziała mnie w lusterku. Nie mogła. Ale nawet gdyby mogła, bardzo wątpiłem, czy zaryzykowałaby strzał. Nie chciałyby zaalarmować tych, którzy właśnie nadjeżdżali.

Odejść? Tak byłoby najrozsądniej. W to nie wątpiłem. Ale miałem problem: mnie też dręczyło kilka pytań. Kim jest Michael? Kim jest ta kobieta? Kto ją ściga? I czy naprawdę postrzeliłaby kogoś w brzuch i zostawiła, żeby wykrwawił się na śmierć?

Zerknąłem na drogę i dostrzegłem w oddali mały punkcik w chmurze kurzu. Uznałem, że zdążę, i podniosłem z ziemi kamień wielkości pustaka. Położyłem go na krawędzi rowu, dokładnie między mną a jeepem, i znalazłem drugi, trochę węższy i bardziej płaski. Oparłem go pod kątem o ten pierwszy, dzięki czemu powstała trójkątna szczelina, niewielka, lecz wystarczająca, by spojrzeć przez nią jednym okiem. Linia wzroku stopniowo się rozszerzała, jakbym patrzył przez niewidzialny stożek, tak że wyraźnie widziałem jeepa i najbliższą okolicę. Ale ponieważ w moją stronę stożek się zwązał, nikt stojący po drugiej stro-

nie drogi nie widział, że go obserwuję. Fizyka na poziomie szkoły średniej.

Nadjeżdżający samochód wyłonił się z chmury kurzu. Kolejny jeep. Też wojskowy. Był coraz bliżej. Jechał powoli. Niespiesznie. W miejscu, gdzie zobaczyłem ślady hamowania na asfalcie, lekko odbił w prawo i zahamował. Siedziało w nim dwóch mężczyzn. Kierowca i pasażer. Obaj w oliwkowych podkoszulkach. Obaj w oliwkowych czapkach baseballowych i okularach lustrzankach. Zaczęli o czymś rozmawiać, zżywieniem, gwałtownie gestykulowali i wskazywali samotne drzewo. Nie spodziewali się, że ktoś przyjedzie tu przed nimi, domyśliłem się. Albo że zobaczą tu takiego samego jeepa, co sugerowałyby, że należą do tej samej grupy. Może zaskoczyło ich i jedno, i drugie. Myślałem, że gdzieś zadzwonią, żeby o tym zameldować, poprosić o nowe rozkazy. Albo, jeśli są mądrzy, po prostu się wycofają. Ale nic takiego nie zrobili. Ruszyli, szybko podjechali do jeepa kobiety i zatrzymali się po tej stronie, po której siedziała.

– Niesamowite. – Pasażer wysiadł szybko i stanął między samochodami. Zobaczyłem uchwyt pistoletu tkwiącego za paskiem jego bojówek, żłobkowany i wytarty. – Ona?

Kierowca również wysiadł, obszedł swojego jeepa, spojrzał na kobietę i wziął się pod boki. On też miał broń.

– Cholera. Dendoncker się wkurwi.

– Nie nasz problem. – Jego towarzysz złapał za pistolet. – Dawaj. Do roboty.

– Ona żyje? – Kierowca podrapał się w skroń.

– Mam nadzieję. – Pasażer zrobił krok do przodu. – Zaslugujemy na trochę zabawy. – Wolną rękę wyciągnął w stronę szyi kobiety. – Robiłeś to z kaleką? Ja nie. Zawsze ciekawiło mnie, jak to jest.

Kierowca stanął tuż obok niego.

– Ale...

Kobieta usiadła. Odwróciła się. Podniosła pistolet. I strzeliła pasażerowi w twarz. Górna część jego czaszki zniknęła. Jeszcze pół se-

kundy temu była na czubku głowy, lecz nagle zmieniła się w różową mgiełkę, wędrującą w powietrzu chmurkę. Pusta czapka sfrunęła na ziemię. Ciało osunęło się do tyłu z wciąż wyprostowaną ręką, która pacnęła kierowcę w udo. Szyja uderzyła w otwarte drzwi.

Kierowca sięgnął po pistolet. Chwycił go prawą ręką i zaczął wyciągać zza paska. Dobył mniej więcej trzy czwarte i spróbował wycelować. Ruch jak najbardziej właściwy, ale za wczesny. Niezdarny błąd. Bo lufa wciąż tkwiła za paskiem, a dłoń zsunęła się z uchwytu. Pistolet przekrzywił się, zawisł i spadł. Mężczyzna próbował go złapać, lecz mu się nie udało. Pochylił się, zaczął rozpaczliwie macać rękami po ziemi i wtedy zobaczył pistolet kobiety. Lufę, która śledziła jego twarz. Zniechęcony. Odskoczył do tyłu. Rzucił się na ziemię, za jepea kobiety. Przeczował się kilka metrów, dotarł do drogi, wstał i popędził przed siebie. Kobieta poprawiła się na siedzeniu. Wzięła oddech. Wymierzyła. I pociągnęła za spust. Kula świsnęła parę centymetrów od prawego ucha mężczyzny. Znowu rzucił się na ziemię i dwa razy przetoczył. Kobieta wysiadła. Obeszła samochód. Wtedy pierwszy raz zauważyłem, że lekko utyka na prawą nogę. Zaczekała, aż mężczyzna wstanie, i znowu pociągnęła za spust. Tym razem omal nie odstrzeliła mu ucha. Skoczył w prawo, upadł i zaczął pełznąć po ziemi jak wąż.

– Stój. – Powiedziała to tak, jakby powoli traciła cierpliwość.

Pełznął dalej.

– Tym razem nie chybię. Ale Cię nie zabiję. Kula roztrzaska Ci tylko kręgosłup.

Mężczyzna przetoczył się na plecy, jakby mogło go to ocalić. Kilka razy rozpaczliwie wierzgnął jak tonący pływak. Na próżno, bo wzniecił tuman kurzu i przesunął się ledwie o kilkanaście centymetrów. Zwiotczały mu kończyny. Opadła głowa. Zamknął oczy. Leżał przez chwilę, głęboko oddychając. Potem usiadł i wyciągnął przed siebie ręce, jakby bronił się przed niewidzialnym demonem.

– Pogadajmy – zapiszczał drżącym głosem. – Nie musi tak być. Mój partner... Zwalę wszystko na niego. Powiem szefowi, że to ustawił. Przy-

jechaliśmy, nikogo tu nie było i chciał mnie zabić, bo to on zdradził. Ale byłem szybszy. Mamy ciało. Namacalny dowód, co nie? Czego jeszcze nam trzeba?

– Wstań.

– To zadziała. Przekonam go. Daję słowo, że go przekonam, tylko mnie nie zabijaj. Błagam...

– Wstawaj.

– Nic nie rozumiesz. Miałem...

Kobieta uniosła pistolet.

– Wstawaj albo odstrzelę Ci nogę. Wtedy zobaczysz, jak to jest być kulasem.

– Nie, proszę! – Kierowca szybko wstał.

– Cofnij się.

Zrobił krok do tyłu. Mały.

– Dalej.

Kierowca zrobił jeszcze jeden krok, dzięki czemu kobieta znalazła się poza zasięgiem jego kończyn, gdyby okazał się na tyle głupi, żeby spróbować ją kopnąć albo wyprowadzić jakiś cios. Cofnął się i stanął na baczność ze złączonymi kostkami i przyciśniętymi do boków rękami. Dziwna pozycja. Przypominał ulicznego tancerza, którego przed laty widziałem w Bostonie.

– Wystarczy. Chcesz żyć?

– O tak. – Głowa mężczyzny poruszyła się w górę i w dół jak głowa lalki. – Bardzo.

– Dobrze. Puszczę Cię wolno, ale przedtem musisz coś zrobić.

– Zrobię wszystko. – Kierowca nie przestawał kiwać głową. – Co tylko zechcesz.

– Powiesz mi, gdzie jest Michael.

4

Mężczyzna znieruchomiał. Milczał. Nogi wciąż miał złączone. Ręce wciąż przyciśnięte do boków. Było mu chyba niewygodnie.

– Powiesz mi, gdzie jest Michael – powtórzyła kobieta. – Jeśli tego nie zrobisz, zabiję Cię. Ale nie tak szybko jak Twojego kumpla. Nie. Zupełnie inaczej.

Kierowca stał jak mumia.

– Widziałeś kogoś postrzelonego... tutaj? – Kobieta teatralnym gestem wycelowała w jego brzuch. – Wiesz, jak długo się wtedy umiera? Jak bardzo to boli?

– Nie. – Pokręcił głową. – Nie rób tego. Wszystko Ci powiem.

Nagle zrozumiałem, dlaczego tak dziwnie wygląda. Chodziło o jego przyciśnięte do boków ręce. Jedna dłoń była otwarta. Lewa. Ale prawą kurczowo zaciskał. Odchyłał do tyłu. Coś w niej miał i próbował to ukryć. Chciałem ostrzegawczo krzyknąć, lecz nie mogłem. Nie w tej chwili. Gdyby kobieta nagle się zdekoncentrowała, byłoby niedobrze.

– No to mów – rzuciła ostro.

– Dobrze... więc gdzie jest Michael...? To trochę skomplikowane, ale...

Mężczyzna błyskawicznie podniósł prawą rękę. Rozwarł palce i w jej twarz poleciała garść piasku. Kobieta zareagowała szybko. Lewą dłonią zasłoniła oczy, odchyliła się w bok na zdrowej nodze i piaskowa chmura tylko ją musnęła. Chmura, ale nie mężczyzna. Bo ten rzucił się do przodu, odepchnął jej rękę i uderzył ją ramieniem w pierś. Był tylko

pięć centymetrów wyższy od niej, lecz dobre trzydzieści kilogramów cięższy. Kobieta zatoczyła się do tyłu. Nogi nie nadały za ciałem i upadła na plecy. Ale nie upuściła pistoletu. Chciała go unieść, lecz mężczyzna podszedł bliżej i nastąpił na jej nadgarstek. Mimo to wciąż nie dawała za wygraną. Kierowca nacisnął mocniej. I jeszcze mocniej, aż sfrustrowana, krzyknęła z bólu i rozwarła palce. Mężczyzna odtrącił nogą pistolet, po czym stanął nad nią okrakiem.

– No i co, kulasko? Powiedziałbym, że chciałaś mnie wziąć pod but, ale masz tylko jeden, więc z grzeczności nie będę Ci tego wypominał. Byłbym zbyt okrutny.

Kobieta leżała pod nim nieruchomo. Natomiast ja się podniosłem. Facet stał plecami do mnie. Dzieliło nas niecałe piętnaście metrów.

– Mój kumpel miał wobec Ciebie pewne plany. – Mężczyzna zaczął gmerać przy klamrze paska. – Przedśmiertne życzenie. Dlatego myślę, że powinienem je spełnić. Raz za niego. Raz za siebie. Może nawet kilka razy, jeśli mi się spodoba.

Wyszedłem z rowu.

– A potem Cię zabiję. – Kierowca zdjął pasek i odrzucił go na bok. – Może strzelę Ci w brzuch? Co Ty na to? Zobaczymy, jak długo będziesz umierała.

Wszedłem na pobocze.

– Pewnie kilka godzin. – Facet zaczął rozpinać rozporek. – Może nawet całą noc. Dendoncker będzie miał to gdzieś. Stan Twojego ciała też go nie ruszy, pod warunkiem że zdechniesz, zanim Cię mu przywiozę.

Zwolniłem. Musiałem. Nie chciałem, żeby usłyszał chrzęst żwiru.

Kobieta lekko zmieniła pozycję i położyła ręce wzdłuż boków.

– A więc zauważyłeś, że nie mam stopy. Powinni dać Ci medal za spostrzegawczość. Ale czy wiesz coś o tytanie?

Ręce mężczyzny znieruchomiały.

Dotarłem do asfaltu.

– To bardzo interesujący metal. – Kobieta oparła dłonie o ziemię. – Bardzo mocny. Lekki. I cholernie twardy.

Wyrzuciła w górę ugiętą prawą nogę, mierząc protezą w krocze kierowcy. Trafiła precyzyjnie. Z pełną mocą. Dokładnie w punkt. Facet przeraźliwie krzyknął, gwałtownie wciągnął powietrze, pochylił się do przodu i runął na twarz. A ona w ostatniej chwili odtoczyła się w bok, unikając zmiżdżenia. Przeturlała się jeszcze kilka razy, podniosła z ziemi pistolet, podparła się i wstała.

Przystanąłem w połowie drogi, z jedną stopą za wyblakłą żółtą linią, a z drugą przed nią.

Mężczyzna zwinął się w kłębek. Skowyczał jak zbity pies.

– Ostatnia szansa. – Kobieta uniosła pistolet. – Michael. Gdzie on jest?

– Ty idiotko – wysapał. – Zapomnij o nim. Michael to już historia.

– Historia? To znaczy?

– A jak myślisz? Kiedy Dendoncker bierze na przesłuchanie jakiegoś biednego sukinsyna... Mam Ci to narysować?

– Nie trzeba. – Powiedziała to bezbarwnym głosem, jakby nagle zabrakło jej sił. – Ale muszę mieć pewność.

– Był martwy, kiedy tylko zaczął wysyłać te potajemne liściki. – Mężczyzna dźwignął głowę. – Znasz Dendonckera. To największy paranoik pod słońcem. Prędzej czy później musiał się o tym dowiedzieć.

– Kto go zabił? Wy?

– Nie. Przysięgam.

– Więc kto?

– Tak, myślałem, że Dendoncker zleci to nam. Kończył go przesłuchiwać i kazał nam czekać w pogotowiu. Od razu wszystko rzuciliśmy. Bo u niego nikt długo nie wytrzyma, sama wiesz. No więc czekaliśmy, ale on stwierdził nagle, że już nas nie potrzebuje.

– Dlaczego? Skąd ta zmiana?

– Nie mam pojęcia. Nie było mnie tam. Może Michael za wolno odpowiadał na pytania. Albo za bardzo mu odszczekiwał. Albo miał po prostu słabe serce. Tak czy siak, Dendoncker nas odprawił. Ale dziś rano wysłał nas po Ciebie.

Kobieta przez chwilę milczała.

– Jego ciało. Gdzie jest jego ciało? – spytała w końcu.

– Pewnie tam gdzie zwykle. Jeśli w ogóle coś z niego zostało.

Opadły jej ramiona. Opuściła broń. Skulony mężczyzna jeszcze bardziej przyciągnął nogi do tułowia. Sięgnął do kostki. Ruchem płynnym i powolnym. Wysunął coś z buta i przetoczył się na brzuch. Sekundę później już stał. W słońcu coś błysnęło. Nóż. O krótkim, szerokim ostrzu. Mężczyzna rzucił się do przodu z wysoko uniesioną ręką. Machnął nią od lewej do prawej, celując w czoło kobiety. Chciał, żeby krew zalała jej oczy, próbował ją oślepić. Żeby przestała go widzieć. I nie mogła w niego celować. Ale ona odchyliła się gwałtownie do tyłu. To wystarczyło. Nóż chybił. Kierowca przełożył go do drugiej ręki. Szykował się do zadania kolejnego ciosu.

Tym razem kobieta się nie wahała. Po prostu pociągnęła za spust. Gość zgiął się wpół. Upuścił nóż, głośno wrzasnął i obiema rękami chwycił się za brzuch. Na jego podkoszulku wykwitła ciemna plama. Kobieta trafiła dokładnie tam, gdzie zapowiadała. Podeszła bliżej. Przystanąła i spojrzała na niego z góry. Minęło trzydzieści sekund. Bez wątplenia najdłuższe pół minuty w jego życiu. Facet wił się i jęczał, próbując zatamować krwotok dłońmi. Kobieta cofnęła się o krok. Uniosła pistolet. Wymierzyła w głowę. I pociągnęła za spust. Jeszcze raz.

• • •

Cóż, poznałem przynajmniej odpowiedzi na kilka pytań. Ale teraz przyszło mi do głowy kolejne. Znacznie ważniejsze. Kobieta zabiła przed chwilą dwóch mężczyzn. Na moich oczach. Na oczach jedyne go świadka. Musiałem się dowiedzieć, co zamierza z tym zrobić. Tak, oczywiście, można by uznać, że działała w samoobronie. Miała w ręku mnóstwo argumentów i nie zamierzałem z nimi polemizować. Sęk w tym, że nie mogła być tego pewna. Poleganie na zeznaniach kogoś zupełnie obcego było dość ryzykowne. Czekał ją proces też niósł spore ryzyko. Umie-

jętności adwokatów. Nastawienie ławy przysięgłych. Poza tym, co nieuchronne, przed procesem spędziłaby kilka miesięcy w areszcie. Dość nieprzyjemna perspektywa. I niebezpieczna. Pobyt w areszcie czy więzieniu nie wpływa korzystnie na długość życia tych, którzy tam trafiają.

Poszedłem dalej. Nie było sensu zawracać. Parę metrów mniej czy więcej nie zrobiłoby najmniejszej różnicy. Trzymała w ręce glocka 17. Jeden z najbardziej niezawodnych pistoletów w świecie. Prawdopodobieństwo zacięcia czy niewypału? Jak jeden do dziesięciu tysięcy. Świetne dla tego z palcem na spuście. Marne dla celu. Magazynek mieścił siedemnaście nabojęw. Przy mnie wystrzeliła pięć. Nie miałem podstaw, by zakładać, że przed wyjazdem na akcję nie nabiła broni do pełna. Tak więc zostało jej jeszcze dwanaście nabojęw. Nie było mowy, żeby potrzebowała więcej niż trzech. Znakomicie strzelała. Widziałem to na własne oczy. I działała zdecydowanie w sytuacjach krytycznych. Tych dwóch leżących na ziemi przekonało się o tym na własnej skórze.

Zrobiłem kolejny krok. I nagle otrzymałem odpowiedź na dręczące mnie pytanie. Tyle że nie w taki sposób, jak się spodziewałem. Kobieta skinęła mi głową. Odwróciła się. Podeszła do swojego jeepa. Oparła się o tylną klapę. Wzruszyła ramionami. Westchnęła. Uniosła pistolet. I przytknęła lufę do skroni.

– Nie! – Podbiegłem do niej. – Nie musisz tego robić.

Spojrzała na mnie szeroko otwartymi czystymi oczami.

– Owszem, muszę.

– Nie. Działałaś...

– Cofnij się. – Powstrzymała mnie gestem ręki. – Chyba że chcesz, żebym obryzgała Cię mózgiem i krwią. Masz trzy sekundy. Potem pociągnę za spust.

Uwierzyłem jej. I nie widziałem żadnego sposobu, aby ją od tego odwieść. Do głowy przyszło mi tylko jedno.

– Dlaczego? – spytałem.

Popatrzyła na mnie tak, jakby odpowiedź była zupełnie oczywista, tak oczywista, że niewarta otwarcia ust.

- Dlatego, że straciłam pracę. Dlatego, że się skompromitowałam. Dlatego, że naraziłam na niebezpieczeństwo niewinnych ludzi. I zabiłam brata. Nie mam po co żyć. Lepiej już umrzeć.

5

Utrata pracy może być ciosem. Dobrze o tym wiem. Z własnego doświadczenia. Ale to uczucie blednie i rozmywa się w nicość w porównaniu ze stratą brata. W mniej niż nicość. O tym też dobrze wiem. Bo doświadczyłem i tego. A jeśli uważasz, że brat zginął przez Ciebie, ciężar musi być jeszcze większy. Chyba nawet zbyt wielki do udźwignięcia. Może nie ma wtedy drogi powrotnej. Nie byłem tego pewny. Ale miałem nadzieję, że istnieje chociaż jakiś sposób na przeżycie. Przynajmniej w tym przypadku. Nie wiedziałem jaki, lecz wierzyłem, że tej kobiecie można pomóc. Podobało mi się to, jak się broniła. Nie chciałem, żeby skończyła na poboczu samotnej drogi z wystrzeloną własnoręcznie kulą w głowie.

Dlatego nie oszedłem i policzyłem w myślach do trzech. Powoli. Nie pociągnęła za spust. Nie obryzgała mnie krwią ani strzępami mózgu. Wziąłem to za dobry znak.

– Słyszałem, co ten gość mówił... – Odczekałem jeszcze parę sekund, ani na chwilę nie spuszczając z oczu zaciśniętego na spuście palca. – Michael jest Twoim bratem?

– Był. – Lufa pistoletu wciąż muskała jej skroń.

– Szukałaś go?

– Właśnie to go zabiło.

– Rozumiem, że szukałaś na własną rękę. Nie poszłaś na policję.

– Pytasz, czy zadarł z prawem? Popełnił jakieś przestępstwo? O to Ci chodzi? Odpowiedź brzmi: Tak, popełnił. – Opuściła pistolet. – Powinni

dać Ci medal za bystrość.

- A ty?

- Nie... A właściwie tak. W zasadzie. Przez współudział. Ale tylko dlatego, że udało mi się zinfiltrować jego grupę. Próbowałam go z tego wyciągnąć. Chciał odejść. Wyjść na prostą. Przysłał mi wiadomość. Nie znałeś go. Był dobrym człowiekiem. W głębi serca. Zmieniła go ta ostatnia tura. Wojsko go zepsuło. Wykoleiło. Zrobiło z niego bezradnego kalekę życiowego. Wtedy zapolowało na niego paru facetów. Wykorzystali swoją przewagę. I kilka razy źle wybrał. Najwyraźniej. Jego wina. Nie zamierzam go usprawiedliwiać. Ale to było tylko chwilowe. Małe odstępstwo od normy. Prawdziwy Michael wciąż gdzieś tam był. Ja to wiem. Gdyby udało mi się w porę do niego dotrzeć...

- Nikogo nie osądzam. Rozumiem, dlaczego nie poszłaś na policję. Ale sytuacja się zmieniła.

Kobieta milczała.

- Człowiek, który go zabił... Niech go aresztują. Postawią przed sądem. Przedstawią dowody. I skazą na dożywocie.

Pokręciła głową.

- To by nie wypaliło. Jest zbyt ostrożny. Nie zostawiłby śladów. Nawet gdyby policja mi uwierzyła, szukałaby ich miesiącami i nic by nie znalazła.

- Może wcale nie musiałyby szukać? Moglibyśmy go odwiedzić. Słyszałem nazwisko. Jakiś... Dendoncker?

- Tak.

- Moglibyśmy z nim pogadać. Jestem przekonany, że szybko by się przyznał. Przy odpowiedniej zachęcie.

Na jej twarzy zagościł lekki, smutny uśmiech.

- Bardzo bym chciała go odwiedzić. Wierz mi. Poleciałabym do niego jak na skrzydłach. Ale to niemożliwe.

- Nie ma rzeczy niemożliwych. Są tylko źle przygotowane.

- Nie w tym przypadku. Jego nie da się podejść.

- Skąd wiesz?

– Bo próbowałam.
– I co nie wypaliło?
– Po pierwsze, nikt nie wie, gdzie on jest.
– Więc trzeba zrobić tak, żeby to on do Ciebie przyszedł.
– To niemożliwe. Dendoncker pokazuje się tylko w szczególnych okolicznościach.

– Więc trzeba je stworzyć.
– Taki mam zamiar. Ale to nie pomoże.
– Nie rozumiem.
– Ten kutas wychodzi z ukrycia tylko wtedy, kiedy ginie ktoś, kto mu zagraża. A wystarczy, że tylko pomyśli, że ktoś może mu zagrażać, i człowiek ginie. Wystarczy, że to sobie wyobrazi albo mu się to przyśni. Natychmiast każe go zabić i musi zobaczyć jego ciało. Na własne oczy. To paranoik, ma wewnętrzny przymus oglądania trupów. Nie wierzy nikomu na słowo. Nie ufa zdjęciom, nagraniom, świadectwom zgonu ani raportom koronera. Ufa tylko temu, co sam zobaczy.

Podrapałem się w głowę.
– A więc dwie osoby.
– Co dwie osoby?
– Jeżeli ma taki sposób działania, do jego schwytania potrzeba dwóch osób. Moglibyśmy to zrobić. Ty i ja. Razem.

– Bzdura. Nie wiesz, co mówisz.
– Wiem. Trzynaście lat łapałem ludzi, którzy nie chcieli dać się złapać. I byłem w tym dobry.

– Serio?
– Absolutnie.
– Byłeś łowcą nagród?
– Próbuj dalej.
– Chyba nie gliniarzem?
– Wojskowym.
– Wojskowym gliniarzem? Poważnie? Nie wyglądasz na żandarma.

Co się stało?

Nie odpowiedziałem.

Ona też milczała, lecz po chwili spytała:

- Co to za różnica, jedna osoba czy dwie? Ja nie widzę żadnej.
- Wszystko w swoim czasie. Teraz ważniejsze jest co innego.

Schwytanie Dendonckera... Czy warto jest po to żyć?

Kobieta kilka razy mrugnęła i odwróciła wzrok. Patrzyła na horyzont całą minutę, a potem spojrzała mi prosto w oczy.

- Powstrzymanie go... schwytanie. To byłby chyba dobry początek. Ale my? Ty i ja? Razem? Dlaczego miałbyś to zrobić?

- Michael służył w wojsku. Widzę, że Ty też. Zbyt wielu nas zginęło. Nie zamierzam stać i patrzeć, jak kolejny weteran marnuje sobie życie.

- Nie mogę Cię o to prosić.
- I nie prosisz. Sam się zaoferowałem.
- To niebezpieczne.
- Przechodzenie przez ulicę też.

Pokręciła głową.

- No dobrze. Ale czy to w ogóle wykonalne?

- Jasne.

- Dajesz słowo?

- Pewnie - odparłem. - Czy mógłbym skłamać kobiecie z pistoletem w ręku?

6

Co prawda nie trzymałem kciuków, ale być może powinienem. Nie miałem pojęcia, jak schwytać Dendonckera. Ani najmniejszego zamiaru szukać ku temu sposobów. Nie chciałem zadzierać z wariatem. Z tego, co wiedziałem, nic mi nie zrobił.

Ogólnie rzecz biorąc, przedstawiony przez kobietę scenariusz brzmiał dość intrygująco. Wyglądało na to, że facet wymyślił swój własny paragraf dwadzieścia dwa. Można było do niego podejść tylko wtedy, kiedy było się w stanie, który to uniemożliwiał. Bardzo oryginalny patent. Wyzwanie samo w sobie. Tak, byłem pewien, że rzecz jest wykonalna. Pod warunkiem że starannie bym to przemyślał. Zebrał informacje. Czy użył specjalistycznego sprzętu.

Tylko że zupełnie mnie to nie interesowało. Co nie znaczy, że zamierzałem powiedzieć to kobiecie. Doszedłem do wniosku, że perspektywa schwytania zabójcy jej brata jest dobrą linią ratunkową, dzięki której mógłbym wyciągnąć ją na brzeg. Prawdopodobnie jedyną, jaką dysponowałem. Przecinanie jej, zanim kobieta postawiłaby nogę na suchym lądzie, byłoby czystą głupotą. Czymś gorszym niż głupotą. Byłoby przestępstwem. Zapolować na kogoś, kogo w ogóle nie znałem? Nie mówiłem tego poważnie, ale tak, bardzo chciałem jej pomóc. Szczerze. Samobójstwo odebrało nam zbyt wielu byłych wojskowych. Kolejne przepełniłoby czarę. Dlatego doszedłem do wniosku, że jeśli mogę mu zapobiec, to zapobiegnę.

Chciałem rozegrać to powoli. Dać jej trochę czasu, by zrozumiała, że policja jest najlepszym rozwiązaniem. Zamierzałem ją oszukać, tak. Na krótką metę. Ale lepiej dać się oszukać, niż zginąć.

• • •

Odepchnęła się od maski jeepa i stała przez chwilę, patrząc w ziemię. Przygarbiona i wypluta, wydawała się drobniejsza niż wcześniej. W końcu podniosła wzrok. Wetknęła pistolet za pasek i wyciągnęła rękę.

– Michaela Fenton. Tak, tak, wiem, Michael i Michaela. Jesteśmy bliźniakami. Rodzice uważali, że tak będzie uroczo. My nie.

Wzruszyłem ramionami.

– Reacher.

Miała długą i wąską dłoń, trochę zimną. Jej palce owinęły się wokół moich. Zacisnęła je i przez moją rękę przebiegł leciutki dreszcz.

– No dobrze... – Cofnęła się, spojrzała w lewo, potem w prawo i jeszcze bardziej opadły jej ramiona. – Te ciała... Trzeba coś z nimi zrobić. Masz jakiś pomysł?

Dobre pytanie. Gdyby Dendoncker nasłał tych zbirów na mnie, podrzuciłbym ich trupy gdzieś, gdzie na pewno by je zauważył. Na przykład na trawnik przed jego domem. Albo do jego łóżka. Żeby zrozumiał, o co mi chodzi. Nie lubię nieudomówień. Sęk w tym, że Dendoncker nie nasłał na mnie tych gości. Więc skoro już mieliśmy go dorwać, musiałem wymyślić coś subtelniejszego. Dobrym posunięciem byłoby ukrycie ciał, bo wtedy nie odsłoniłibyśmy swoich kart. Tylko że tkwiliśmy na środku pustyni. A słońce paliło jak wszyscy diabli. Kiedy obudziłem się rano, czując, że jestem giętki na tyle, by przeżyć jeszcze jeden dzień, nie miałem najmniejszego zamiaru spędzić go na kopaniu grobów.

– Któryś z nich musi mieć telefon – powiedziałem. – Zadzwoimy na policję. Niech oni się tym zajmą.

– Czy to na pewno mądre? Przecież widać, że ich... Że nie umarli z przyczyn naturalnych.

– Będzie dobrze.

– Nie przyślą tu bandy detektywów? Techników kryminalnych i całej reszty? – Michaela przestąpiła z nogi na nogę. – Posłuchaj, jeśli będę musiała zapłacić za to, co zrobiłam, to zapłacę. Przyjmę karę, na jaką zasłużyłam. W swoim czasie. Ale nie chcę trafić do pudła, dopóki Dendoncker jest na wolności. I nie chcę, żeby rozdmuchane policyjne śledztwo przeszkodziło nam w jego schwytaniu.

Ja widziałem to inaczej. Bardzo chciałem, żeby policja przysłała tu detektywów. Im więcej, tym lepiej. Chciałem, żeby na pustyni się od nich zaroilo. Niezbyt mądrze jest polować na kogoś na oczach stróżów prawa. Liczyłem na to, że Michaela zda sobie z tego sprawę. W swoim czasie.

– Spokojnie, to część planu. – Spróbowałem pokrzepić ją uśmiechem. – Powiedziałaś, że Dendoncker jest paranoikiem. Jeśli zobaczy, że węszy tu policja, wpadnie w panikę. Popełni jakiś błąd. Zrobi coś, co będziemy mogli wykorzystać.

– Może. – Chyba jej nie przekonałem.

Podszedłem do mężczyzny, którego zastrzeliła, i przeszukałem jego kieszenie. Znalazłem pęk kluczy na kółku z kwadratowym plastikowym breloczkiem. Jeden był do samochodu. Do forda. Dwa wyglądały na klucze do domu. Jeden był płaski, nowy i błyszczący, typu Yale. Drugi, stary i porysowany, do wpuszczanego zamka z rygłem. Pewnie do innego budynku. Do garażu albo jakiegoś magazynu. Znalazłem również telefon. I portfel. Bez dokumentów czy choćby karty kredytowej. Za to z dwustu dolarami w dwudziestkach, które zabrałem. Łupy wojenne. Uznałem, że tak będzie sprawiedliwie.

Z kieszeni tego drugiego wyłowiłem podobną zdobycz. On też miał klucze na kółku z takim samym plastikowym breloczkiem. Jeden był do dodge'a. Dwa były płaskie, yale. A jeden, stary i porysowany, do wpuszczanego zamka z rygłem. Facet miał również portfel ze stu dwudziesto-

ma dolarami w dwudziestkach. I telefon z pękniętą obudową. Przytknąłem jego kciuk do czytnika i przytrzymałem go, aż rozjarzył się ekran.

– Gdzie my właściwie jesteśmy? – rzuciłem przez ramię.

Michaela wzruszyła ramionami.

– Wszyscy nazywają to miejsce Drzewem. Po prostu. Ale zaczekaj, zaraz zobaczę. – Wyjęła komórkę, dźgnęła palcami ekran, coś tam przeciągnęła i podsunęła mi ją pod nos. – Masz. Mapa.

Kiedy zgłosił się policyjny operator, podałem mu współrzędne i zameldowałem, że byłem świadkiem, jak podczas kłótni postrzeliło się wzajemnie dwóch mężczyzn. Potem dokładnie starłem z telefonu odciski palców i wyrzuciłem go.

– Twój jeep jest cały? – spytałem.

– Tak. Nawet nie dotknął pnia. Sam zobacz.

Obszedłem go i spojrzałem. Między przedni zderzak i pień z trudem weszłaby bibułka do skręta. Michaela musiała być piekielnie dobrym kierowcą.

– Dobra. Weźmiemy Twój. Tamten zostawimy.

– Dlaczego? Może nam się przydać.

– Fakt. – Obryzganym krwią jeep na pewno by się przydał. Ale jako kolejny soczysty kąsek dla techników kryminalnych. A nie jako środek transportu. – Tylko że za bardzo byśmy ryzykowali. Dendoncker się wkurzy, kiedy Ci dwaj się nie odezwą. I wyśle kogoś na poszukiwania. Jeśli zobaczą nas w tym jeepie, Ciebie albo mnie, wszystko szlag trafi.

– Pewnie tak.

Podniosłem z ziemi pistolety, czapkę baseballową i lustrzanki.

– Wątpię, żeby kawaleria szybko nadciągnęła. Ale i tak powinniśmy stąd spadać.

– Dokąd?

– W jakieś zaciszne miejsce. Mamy sporo spraw do obgadania.

– Dobrze. – Michaela obeszła samochód i podniosła przednią szybę.

– Do mojego hotelu.

Odpaliła silnik, wrzuciła wsteczny i nagle znieruchomiła z jedną nogą na hamulcu, a drugą na wciśniętym pedale sprzęgła. Ręce trzymała na kierownicy. Na jej górnej części. Złączone razem na godzinie dwunastej. Zaciskała je tak mocno, że zbieleły jej kłykcie. Nabrzmiały żyły i ścięgna. Zamknęła oczy. Jej pierś unosiła się i opadała tak gwałtownie, jakby kobieta nie mogła złapać oddechu. Po chwili zaczęła wracać do siebie. Powoli i stopniowo. Rozluźniła palce. Otworzyła oczy i po jej policzkach spłynęły dwie łzy.

– Przepraszam. – Wytarła je, postawiła stopę na pedale gazu i zwolniła sprzęgło. – Myślałam o Michaelu. Nie mogę uwierzyć, że już go nie ma.

7

Jechała, wciskając gaz do dechy. Wiekowe zawieszenie trzeszczało i piszczalo. Silnik rzeził. Skrzynia biegów zgrzytała. Rura wydechowa wypluwała kłęby czarnego dymu. Michaela nieustannie poruszała kierownicą, w lewo i w prawo, mimo to z trudem utrzymywała samochód w linii prostej. Próbowałem skupić się na drodze, lecz po kilku minutach przyłapała mnie, kiedy zerkąłem na jej prawą nogę.

– Fugas – rzuciła. – W Afganistanie.

Fugas, prowizoryczna albo improwizowana mina lądowa. Nie lubiłem tego określenia. Stało się popularne podczas drugiej wojny w Zatoce. Pewnie wymyślił je jakiś rządowy piarowiec, by wmówić żołnierzom, że rebelianci mają prymitywną broń. Mało zaawansowaną technologicznie. By ich przekonać, że nie muszą się niczego bać. Że wiejskie kmiotki klecą te miny w piwnicach i jaskiniach. Tymczasem prawda była zupełnie inna. Dobrze o tym wiedziałem. Byłem w Bejrucie, kiedy ciężarówka wyładowana ponad pięcioma tonami materiałów wybuchowych staranowała bramę i wtargnęła na teren naszej bazy. Tego dnia zginęło dwustu czterdziestu jeden marynarzy i żołnierzy amerykańskiej piechoty morskiej. A w kolejnym ataku na sąsiednią bazę pięćdziesięciu ośmiu francuskich spadochroniarzy. Od tej pory sytuacja zaczęła się tylko pogarszać. Dzisiejsi konstruktorzy bomb mają dostęp do skomplikowanej elektroniki. Do zdalnych detonatorów. Zapalników na podczerwień. Czujników zbliżeniowych. Są ekspertami od rozmieszczenia ładunków. Ich ukrywania. Stali się jeszcze bardziej wyrachowani.

Jeszcze bardziej bezwzględni. Oprócz gwoździ i kawałków metalu, które mają rozerwać na strzępy ciało człowieka, standardowo wypełniają miny koloniami bakterii i antykoagulantami. Więc nawet jeśli ofiary przeżyją wybuch, prawdopodobnie wykrwawią się na śmierć albo umrą na jakąś paskudną chorobę.

Odpędziłem te myśli i spytałem:

– Wojsko?

Michaela kiwnęła głową.

– Sześćdziesiąta Szósta Brygada Wywiadu. Z kwaterą w Wiesbaden. Ale nie straciłam stopy na służbie. Nie dali mi Purpurowego Serca.

– Byłaś na kontrakcie?

Pokręciła głową.

– Nie, to nie dla mnie. Pomyślisz, że zwariowałam, ale uważam, że nie można walczyć dla pieniędzy.

– Więc co? Niewielu cywilów jeździ do Afganistanu.

– Ja pojechałam. To długa historia. Opowiem Ci innym razem. No, a Ty? Co tu robi wojskowy żandarm? W dodatku na piechotę. Akurat tutaj? Ze wszystkich dróg i miast...

– To też długa historia.

– Jasne. Dobra, spytam prosto z mostu. Uciekasz przed kimś? Jesteś zbiegiem?

Zastanawiałem się przez chwilę. Pomyślałem o Teksasie, o mieście, które niedawno odwiedziłem. Wyjechałem stamtąd poprzedniego dnia rano. W pośpiechu. Narobiłem sobie trochę kłopotów. Co doprowadziło do pożaru. Zniszczenia budynku. I śmierci trzech osób. Ale nie, nie groziły mi żadne konsekwencje. W każdym razie nie takie, o których Michaela musiałaby wiedzieć.

– Nie – odparłem. – Nie jestem.

– Bo jeśli tak, to spoko, nie zamierzam Cię osądzać. Nie po tym, co dzisiaj widziałeś. Ale powstrzymanie Dendonckera jest dla mnie ważne. Tylko to trzyma mnie teraz przy życiu. Więc jeśli naprawdę chcemy to

zrobić, nie unikniemy ryzyka. I musimy sobie ufać. Dlatego chcę wiedzieć. Po co tu przyjechałeś?

– Bez specjalnego powodu. Jechałem na zachód. Wiózł mnie pewien gość. Musiał zawrócić na wschód, więc wysiadłem.

– Wysiadłeś? Czy Cię wykopał?

– Nie, wysiadłem.

– I tak się spieszyłeś, że zapomniałeś zabrać bagażu? Przestań. Co się stało? Ale tak naprawdę.

– Nie mam bagażu. I mógłbym pojechać z nim dalej. Sam mnie prosił. Tylko że nie lubię zawracać. Wolę jechać naprzód. Dlatego wysiadłem.

– Dobra, wszystko po kolei. Nie masz nawet walizki? Poważnie?

– Po co mi walizka? Co bym do niej włożył?

– Strzelę na oślep i powiem: sama nie wiem... Okej, wędrujesz przez kraj i nie masz... ubrań? Piżamy? Przyborów toaletowych? Żadnych rzeczy osobistych?

– Ubranie mam na sobie. Przybory toaletowe są w hotelach. A rzeczy osobiste noszę w kieszeni.

– Masz tylko jeden komplet ubrań?

– A ile trzeba mieć?

– Nie wiem. Chyba więcej niż jeden. Co robisz, kiedy musisz coś uprać?

– Wyrzucam to i idę do sklepu.

– Czy to nie za rozrzutne? I niepraktyczne?

– Nie.

– Dlaczego nie zabierzesz tego do domu i nie wypierzesz?

– Nie przepadam za praniem. Ani za pralniami. Za domami też nie.

– Więc jesteś bezdomny.

– Nazywaj to, jak chcesz. Prawda jest taka, że z domu nie miałbym żadnego pożytku. Przynajmniej na razie. Może kiedyś jakiś kupię. Dom, psa... Może się usatkuję. Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze nieprędko.

– Więc co właściwie robisz? Włączysz się po kraju?

- Ogólnie rzecz biorąc, tak.
- Ale jak? Nie masz nawet samochodu.
- Nigdy nie odczuwałem takiej potrzeby.
- Wolisz łapać okazję?
- Nie mam nic przeciwko temu. Czasem wsiadam do autobusu.
- Do autobusu? Serio?

Nie odpowiedziałem.

- Dobra, wracając do tego gościa, który Cię wiozł. Dlaczego nagle zawrócił?

- Polował na jakiś stary angielski samochód sportowy. Pojechał do Teksasu po inny. Ale zrezygnował. Sprzedający próbował go oszukać. Jakieś numery się nie zgadzały. Nie wiem, dlaczego to takie ważne. Nie znam się na samochodach. Więc facet wracał do domu. Do zachodniej Arizony. Po drodze chciał spuścić parę. I mieć słuchacza. Wybrał mnie. Wsiadłem pod El Paso, przed motelem.

- Zaraz! Pod El Paso? Przecież to kawał drogi stąd!

- Radio podało, że dziesiątka jest zakorkowana. Jakiś karambol. Więc pojechał bocznymi drogami. Przeciął południowo-zachodni róg Nowego Meksyku i byliśmy już w Arizonie, kiedy zadzwonił telefon. Żona faceta namierzyła kolejny stary wóz. Tym razem w Oklahomie.

- Ale Ty chciałeś jechać na zachód. Dlaczego? Co Cię tam ciągnie?

- Pacyfik.

- Nie rozumiem.

- Powiedzmy, że kaprys. Byłem w Nashville w Tennessee. Gra tam kapela, którą lubię. Złapałem ich w paru klubach, a kiedy wyjeżdżałem już z miasta, przeleciał ten dziwny ptak. W pierwszej chwili pomyślałem, że to pelikan. To nie był pelikan, ale skojarzył mi się z Alcatraz. A skoro Alcatraz, to i Pacyfik.

- I myślałeś, że dojdiesz tam tą drogą?

- Nie. Znudziło mi się czekanie na kolejną okazję. Więc poszedłem dalej piechotą. I zobaczyłem olbrzymią kamienną budowlę na poboczu szosy, ze strzałką wskazującą w tę stronę. Obelisk. Albo pomnik. Pokry-

ty płaskorzeźbami i misternymi wzorami. Zaciekał mnie. Pomyśla-
łem, że jeśli ten obelisk jest taki oryginalny, to jakie musi być miasto?

- Zaraz zobaczysz - odparła Michaela. - Właśnie dojeżdżamy.

8

Odkąd zostawiliśmy za sobą Drzewo, teren stopniowo się wspinał i za szczytem wzgórza ujrzeliśmy miasto. Rozciągało się w dole, niecały kilometr dalej. Widziałem skupiska domów o tynkowanych jasnych ścianach i pokrytych terakotą dachach. Trudno było się zorientować w jego układzie. Wyglądało na to, że składa się z dwóch mniej więcej owalnych części, które trochę na siebie nachodziły, jak diagram Venna narysowany niewprawną ręką dziecka. Budynki w części po lewej, niższe, bo głównie parterowe, miały trochę bardziej chropowate ściany i były bezładnie rozrzucone. Natomiast te po prawej były wyższe. Strzeliste. Równiej rozmieszczone. Jeszcze wyższe w części centralnej. Ozdobione łukami i arkadami, poprzedzielane dziedzińcami. Może mieściła się tam siedziba władz miejskich. Może były tam również bary i restauracje. Chyba że miasto nie tolerowało takich przybytków.

Na jego przeciwległym krańcu z ziemi wyrastał rząd metalowych żeber. Ciągnął się na wschód i zachód jak okiem sięgnąć. Żebra robiły wrażenie solidnych. Odstraszających. Trwałych. Rozmieszczone blisko siebie, miały ostre, spiczaste końce. Teren za nimi należał do Meksyku, choć wyglądał prawie tak samo jak ten po amerykańskiej stronie granicy. Wjeżdżając na zbocze kolejnego wzgórza, minęliśmy leżące odłogiem pole, coś w rodzaju długiego na kilkaset metrów pasa ziemi niczyjej. A potem, na szczycie wzgórza, znów zobaczyłem ciągnące się w dal domy, ich jasne ściany i terakotowe dachy.

– No i co powiesz? – zapytała Michaela.

– Czegoś nie rozumiem.

Dendoncker właśnie kazał ją zabić dwóm swoim ludziom. Na liście płac miał co najmniej trzech innych. Michaela mówiła o nim jak o zmarłym Alu Capone przyprawionym potężną dawką szaleństwa. A to znaczyło, że za swoją siedzibę musiałyby obrać miasto o wysokim poziomie przestępczości. Wymuszenia. Narkotyki. Prostytucja. To co zwykle. Tymczasem ta miejscina wyglądała jak senna prowincjonalna dziura, gdzie można przyjechać, żeby leczyć się na bezsenność. Zdziwiłbym się, gdyby mieli tu choćby problem z kieszonkowcami.

– Dendoncker się tu urodził?

Michaela nie odpowiedziała. Błądziła myślami gdzie indziej.

– Dendoncker się tu urodził? – powtórzyłem.

– Słucham? Nie. We Francji.

– A więc mając do dyspozycji całe Stany Zjednoczone, a może nawet cały świat, postanowił osiedlić się akurat tutaj. Ciekawe dlaczego? Co jeszcze o nim wiesz?

– Niewiele, w każdym razie nie tyle, ile bym chciała. – Michaela umilkła, zapatrzyła się na drogę i dopiero po chwili wróciła do mojego pytania. – Waad Ahmed Dendoncker. Tak się nazywa. Jego ojciec był Niemcem. Matka Libanką. Do osiemnastego roku życia mieszkał w Paryżu. Chodził tam do szkoły średniej, a potem przyjęto go na Uniwersytet Pensylwański. Panuje zgodna opinia, że nie bez podstaw, bo był dość bystry. Zrobił licencjat i rozpoczął studia doktoranckie z inżynierii, ale po półtora roku je rzucił. Wrócił do Francji, przez parę lat obijał się po Europie i Bliskim Wschodzie, i tam zgubiłam jego ślad. Namierzyłam go ponownie dopiero w dwa tysiące trzecim, gdy wypłynął w Iraku. Pracował w wojsku jako jeden z tych speców od wszystkiego, tłumacz, mediator i Bóg wie kto jeszcze. Ponieważ takim ludziom groziły poważne represje, w dwa tysiące siódmym nasz rząd uruchomił program, którego celem było sprowadzenie ich do Stanów. Dendoncker złożył podanie w maju dwa tysiące ósmego. Proces weryfikacyjny jest bardzo wnikliwy, więc wizę dostał dopiero w kwietniu dwa tysiące dziesiątego.

Osiedlono go w Goose Neck w Georgii, gdzie dostał pracę w przetwórni drobiu. Unikał kłopotów. Chodził sumiennie do pracy. Trochę podróżował, ale tylko po kontynentalnych Stanach, i dużo czasu spędzał w bibliotece. Po roku rzucił pracę i przeniósł się tutaj.

Za kilkoma pierwszymi domami na przedmieściach Michaela odbiła w lewo, w labirynt ulic i uliczek.

– Rozumiem, dlaczego przez resztę życia nie chciał kroić kurczaków – powiedziałem. – Ale to jeszcze nie wyjaśnia, dlaczego wybrał akurat to miejsce.

– Mam pewną teorię. – Skręciła w wysoko sklepioną bramę i wjechała na dziedziniec przerobiony na parking. – Zaraz po przeprowadzce założył interes. Bardzo po cichu. Kieruje nim za pośrednictwem sześciu podstawionych spółek. Co znaczy, że bardzo zależy mu na dyskrecji, nie chce, żeby jego działalność zwróciła czyjąś uwagę. A to miasto idealnie się do tego nadaje. Jest odosobnione, leży tam, gdzie diabeł mówi dobranoc, na końcu prowadzącej donikąd drogi. Liczba mieszkańców od lat się zmniejsza. Miejscowi mówią, że niedługo wszyscy tu wymrą albo wyjadą. No i w promieniu wielu kilometrów nie ma ani jednego przejścia granicznego. Legalnego ani nielegalnego. Zapora jest solidna. Od ponad dziesięciu lat nie było doniesień o próbach jej przekroczenia. Żaden departament czy agencja rządowa nie mają tu nic do roboty.

– Jaki interes założył?

– Catering. Firmę o nazwie Pie in the Sky. – Trzymając się prawej strony, Michaela jechała w kierunku odległego parkingu. Wybrała ostatecznie miejsce, między matowobiałą furgonetką a ścianą, i zaparkowała tak, że jeep był niemal całkowicie zasłonięty.

– Dlaczego nie chce zwracać na siebie uwagi? – zapytałem. – Ukrywa coś przed sanepidem?

– Nie chodzi o to, co gotuje. Ani jak. Chodzi o to, komu sprzedaje jedzenie. Przygotowuje posiłki do samolotów, ale nie dla głównych linii lotniczych. Dla prywatnych odrzutowców pasażerskich. Podpisał umowę z kilkoma przewoźnikami. Jego pracownicy pakują jedzenie. Do spe-

cialnych metalowych pojemników albo wykładają je na wózki, zależnie od ilości. Przewożą na lotnisko. Załadowują do samolotu. I odbierają puste pojemniki. Dendoncker wynajmuje też przewoźnikom personel pokładowy. Nie zawsze, ale to się zdarza.

Jasne, to mogło być zupełnie legalne przedsięwzięcie. Ci, którzy latają prywatnymi odrzutowcami, muszą jeść i pić tak jak Ci, którzy siedzą jeden na drugim w klasie ekonomicznej boeinga 737. A Dendoncker mógł ukrywać swój udział w tym interesie, bo miał na przykład kilka żon i wisiał im pieniądze. Czy niechętnie płacił podatki. Ale chodziło o coś zupełnie innego. Lotniska, które obsługują prywatne samoloty, bardzo różnią się od wielkich lotnisk w rodzaju JFK czy LAX. Na tych małych ochrona jest minimalna. Pasażerów prawie się nie kontroluje. Podobnie jak pracowników usługowych. Taki układ otwiera pewne możliwości. Było całkiem prawdopodobne, że właśnie dlatego Dendoncker wolał nie rzucać się w oczy.

Michaela wyłączyła silnik.

– Może szmuglować narkotyki – rzuciła. – Brylanty. Broń. Niemal wszystko.

– Są jakieś dowody?

– Na razie tylko podejrzenia. Ale niepozbawione podstaw. Weźmy choćby mój pierwszy dzień. Wysłano mnie na zastępstwo. Za jakąś stewardesę. W ostatniej chwili. Bo nagle zachorowała. Albo wiedziała, co będzie grane. To był koszmar. My dwie i czterech pasażerów. Nadzianych dupków. Ciągłe próbowali nas macać. Dawali nam do zrozumienia, jakie usługi mogłybyśmy im świadczyć. Jeden miał obsesję na punkcie mojej nogi. Ciągłe chciał jej dotykać. Jeszcze trochę, a zabrałabym go do toalety i zatłukła tą nogą na śmierć. Nawet jedzenie nie odwróciło jego uwagi. Ani picie. To było aż nieprzyzwoite. Najdroższe żarcie, jakie tylko można sobie wyobrazić. Kawior Białe Złoto Kolikofa. Szynka Ibérico. Najdroższy ser świata Pule. Szampan Boërl and Kroff. Calvados Le-compte Secret. Były tego tony. Dwanaście pojemników. Dużych. A teraz uważaj. Zużyliśmy tylko dziesięć. Dwa pozostały nietknięte.

– Może za dużo zamówili. Albo Dendoncker chciał zawyżyć rachunek.

– Nie. Kiedy ta druga stewardesa poszła do toalety, chciałam do nich zajrzeć, ale były zaplombowane. Malutkimi plombami. Kropelkami ołowiu na krótkich, cienkich drucikach. Częściowo ukrytych pod klamrami. Prawie niewidocznych. Więc sprawdziłam pojemniki, które otworzyłyśmy. Nie było na nich zerwanych plomb.

– Co się stało z tymi zaplombowanymi?

– Wyładowano je na lotnisku docelowym. A na ich miejsce załadowano dwa inne. Tej samej wielkości. Tego samego kształtu. Opatrzone takimi samymi plombami.

– A gdybyś się pomyliła? I otworzyła je przypadkowo?

– Myślałam o tym, ale samolot wracał pusty. Bez pasażerów na pokładzie, więc nie było takiej potrzeby. Ale coś sobie uświadomiłam. To ta druga stewardesa wybierała pojemniki, które miałyśmy otworzyć. Wtedy wydawało się, że to logiczne. Ja byłam nowa, a ona miała doświadczenie i wiedziała, gdzie co jest. Potem zmieniłam jednak zdanie, bo wyglądało to chyba tak, jakby celowo odciągała mnie od tych zaplombowanych. I ciągle się to powtarzało, podczas każdego lotu. Różni pasażerowie. Różne lotniska. Ale na pokładzie zawsze były nieotwarte pojemniki.

Michaela wysiadła i ruszyła w kierunku drzwi pośrodku długiego boku dziedzińca. Idąc za nią, spostrzegłem, że otaczające go budynki stały kiedyś oddzielnie. I dopiero potem je połączono. Jedne wystawały. Inne nie. Ale wszystkie były tej samej wysokości. Pokrywał je spójny, jednolity dach. Dodano go pewnie później. Na przedniej ścianie każdego budynku wisiał szyld. Pewnie z nazwą firmy lub nazwiskiem tego, kto go kiedyś zajmował. Nazw było mnóstwo. Mnóstwo różnych branż i usług. Kowal. Bednarz. Sklep żelazny. Sklep spożywczy. Magazyn. Cały bok dziedzińca zajmował kiedyś bar. Wtedy były to prawdopodobnie niezależne firmy, ale teraz wszystkie szyldy miały taki sam kształt. Taki sam kolor. Widniejące na nich napisy wykonano taką samą czcionką.

Okna i drzwi zamontowano w różnych konfiguracjach, lecz wszystkie były w tym samym stylu. Zrobiono je z tego samego materiału. Chyba w tym samym czasie. Obok każdych drzwi w ścianę wbudowano szklany prostokąt wielkości klawiatury typowego zamka elektronicznego, z tym że bez przycisków.

– Gdzie my jesteśmy? – zapytałem.

– W moim hotelu. Tu się zatrzymałam. Ty chyba też.

Rozejrzałem się na wszystkie strony.

– A gdzie jest recepcja?

– Nie ma. To hotel samoobsługowy. Nowa koncepcja. Należy do nowej sieci. Działają w pięciu miastach. Może w sześciu. Nie pamiętam.

– Więc jak wynajmuje się pokój?

– Rezerwuje się go online. Nikogo się nie widzi. Z nikim się nie rozmawia. W tym całe piękno.

– A klucz? Przysyłają pocztą?

Michaela pokręciła głową.

– Nie ma klucza, nie w sensie fizycznym. Przysyłają kod QR.

Milczałem.

– QR, no wiesz. Dwuwymiarowy kod kreskowy. Wyświetlasz go na telefonie i skaner otwiera drzwi. Świetny pomysł.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Zwłaszcza jeśli masz fałszywe papiery. Fałszywą kartę kredytową. I fałszywy adres mailowy. Dzięki temu nikt Cię nie wytropi.

– Ze mną to nie wypali. Nie mam fałszywych papierów. Ani karty. Ani telefonu.

– Aha. – Michaela wzruszyła ramionami. – Nie szkodzi. Później coś wymyślimy.

– Ale są tu kamery. – Wskazałem dwie najbliższe, zamontowane na ścianie, pod którą parkował jeep. Zabezpieczono je drucianą klatką. – Mogą nas wytropić.

– Niech spróbują. Wydaje się, że działają. Ale jeśli ktoś przejrzy nagranie, nic nie zobaczy. A właściwie zobaczy: bielutki śnieg. Nie ma to

jak szkolenie w formie Huachuca. To prezent na całe życie.

9

Pomajstrowała przy telefonie, po czym przystawiła ekran do czytnika pod tablicą z napisem *Carlisle Smith, kołodziej*. Otworzyły się drzwi i weszliśmy do środka. Trudno było sobie wyobrazić, żeby ktoś robił tam teraz koła czy wozy drabiniaste. Nie wśród pastelów, ozdobnych poduszek i nostalgicznych czarno-białych zdjęć. Poza tym standard. Łóżko. Kanapa. Miejsce do pracy. Szafa. Łazienka. Wszystko, czego trzeba do spędzenia wygodnej nocy. Wszystko z wyjątkiem ekspresu do kawy. Bo ekspresu nie zauważyłem. Zauważyłem za to walizkę na kółkach stojącą samotnie przy drzwiach, spakowaną i gotową do drogi. Michaela poszła za moim wzrokiem.

– Stare nawyki. – Pchnęła ją w stronę łóżka. – Zawsze gotowa do przeprowadzki. – Odwróciła się do mnie. – Myślałam, że dzisiaj też się wyprowadzę. Z Michaelem. Ale tak naprawdę to wiedziałam. Nie było szans. Czułam, że wyjadę sama. Musiałam się tylko upewnić. Nie byłam zaskoczona, ale tam, pod tym Drzewem, walnęło mnie to jak młotem. Mocniej, niż się spodziewałam. Pchnęło na samą krawędź. Przepraszam, że musiałeś na to patrzeć. Ale to już się nie powtórzy. Dobra, a teraz się skupmy. Wejdz. Rozgość się.

Musiała być minuta po trzeciej. Byłem głodny. Śniadanie jadłem dawno temu. W El Paso wcześniej wstałem. Nie wiedziałem, czy Michaela coś dziś jadła. A pewnie spadł jej poziom adrenaliny. Dlatego uznałem, że posiłek dobrze zrobi nam obojgu. I zaproponowałem, żebyśmy

coś zamówili. Nie zaprotestowała. Po prostu znowu wyjęła telefon i spytała:

– Może być pizza?

Wysunęła krzesło spod biurka, usiadła i zastukała palcem w ekran. Ja usiadłem na kanapie i czekałem, aż skończy.

– Powiedziałem Ci, skąd się tu wziąłem. Teraz Twoja kolej.

Na chwilę znieruchomiała, zbierając myśli.

– Wszystko zaczęło się chyba od wiadomości od Michaela. Zawsze byliśmy blisko, jak większość bliźniaków, ale straciliśmy kontakt. Michael bardzo się zmienił. Po tym, jak odszedł z wojska. Chyba powinienam Ci to wytłumaczyć. Służył w BCH. W batalionie chemicznym. To spece od rozbijania bomb i broni chemicznej.

– Słyszałem o nich. Wzywają ich oddziały, które natkną się na jakieś chemikalia.

– Tak, mają taki obowiązek. Ale czasem tego nie robią. Zwykły żołnierz nie zawsze wie, jak wygląda chemiczny pocisk artyleryjski. Nie zapominaj, że Irakijczycy ich nie mieli. Przynajmniej oficjalnie. Bywa, że te pociski nie są odpowiednio oznakowane. Albo są oznakowane mylnie. Celowo. Poza tym wyglądają jak inne. Zwyczajne. Są bardzo podobne zwłaszcza do sygnałowych, bo te też mają oddzielną komorę na prekursor. I chociaż żołnierze zawiadamiają tych z BCH, czasem próbują unieszkodliwić je sami. Nie chcą czekać. Mimo najszczerszych chęci mija co najmniej dwanaście godzin, zanim chemiczni zareagują. Bywa, że nawet dwadzieścia cztery. Co znaczy, że przez kolejny dzień oddział musi uważać na miny pułapki i ogień snajperów wroga i nie może opuścić zajmowanych pozycji. Rebelianci wykorzystują to, napadając na tajne składy broni i amunicji, a cywilom, którzy natkną się na nierozbrojone pociski, grozi kalectwo lub śmierć. Dlatego po przybyciu na miejsce oddział Michaela często stwierdzał, że doszło do skażenia terenu. Tak jak podczas jego pierwszej interwencji. To była ceglana komora. Podziemna. Kilku chłopców z piechoty dosłownie do niej wpadło. Przez zawalony sufit. Zaczęli się rozglądać i spanikowali. Pociski były stare. W złym

stanie. Nie zdając sobie z tego sprawy, musieli któryś naruszyć. Zawierał gaz musztardowy. Jeden ze znajomych Michaela się zatruł.

– Przeżył?

– Ledwo. Ewakuowano go. W szpitalu wprowadzono go w śpiączkę, zanim pojawiły się najgorsze symptomy. Co zaoszczędziło mu bólu. I prawdopodobnie uratowało życie.

– Michael też się zatruł?

– Nie wtedy. Ale tak, potem tak. Widzisz, Ci z BCH muszą zneutralizować każdy przejęty pocisk chemiczny. Jeśli teren, gdzie go znaleziono, jest zamieszkany, muszą go stamtąd wywieźć i dopiero wtedy detonować. A jeśli jest w nim coś niezwykłego, mają obowiązek go zabezpieczyć, żeby mogli zbadać go specjaliści. Właśnie to przytrafiło się mojemu bratu. Wiózł dwa pociski, które jajogłowi z Waszyngtonu chcieli zbadać na poligonie w Aberdeen. Jechał humvee na spotkanie z black hawkiem. Jeden z pocisków przeciekał. Michael źle się poczuł. Zdołał wrócić do bazy, ale lekarze mu nie wierzyli. Nie miał żadnych oparzeń. Ani pęcherzy. Nie brakowało mu żadnej części ciała. Albo oskarżano go o symulowanie, albo traktowano jak narkomana, bo miał zwężone źrenice. Robiono wszystko, żeby zrzucić na niego winę i oczyścić wojsko. Miał konwulsje. Bóle w piersi. Ciągłe wymiotował. Trucizna pokiereszowała mu cały system pokarmowy. W końcu wysłali go do Niemiec. Do szpitala. Chorował wiele tygodni.

– Koszmar.

– Tak. Potraktowali go fatalnie, ale wiesz, co było wisienką na torcie? Wojsko się od nich odwróciło. Od Michaela, od tego, który zatruł się gazem musztardowym, i od wielu podobnych. Purpurowe Serce? A skąd, nie dla nich. A wiesz dlaczego? Trucizna nie wyciekła podczas aktywnych działań bojowych, więc to nie wróg zadał im te rany. To tak, jakby powiedziano im, że zadali je sobie sami. I jeszcze coś. Żołnierzy, którzy zostali ranni dokładnie w tych samych okolicznościach, piechota morska odznacza. Michael uważał, że to niesprawiedliwe. Był zniechęcony. Skończył turę, rzucił wojsko, przez kilka lat włóczył się po kraju i chyba

się wykoleił. Próbowałam się z nim skontaktować, ale miałam wtedy własne problemy. – Michaela poklepała się po nodze. – I pochłaniała mnie praca.

– Czym się zajmujesz?

– Jestem laborantką. Pracuję w Huntsville w Alabamie.

– Pojechałaś do Afganistanu służbowo?

Kiwnęła głową.

– Nadzorowałam pobieranie próbek. Materiałów, które sprowadzamy do kraju i analizujemy. Mój szef wiedział, że służyłam w wojsku, więc uznał, że się nadam. Potem miałam dłuższą przerwę. Operacje. Fizykoterapia i tak dalej. Jeszcze potem przez jakiś czas miałam doła. Myślałam tylko o sobie. Ale wiadomość od Michaela mną wstrząsnęła. Nie mogłam nie zareagować.

– Co w niej napisał?

– *M – pomóż!* Odręcznie, na drugiej stronie ulotki reklamowej z Płowego Deresza. To taki bar. Tutaj, w mieście.

– Więc rzuciłaś wszystko i przyjechałaś?

– Tak, rzuciłam, ale nie przyjechałam od razu. Stare nawyki trudno wykorzenić. Najpierw trochę poszperałam. Skontaktowałam się z jego znajomymi. Porozmawiałam ze swoimi. Próbowałam ustalić, w co mógł się wplątać. Gdzie może być. Ale nikt nic nie wiedział. Kilku obiecało popytać. A potem kumpel z Sześćdziesiątego Szóstego wspomniał o pewnym facecie, kimś w rodzaju agenta. Jeśli służyłeś kiedyś w wojsku, szukałeś pracy i nie obchodziło Cię za bardzo, czy to legalne zajęcie, mógł Cię komuś polecić. Skontaktowałam się z nim. Trochę go przycisnęłam i w zawołowany sposób przyznał, że przedstawił Michaela Dendonckerowi. Przycisnęłam go jeszcze mocniej i okazało się, że w ciągu ostatnich kilku lat naraił mu kilka osób. Czasem Dendoncker szukał byłych wojskowych. Czasem konkretnych specjalistów. Ten gość podesłał mu kiedyś snajpera, specja od wielkokalibrowych karabinów wyborowych. Michael znał się na minach lądowych. Dlatego Dendoncker go zatrudnił.

– Wygląda na to, że szmugluje broń.

– Początkowo też tak myślałam. Więc przyjechałam i rozejrzałam się. Ale nie natrafiłam ani na ślad Michaela, ani na ślad szajki przemytników, ani innych przestępców. W desperacji zadzwoniłam do tego ni-by-agenta i poprosiłam, żeby podsunął mnie Dendonckerowi. Myślałam, że odmówi, ale nie, bardzo chętnie na to przystał. Powiedział, że robię mu przysługę, bo Dendoncker szuka właśnie kolejnego rekruta. Nie stawiał żadnych konkretnych wymagań, byleby to była kobieta. Trochę się wystraszyłam, bo nie wiedziałam, co się za tym kryje. Ale chodziło o życie mojego brata, więc powiedziałam: dobra, umów mnie.

– I dostałaś pracę? Tak po prostu?

– Nie. Miałam czystą przeszłość, ale dodałam kilka fałszywych referencji, żeby ją trochę podkoloryzować. A potem poszłam na rozmowę z pomagierem Dendonckera, przerażającym wielkim facetem. Zawiózł mnie na pustynię i musiałam mu udowodnić, że umiem strzelać, rozkładać broń i prowadzić samochód.

– Dendoncker nie skojarzył Cię z Twoim bratem? Macie to samo nazwisko.

– Nie, inne. On nazywa się Curtis. Ja też się tak kiedyś nazywałam, ale wyszłam za mąż i przyjąłam nazwisko męża. Nie zmieniłam go po jego śmierci. Zginął w Iraku.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie. Nie Twoja wina.

Odwróciła wzrok. Zaczekałam, aż znów na mnie spojrzy.

– Michael znał się na minach lądowych i dlatego Dendoncker chciał go zatrudnić?

– Tak twierdził ten gość.

– Co to ma wspólnego z cateringiem?

– Nie wiem. Może Dendoncker jest kimś w rodzaju pasera czy zaopatrzeniowca. Klient coś u niego zamawia, a on za odpowiednią cenę to przemyca. I potrzebuje czasem eksperta, żeby ocenić wartość towaru.

– Ale Twój brat pracował u niego na stałe, tak?

Michaela kiwnęła głową.

– Nie udało Ci się z nim skontaktować nawet wtedy, kiedy Dendoncker Cię przyjął?

– Nie. Próbowałam, ale musiałam być dyskretna. I nagle, dwa dni temu, zobaczyłam kogoś, kogo od razu rozpoznałam. Renée. Pracowała u niego w cateringu, jak ja. Tylko z inną dziewczyną. Na innych zmianach. I była tu dłużej. Lepiej orientowała się w sytuacji.

– Skąd ją znałaś?

– Nie znałam jej. Widziałam ją na zdjęciach dawnego oddziału brata.

– Pracowała tam, gdzie napełniają jedzeniem pojemniki?

– Nie. W Płowym Dereszu. W barze, z którego Michael wysłał mi tę karteczkę. Poszłam za nią, kiedy skończyła pracę. I dopadłam ją w hotelu. Przyznała, że Michael tu mieszka i pracuje u Dendonckera. Nad jakimś specjalnym projektem. Przysięgała, że nie wie, nad jakim. Wiedziała tylko, że czasem przeprowadza jakieś testy na pustyni.

– Testy min?

– Możliwe. – Michaela wzruszyła ramionami. – Poprosiłam ją, żeby pomogła nam się spotkać. Odmówiła. Powiedziała, że to zbyt niebezpieczne. Była przerażona. Więc poprosiłam ją, żeby przekazała mu chociaż list. Na to się zgodziła.

– Co mu napisałaś?

– Nie rozpisywałam się. *Przyjechałam. Odezwij się. Zrobię wszystko, żeby Ci pomóc.* Podałam swój adres mailowy. Specjalnie założyłam konto. Nikt go nie znał.

– To było dwa dni temu?

– Tak. Renée uprzedziła mnie, że prawdopodobnie nie uda jej się przekazać listu natychmiast. Ale dziś rano przyszedł mail. Przeczytałam go i od razu wiedziałam, że Michael ma kłopoty. Obawiałam się najgorszego. Ale musiałam mieć pewność.

– Skąd wiedziałaś, że brat ma kłopoty?

– Stąd, że mail był specyficznie zaadresowany. *Mickey*. Tak podpisałam swoją wiadomość. W dzieciństwie nazywali mnie tak najbliżsi przyjaciele. A mail z wytycznymi do spotkania pod Drzewem? Był zaadresowany do *Mickeya*.

– Czyli prawidłowo. Przecież brat znał Cię od urodzenia.

– Nie rozumiesz. Jako dzieci bawiliśmy się często w żołnierzy i szpiegów. Swoich prawdziwych imion używaliśmy tylko wtedy, kiedy groziło nam niebezpieczeństwo. Podpatrzyliśmy to na filmach. A w mailu Michael użył tego prawdziwego. Co znaczy, że albo groziło mu niebezpieczeństwo, albo ktoś przechwycił mój list i ten, kto do mnie napisał, nie znał naszej sztuczki z imionami.

– Co się stało z kobietą, która miała go przekazać?

– Z Renée? Nie wiem. Rano, kiedy tylko dostałam mail, pojechałam do jej hotelu. W szafie nie było ubrań. Zniknęła cała bielizna. Przybory toaletowe. Myślę, że czegoś się wystraszyła po tym, jak przekazała Michaelowi mój list. I uciekła.

10

Cicho brzęknął telefon i chwilę później ktoś zapukał do drzwi.

– Pizza – szepnęła Michaela.

Zrobiłem parę kroków w głąb pokoju, żeby zniknąć z pola widzenia, i usłyszałem, jak otwiera drzwi i dziękuje dostawcy. Potem przyniosła ręcznik z łazienki, rozłożyła go na łóżku i usiedliśmy przy wielkim kwadratowym pudle.

Jedliśmy w milczeniu.

– Mówiłaś, że Dendoncker ogląda trupy swoich ofiar – powiedziałem, kiedy skończyliśmy. – Gdzie to robi? Tam gdzie tych ludzi zabito? Czy każe je gdzieś przewieźć?

– W kostnicy. Zawsze. Lubi, kiedy leżą na wózku i można je dokładnie obejrzeć. Jak na wystawie.

– Płaci lekarzowi?

– Nie wiem. Możliwe.

– To znaczy, że musielibyśmy pokonać trzy przeszkody. Przekonać go, że jedno z nas mu zagraża. Wmówić mu, że ten ktoś, Ty albo ja, nie żyje. I namówić do współpracy lekarza. Trudne zadanie.

– Doszłam do tego samego wniosku. – Michaela strąciła okruszek pizzy z podbródka. – Myślałam o tym, kiedy jedliśmy. Tak, to trudne. Ale wykonalne. A jeśli zagrasz rolę zabitego, znam sposób na pokonanie dwóch pierwszych przeszkód.

– Mów.

– Dobrze. Przeszkoda numer jeden. Przekonać Dendonckera, że jedno z nas mu zagraża. Łatwizna. Musisz tylko podać się za Mickeya. On już to kupił. Wysłał dwóch ludzi, żeby wciągnęli go w zasadzkę. Ci faceci nie wrócili, więc jest teraz jeszcze bardziej przekonany, że Mickey to duży problem.

Milczałem.

– Przeszkoda numer dwa – ciągnęła. – Wmówić mu, że Cię zabili. To trudniejsze, ale też wykonalne. Umówimy się na kolejne spotkanie z Mickeyem, na które Dendoncker wyśle mnie. Potem...

– Zaczekaj. Jak się umówimy?

– Już zaczęliśmy. Dendoncker musiał przechwycić mój list, bo przysłał mail na adres, który tam podałam. Ale nie wie, że to ja go napisałam, bo gdyby wiedział, nie umawiałby się ze mną na spotkanie pod Drzewem, tylko od razu kazałby mnie sprzątnąć. Dlatego wyślę drugi list. Charakter pisma będzie ten sam, co przypieczętuje sprawę.

– Co mu napiszesz?

– Że nikt się dzisiaj nie stawił, więc spróbujmy jeszcze raz.

– Domyśli się, że to kłamstwo. Już wie, że tamci dwaj nie wrócili, a jeśli ma wtyczkę w policji, dowie się, że nie żyją.

– Oczywiście, że tak. Ale właśnie o to chodzi. On ma to gdzieś, że Mickey wciska mu kit. Chce tylko jak najszybciej wyeliminować zagrożenie, które Mickey stwarza. Bo co innego może zrobić? Dać mu spokój, żeby w każdej chwili mógł go dopaść? Tylko dlatego, że skłamał? Nie. Wykorzysta okazję, żeby go zdjąć. Zgodzi się na spotkanie i spróbuje go oszukać. Po raz drugi.

– Założmy, że masz rację. Że się zgodzi. I co dalej? Wyśle na spotkanie dwóch kolejnych zbirów? Trzech albo czterech?

– Nie – odparła. – W liście napiszę, że Mickey wie, że Dendoncker nie ma z Michaeliem kontaktu. Ale jest skłonny zapłacić dziesięć tysięcy dolarów za informację o miejscu jego pobytu. I chce rozmawiać tylko ze mną.

– Jak dostarczysz mu list?

– Dam go jego zastępcy. I poproszę o spotkanie. Powiem, że przed Płowym Dereszem zaczął mnie jakiś mężczyzna. Opiszę Ciebie. To przejdzie, bo na pewno zakładają, że ten pierwszy list przekazała Michaelowi Renée, inaczej by nie uciekła. A jeśli to kupią, zaproponują kolejne spotkanie. Na które stawimy się oboje, Ty i ja. Wtedy Cię zastrzelę. A przynajmniej tak zamelduję Dendonckerowi.

Podrapałem się w głowę.

– Jeśli tego nie kupią, narazisz się na duże ryzyko.

– Nie sądzę. – Zaczęła wyliczać na palcach. – Scenariusz, w którym ktoś przekazuje list za pośrednictwem jego człowieka? Pasuje. Charakter pisma? Pasuje. Adres mailowy? Pasuje. List z propozycją spotkania? Pasuje. Bardzo wiarygodny schemat. Dam radę to sprzedać. Już to robiłam. Wiele razy.

Nie odezwałem się.

– Dobrze – przyznała. – Pewne ryzyko istnieje. Ale to, czy je przyjmę, zależy tylko ode mnie.

– Jasne, pełna zgoda. Mogą to kupić i umówić się na spotkanie. Ale co będzie, jeśli przydzielą Ci kogoś do towarzystwa? Albo każą komuś obserwować Cię z ukrycia? Zameldujesz Dendonckerowi, że mnie zastrześliś, ale to nie wystarczy. Musimy to zainscenizować. Wiarygodnie.

– Da się zrobić. To też już robiłam. W Kosowie, lata temu. Byłam tam na misji. Chcieliśmy zdobyć haka na miejscowego gangstera, więc wmówiliśmy mu, że zabił amerykańskiego dyplomatę. Mieliśmy tylko sztuczną krew w specjalnej torebce, detonator, nadajnik i taśmę klejącą. Z wojskowego magazynu, ale wiem, gdzie można to wszystko kupić. W pewnym nowojorskim sklepie. Mogłabym to sprowadzić. Potrzebowalibyśmy jeszcze ślepaków, ale ślepaki już mam. Przywiozłam je ze sobą. Nie wiedziałam, co Dendoncker każe mi robić, i nie chciałam zabić nie tego, kogo trzeba.

Numer ze ślepakami i sztuczną krwią mógłby wypalić. Wiedziałem o tym z doświadczenia. Tylko że nie w Kosowie. I nie z dyplomatą.

– Pozostaje lekarz – podsumowałem. – Jeśli trzyma z Dendonckerem, możemy mieć problem. Musimy być ostrożni.

– Fakt. Ale jestem pewna, że da się go namówić, żeby wziął dzień chorobowego. Wystarczy go odpowiednio zachęcić. – Michaela puściła do mnie oko. – Jego lepiej zostawić jednak na koniec. Najpierw trzeba zobaczyć, czy Dendoncker połknie haczyk.

– No i rana – dodałem. – Powinna wyglądać realistycznie. Dendoncker musi mieć pewność, że jest prawdziwa. A przynajmniej przez chwilę w to wierzyć.

– To też nie problem. Tajni agenci często ukrywają w ranach klucz do kajdanek albo ostrze noża. Dzięki temu nawet kiedy wpadną, zostaną przeszukani, a nawet rozebrani do naga, udaje im się to zachować. Podstawy psychologii. Ludzie instynktownie unikają kontaktu z ranami. Można je kupić w tym samym sklepie. Dodam jedną do zamówienia.

Michaela zabrała pudełko po pizzy i położyła na łóżku walizkę. Otworzyła ją i z kieszeni na pokrywie wyjęła ulotkę reklamową i długopis.

– Identyczna jak tamta. – Zaczęła pisać. – Wzięłam kilka, na wszelki wypadek.

Po chwili odłożyła długopis i pokazała mi kartonik. Na jednej stronie widniało zdjęcie konia. Pewnie deresza. Na drugiej napisała wiadomość, tuż obok adresu baru. Tekst był w porządku. Kiwnąłem głową. Położyła ulotkę na łóżku, wzięła telefon i zastukała palcem w ekran.

– Napisałam, że przed Płowym Dereszem zaczepił mnie wkurzony facet, który poprosił, żebym przekazała list jakiemuś Michaelowi. Trzymaj kciuki obu rąk.

Odpowiedź nadeszła niemal natychmiast.

– Już – rzuciła Michaela. – To prawa ręka Dendonckera. Chce się spotkać. I zobaczyć ten list. Chyba weszliśmy do gry.

Wstała i wyjęła żakiet z walizki. Żeby ukryć broń.

– Gdzie się umówiliście?

– W Border Inn. – Ruszyła do drzwi. – Pod moim drugim adresem. To zwykły hotel. Zameldowałam się pod fałszywym nazwiskiem, ale ani razu tam nie nocowałam. Spokojnie, niedługo wrócę.

• • •

Drzwi się zamknęły i w pokoju zrobiło się nagle bardzo cicho. Cicho i pusto, jeśli nie liczyć delikatnego zapachu perfum, który przypominał, że przed chwilą tu była. Położyłem się na kanapie. Chciałem puścić w głowie jakąś muzykę, bo pomaga mi to zabić czas. Pomyślałem, że najlepszy będzie John Primer. Grał z Muddym Watersem aż do jego śmierci. Potem, przez czternaście lat, z Magikiem Slimem, też do jego śmierci. Lepszej muzyki być nie może. Ale chociaż próbowałem, w głowie wciąż panowała cisza. Bo martwiłem się. O Michaelę. O to, że uda jej się wcisnąć kit przydupasowi Dendonckera. Albo, co gorsza, że się jej nie uda. Bo wtedy by ją zabili. Gdyby miała szczęście.

Weź się w garść, pomyślałem. Ona służyła w wywiadzie wojskowym. Przeszła intensywne szkolenie we wszelkiego rodzaju sztukach walki. I na pewno potrafi przekonać wszystkich do wszystkiego. Niepokoiło mnie tylko jedno. Że wiem o niej jedynie to, co mi powiedziała. Czyli to, co chciała mi powiedzieć. Nic więcej. Wstałem i zacząłem przeszukiwać pokój. Niechętnie. Choć sama mnie tu zaprosiła, znów poczułem się jak intruz. Bo czułem się tak, ilekroć przeszukiwałem mieszkanie jakiegoś nieboszczyka. Miałem nadzieję, że nie jest to zły znak.

Przejrzałem zawartość walizki. Starannie poskładane i zwinięte rzeczy Michaeli. Miała w niej ubrania. Przybory toaletowe. Zapasową amunicję do glocka. Zapasową protezę. Blond perukę. Okulary zerówki. Apteczkę polową. Nie znalazłem nic, co wskazywałoby, że mnie okłamała. Sprawdziłem pod materacem. Pomacałem szwy zasłon. Zajrzałem pod kanapę. Wciąż nic. Chciałem usiąść, lecz nie usiadłem. Rozwiązanie było oczywiste. Powinienem odejść. Wyjść i nie oglądając się za siebie, po

prostu zniknąć. Plan by wtedy nie wypalił. Jego realizacja wymagała dwóch osób. Sama by sobie nie poradziła.

Ruszyłem do drzwi. I zatrzymałem się. Jeśli nie uda jej się dopaść Dendonckera, co wtedy zrobi? Wyobraziłem sobie, jak przytyka do skroni lufę pistoletu. Znowu. Nie podobał mi się ten obraz. Ani trochę. Więc wróciłem na kanapę i czekałem. Długo i w zupełnej ciszy.

• • •

Klucz nie zazgrzytał. Rozległo się jedynie ciche kliknięcie, siedemdziesiąt dwie minuty później. Drzwi się otworzyły i weszła do pokoju.

– Chyba to kupili. – Zerknęła na ekran komórki. – Na razie brak potwierdzenia. Ale czekając, nie traciłam czasu. Zamówiłam sztuczną krew i całą resztę. Ekspresową przesyłką. Powinna przyjść rano. Oby tylko nie chcieli spotkać się dzisiaj.

Ja też na to liczyłem. Ale nie tylko na to. Mieliśmy do pokonania jeszcze dwie przeszkody. I chciałem, żeby tak pozostało.

11

Przebrała się w niebieską jedwabną piżamę, położyła się, naciągnęła maskę na oczy i znieruchomiła. Ja zaległem w ubraniu na kanapie. Nie sądzę, żeby od razu zasnęła. Poznałem to po jej oddechu. Był zbyt szybki. Zbyt płytki. Zbyt spięty.

Choć zamknąłem oczy, ja też długo nie mogłem zasnąć. Coś nie dawało mi spokoju. Nie wiedziałem co, ale głęboko w mózgu widziałem czerwone światła ostrzegawcze. Wciąż błyskały, wytrącając mnie z równowagi. Około czwartej rano w końcu usnąłem. Obudziłem się o siódmej. A właściwie obudziła mnie Michaela, która siedziała w łóżku z maską na czole i rozczochranymi włosami. W wyciągniętej ręce trzymała telefon.

– O jedenastej – rzuciła zachrypniętym głosem. – Dziś wieczorem. Chcę się z Tobą spotkać. Udało się.

Nie na taki początek dnia liczyłem. Nie spałem dopiero od piętnastu sekund, a liczba przeszkód spadła już do jednej.

– Odpisz – mruknąłem. – Przypomnij im, że chcę gadać tylko z Tobą i płacę gotówką za informację.

Pomajstrowała przy telefonie i po chwili cicho brzęknął.

– Dobra. Zgodzili się.

Minutę później komórka wydała inny odgłos. Przyszedł esemes. Michaela przeczytała go i pokazała mi ekran telefonu.

– Połknęli haczyk, żyłkę i ciężarek. Od zastępcy Dendonckera. Mam być gotowa do wyjazdu.

Opadła na stos poduszek i zaczęła bawić się komórką.

– Dobra. Szukałam patologów z tego rejonu. Wyskoczyło tylko jedno nazwisko. Doktor Houllier. Wygląda na to, że jest lekarzem od wszystkiego. Pracuje w tutejszym centrum medycznym. W tym dużym budynku na przedmieściach. Pojedziemy tam, ale najpierw zaczekamy na przesyłkę. Przyjdzie przed południem. Spokojnie zdążymy.

– Nie możemy jechać we dwoje. – Usiadłem. – Musisz podpisać odbiór.

Michaela kiwnęła głową.

– Zostań – rzuciłem. – Pogadam z doktorem.

• • •

Zrobiła co trzeba z telefonem i zamówiła śniadanie. Ja wziąłem prysznic. Ubierając się, usłyszałem pukanie do drzwi, a kiedy wyszedłem z łazienki, poczułem ten zapach. Absolutnie boski. Nie ma to jak pierwszy kubek porannej kawy. Było również burrito. Zjedliśmy w milczeniu. Potem zebrałem papierowe talerze, wziąłem lustrzanki tego spod Drzewa i ruszyłem do drzwi.

– Idziesz bez broni? – spytała zaniepokojona Michaela.

– To publiczny budynek. Będą tam bramki bezpieczeństwa.

– W tym mieście? Nie sądzę.

– Nie warto ryzykować. Zresztą, po co mi broń? Jeśli Houllier jest uczciwy, namówię go do współpracy. Jeśli siedzi u Dendonckera w kieszeni, pistolet nie wystarczy.

• • •

Wyszedłem z dziedzińca wysoko sklepioną bramą, którą tam wjechaliśmy. Był piękny poranek. Idealny na długi spacer. Jasne słońce i przyjemna temperatura, bo od pustyni wciąż ciągnęło chłodem. Do tego niebo tak niebieskie, że gdyby je namalować, wszyscy powiedzieliby, że ko-

lor jest zbyt intensywny. Ulice były wąskie i kręte, a stojące przy nich domy stare i prawdziwe, jakby wyrosły wzdłuż ścieżek w czasach, kiedy chodziły nimi osły, muły czy inne zwierzęta pociągowe. Nie dostrzegłem żadnych śladów planowania. Żadnych sztuczek architektonicznych. Mieszkający tu ludzie po prostu żyli, doglądając rodzin i robiąc swoje. Popatrzyłem na dachy. Na niektórych stały anteny telewizyjne, ale nie zauważyłem ani jednego masztu telefonii komórkowej, co jeszcze bardziej spotęgowało wrażenie, że postęp to miejsce ominął i od dziesiątków lat nic się tu nie zmieniło. Nic z wyjątkiem tego, że zawitał tu Dendoncker.

Centrum medyczne, okazały, solidny gmach z jasnego kamienia, znalazłem bez trudu. Nie ulegało wątpliwości, że wznoszono go z wielką dumą. Zatrudniono prawdziwych rzemieślników, co można było poznać po dbałości o szczegóły, z jaką wykonano drzwi, okna i nadproża. W środku wypolerowaną białą podłogę zdobił kaduceusz. Dokładnie nad nim wisiała duża lampa w kształcie globusa. Sufit zwieńczono kopułą, na której wymalowano sceny z historii medycyny, od czasów jaskiniowych po drugą wojnę światową. Sądząc po stylu, w gmachu mógłby mieścić się sąd albo biblioteka. Ale wystarczyło zamknąć oczy i nie miało się wątpliwości, że to szpital. Zapach był jednoznaczny.

W recepcji ziało pustką. Na brzegu biurka z drewna tekowego z blatem wypolerowanym na błysk od wieloletniego używania leżał zamknięty laptop, a obok skórzany segregator i blok do pisania. Na ścianie wisiała oprawiona w ramę tablica informacyjna. Staroświecka, z białymi literami wciśniętymi w przerwy między fałdami materiału w nobliwym kolorze burgunda. Nie znalazłem na niej kostnicy. Pewnie dlatego, że personel medyczny nie lubi reklamować takich miejsc.

Otworzyłem drzwi z boku biurka i wszedłem do korytarza pełnego prostych drewnianych drzwi. Nie było na nich nazwisk, tylko numery. Na końcu korytarza wypatrzyłem schody. Zszedłem na dół. Częściowo dlatego, że według tablicy informacyjnej wszystkie oddziały i gabinety

mieściły się na piętrach. A częściowo kierowany instynktem. Martwych przetrzymuje się zwykle pod ziemią.

Schody zaprowadziły mnie do kolejnego korytarza, jasno oświetlonego wiszącymi pod sufitem, równo rozmieszczonymi potrójnymi jarzeniówkami. Tu były tylko jedne drzwi, opatrzone tabliczką z napisem *Kostnica*. Podeszedłem bliżej i usłyszałem głos mężczyzny. W pierwszej chwili pomyślałem, że ma towarzystwo. Nie rozumiałem wszystkich słów, lecz po sposobie mówienia, jakby recytacji, szybko poznałem, że jest sam. Coś dyktował. Prawdopodobnie notatki medyczne. Do magnetofonu. Podniosłem rękę, żeby zapukać. I powstrzymałem się. Nadeszła pora stawić czoło faktom.

Cokolwiek bym mu powiedział, niczego by to nie zmieniło.

Wycofałem się, wróciłem schodami na górę i wyszedłem na ulicę.

12

Znalazłem Płowego Deresza, minąłem go i poszedłem dalej. Odszukałem ten bar z czystej ciekawości. Okazało się, że jego motywem przewodnim są wyścigi konne, co w sąsiedztwie pobliskich domów wydawało się nie na miejscu. Poza tym był nieładny, więc na końcu ulicy wypatrzyłem knajpkę. Mniejszą i bardziej przyziemną. Zamówiłem dwie czarne kawy na wynos i zaniósłem je do hotelu. Michaela otworzyła drzwi, kiedy tylko zapukałem.

– No i? – Wpuściła mnie do środka. – Mów.

Podąłem jej kubek. Na łóżku leżały już torebki ze sztuczną krwią, miniaturowe detonatory oraz materiał do robienia sztucznych ran. I jej pistolet. Na stoliku nocnym stała szklanka pełna naboje.

– Zamieniłaś na ślepaki? – spytałem.

Kiwnęła głową.

– Tak, ale co z tym lekarzem? Jak Ci poszło?

W takich sytuacjach ślepaki są lepsze niż ostre naboje. Ale ślepaki odpalone z małej odległości też bywają niebezpieczne. Wystarczy przytknąć lufę do skroni, pociągnąć za spust, a strumień gazów zrobi swoje. Dobrze o tym wiedziałem. W wojsku prowadziłem dwie związane z tym sprawy. Bohaterem jednej był dureń, który pajacował o jeden raz za dużo. W drugiej chodziło zupełnie o coś innego.

Swój kubek postawiłem na biurku.

– Posłuchaj, musimy pogadać. O naszym planie. To nie wypali. Pora pomyśleć o awaryjnym.

– Odmówił? – Michaela trzasnęła kubkiem w stół tak mocno, że z otworu w pokrywie trysnęła fontanna kawy. – Dlaczego? Co poszło nie tak? Solidnie go przycisnąłeś?

– Nie będę kłamał – odparłem. – Nie rozmawiałem z nim. Nie było sensu. W tym planie jest za dużo dziur. Nic z tego nie będzie. Musimy wymyślić coś innego.

– Sam powiedziałeś, że są trzy przeszkody. Zagrożenie, śmierć i lekarz. Zająłem się pierwszą i drugą. Nie mogę uwierzyć, że stchórzyłeś przy trzeciej. Czułam, że powinnam załatwić to sama. Nigdy nie wysyłam faceta na babską robotę. Zaraz tam pójde. I zajmę się tym.

Sięgnęła po pistolet, ale zaszedłem jej drogę.

– Nieważne, które z nas z nim pogada – powiedziałem. – Albo nie pogada. Rezultat będzie taki sam. Lekarz jest na liście płac Dendonckera albo nie jest. Jest przychylnie nastawiony albo nie jest. Trzeba będzie go namówić, przekupić albo postraszyć, ale i tak nie ma gwarancji, że coś zyskamy. Bo nawet jeśli zgodzi się nam pomóc, to czy na pewno można mu zaufać? A jeśli zmieni zdanie? Jeśli nagle spanikuje? Zresztą założmy, że się zgodzi. Jak zachowa się Dendoncker? Będzie dźgał ciało? Moje ciało? Będzie je nakłuwał? Kroił? Rąbał? A może do mnie strzeli?

Michaela nie odpowiedziała.

– Poza tym jest mało prawdopodobne, żeby przyszedł sam – dodałem. – Ilu bandziorów przyprowadzi? Jak uzbrojonych? Kto jeszcze będzie w budynku?

Wzruszyła ramionami.

– Dobrze, schwytamy go i co dalej? – ciągnąłem. – Będziemy potrzebowali czasu, bo szybko się nie przyzna. Gdzie pójdziemy? Ile to potrwa? Gdzie jest najbliższy posterunek policji?

– Rozumiem, dotarło. – Michaela skrzyżowała ręce na piersi. – Mimo to mogłoby się nam udać.

– Pełna zgoda. Nic nie jest niemożliwe. Dałbym nam pięćdziesiąt procent szans powodzenia. Nie więcej. Pięćdziesiąt procent obarczonych dużym ryzykiem strat ubocznych.

– Mnie to pasuje.

– A mnie nie. Bo są inne rozwiązania.

– Nie ma. Musimy zrealizować plan. Dobra, zamienimy się. Powiem im, że zachorowałam, i na spotkaniu odegram rolę Mickeya. Udam, że mnie postrzelono. A w kostnicy zajmę się Dendonckerem sama.

– To nie wypali. Jeśli zachorujesz, wyślą za Ciebie kogoś innego. Kogoś, kto zabije Cię naprawdę, chyba że go uprzedzisz. Tak czy siak, nic nam to nie pomoże.

– Dobrze, więc pójdziesz tam, zaczaś się, zaczekasz, aż wszyscy się zjawią, i wystrzelisz do mnie ze ślepek, zanim zrobią to inni. Będzie im wszystko jedno, kto mnie zabił, pod warunkiem że zabił. A przynajmniej tak pomyślą.

– A jeśli sprawdzą Ci puls?

Michaela milczała.

– Albo przyłożą młotkiem w głowę, żeby sprawdzić, czy na pewno nie żyjesz?

Otworzyła usta i zamknęła je bez słowa.

– Dlaczego nie chcesz, żeby Dendoncker zgnął w więzieniu? – spytałem. – Znam pewnego agenta federalnego. Można mu zaufać. Mogłabyś z nim współpracować. Utrzymać przykrywkę. Dostarczać mu informacji. Czy nie do tego Cię wyszkolono?

– Za długo by to trwało. Musimy to zrobić dziś wieczorem. Znajdę jakiś sposób. Z Tobą albo bez Ciebie.

– Dlaczego tak się śpieszysz? Najlepszym sposobem na uhonorowanie pamięci Twojego brata jest zrobić to porządnie. Na przykład co z tymi, którzy weryfikowali informacje o Dendonckerze? Tymi, którzy wpuścili go do kraju. Muszą mieć duże wpływy. I jeśli popełnili błąd, na pewno zechcą go naprawić. Choćby po to, żeby uniknąć blamażu.

– Nie chodzi tylko o Michaela. Nigdy nie chodziło.

– Nie? Więc o kogo jeszcze?

– O zwykłych ludzi. Nie znam ich nazwisk.

– O weteranów wojennych z ekipy Dendonckera?

- Nie. O przypadkowe osoby.
- Konkretnie o kogo? O jakie osoby?

Michaela wzięła oddech.

- Reacher, o czymś Ci nie powiedziałam. Wiem, do czego Dendonckerowi są potrzebne samoloty. Co chce nimi przewozić. Bomby.
- Skąd wiesz?
- Bo to Michael je konstruował.

13

Odsunęła torebki ze sztuczną krwią i usiadła na łóżku. Objęła głowę rękami. Oparła łokcie o kolana. I znieruchomiała na długą chwilę. Potem się wyprostowała.

– Nie okłamałam Cię. Nie powiedziałam tylko całej prawdy.

– Więc lepiej powiedz. Jeśli chcesz, żebym zmienił zdanie.

– Dobrze. Cofnijmy się do czasu, kiedy skończyłam z wojskiem. Zajął się egzekwowaniem prawa. Wstąpiłam do FBI. Zostałam agentką specjalną. Specjalizowałam się w analizowaniu dowodów rzeczowych. Pracowałam w kilku placówkach terenowych, a ponieważ dobrze mi szło, przydzielono mnie do TEDAC*. Wiesz, co to jest?

– Nie bardzo – przyznałem.

– Centrum analiz terrorystycznych ładunków wybuchowych. Nowa branża, coś w rodzaju kryminalistyki wojennej. Powstała podczas drugiej wojny w Zatoce. Nasi żołnierze dostawali łupnia. Ktoś wpadł na pomysł, żeby zbierać dowody rzeczowe i wysyłać je do Quantico. Powołano specjalny zespół, który miał je analizować. I który wymyślił sposób wykrywania improwizowanych ładunków wybuchowych. Skutecznej przed nimi obrony. Ich rozbierania. Doszli w tym do tak dużej wprawy, że potrafili zidentyfikować tych, którzy je konstruowali. Czasem konkretną osobę, czasem wytwórnię. Odzyskane składniki bomb opowiadają swoją historię. Podobnie jak techniki ich łączenia. Ważny może być nawet sposób, w jaki konstruktor poprowadził ten czy inny przewód. Zespół odnosił tak duże sukcesy, że został poszerzony i prze-

niesiony do nowej siedziby w Alabamie. Powiększono również zakres jego kompetencji. Działa teraz na całym świecie. Dzieli się informacjami z partnerami. Dzięki ich pomocy przeprowadzono dziesiątki aresztowań w wielu krajach. Londyn. Berlin. Addis Abeba. A to tylko w ciągu kilku ostatnich tygodni. Dowodów przybywa, napływają z coraz dawniejszych czasów. Słyszałam, że w drodze są materiały z Lockerbie w Szkocji. Z Jemenu. Na miejscu są już materiały z Bejrutu, z zamachu bombowego na koszary piechoty morskiej w latach osiemdziesiątych.

Kolejne dziwne echo z przeszłości. Wiele lat myślałam o żołnierzu, którego szczeka skończyła w moim brzuchu. I o innych żołnierzach piechoty morskiej, którzy zginęli tamtego dnia. Ale dowody rzeczowe? Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Wiem, że eksperci zbierali je i dokładnie badali, za pomocą najlepszych narzędzi i technik, jakie były wtedy dostępne. Myślałam, że po sprawdzeniu wszystkich tropów i śladów po prostu się ich pozbywano. Że je wyrzucano. W jakiś sposób niszczone. Najlepiej ogniem. Nie przypuszczałam, że sprowadzano je do kraju. Po tylu latach. Po tylu trupach.

– Powstała inicjatywa, która ma ułatwić im pracę. Międzynarodowy program wspierający zbieranie i badanie wojennych dowodów rzeczowych. Brałam udział w jego pracach. Zadaniem programu jest wysyłanie specjalistów do krajów partnerskich i szkolenie miejscowych ekspertów. W tym afgańskich. Wysłano mnie tam ze względu na moje doświadczenie. Na miejsce zamachu, którego dokładnie nie sprawdzono. Wszystko wskazywało na to, że dokonali go terroryści z Al. Kaidy. Ukrywają ładunki wybuchowe. Jedne od razu widać. Inne nie. No i wszyscy widzą, jak się to dla mnie skończyło... A właściwie dla mojej nogi.

– Dlatego zaczęłaś pracować w laboratorium?

– Tak. Ale nie odeszłam z FBI. Nie mogłam już jeździć w teren, więc przeszkolono mnie do czegoś innego. Analizuję teraz materiały biologiczne. A raczej analizowałam. Zdejmowałam odciski palców, głównie ze starych ładunków wybuchowych. Szukałam włosów, czegokolwiek,

co zawierało ludzkie DNA. Nieciekawie, nudne zajęcie, ale czasem dawało satysfakcję. Jak choćby miesiąc temu. Trafiła do nas sprawa pracownika kuwejckiej spółki naftowej. Dostaliśmy cynk, że gość sympatyzuje z Al. Kaidą. Iracką. FBI przeprowadziło tajną operację i nagrało, jak chwalił się agentowi, że konstruował bomby w piwnicy w Abu Ghurajb. Sprawdziliśmy miejsca i daty, wzięliśmy na tapetę dowody, których jeszcze nie zbadano, i zgadnij, co odkryłam. Na fragmencie bomby, która eksplodowała na poboczu drogi, znalazłam jego odcisk palca. Dla mnie medal. Dla niego dożywocie. Byłam zadowolona. Z tamtej sprawy, ale nie z ostatniej. Przysłano nam niewybuch. Dla nas to Święty Graal. Nietknięta bomba. Prawdziwa uczta. W tym przypadku też. W oczy rzucało się kilka rzeczy. Po pierwsze, nie nadeszła z zagranicy, tylko znaleziono ją w Stanach. Po drugie, zainstalowano w niej chip GPS-u, który, jak sądziliśmy, miał informować terrorystów, że cel jest blisko i można detonować ładunek. Z tym że GPS był jedynie systemem pomocniczym. Zapasowym. Bo, po trzecie, w bombie zainstalowano również transponder.

– Nie wiem, co to takiego – przyznałem.

– No więc są dwie części. Jedna wysyła sygnał radiowy. Druga odpowiedź. Jedna jest w bombie. Drugą ma przy sobie cel. Który prawdopodobnie o tym nie wie. Myślę, że w tym przypadku głównym mechanizmem detonującym miał być transponder.

– A jeśli sygnał detonujący wysła jakieś inne urządzenie?

– Niemożliwe. Każda para ma swój kod. Jeśli kod się nie zgadza, nic się nie dzieje. Pewnie dlatego bomba nie wybuchła. Druga część transpondera nie znalazła się po prostu w zasięgu pierwszej. Na szczęście. Bo dzięki temu ocalało mnóstwo ludzi. W bombie znalazłam coś jeszcze. Też na szczęście. Odcisk palca. Na samym transponderze. Przysłano mi go do identyfikacji.

– Czyj odcisk?

– Mojego brata.

– I co zrobiłaś?

Michaela nie odpowiedziała. Wbiła wzrok w podłogę. Potem spojrzała na mnie.

– Byłam wstrząśnięta, to oczywiste. Sprawdziłam odcisk jeszcze raz. Potem drugi i trzeci. Błąd nie wchodził w rachubę. To był odcisk mojego brata.

– Czy Michael mógł...

– To nie wszystko. Dano mi do zbadania ulotkę reklamową z Płowego Deresza. Nie było na niej żadnej wiadomości. Zmyśliłam to, kiedy rozebrałam bombę na części. Oprócz ulotki była w niej prezerwatywa. W opakowaniu. Nie mam pojęcia, co Michael chciał mi dać do zrozumienia. Może miało to wyglądać tak, jakby wpadła tam przypadkowo. Gdyby na przykład zobaczyli ją ludzie Dendonckera. W każdym razie doszłam do wniosku, że brat kaja się za swoje grzechy. Że chce przestać. Chce stamtąd uciec. Wiedział, gdzie pracuję. Wiedział, co robię. Wiedział, że znajdę jego odcisk. Bo rzucał się w oczy. To rzadkość. Konstruktorzy bomb używają dzisiaj rękawiczek, ponieważ zdają sobie sprawę, czym grozi praca gołymi rękami. Dlatego spanikowałam. I nie jestem z tego dumna. Zniszczyłam odcisk. Zniszczyłam transponder. Ulotkę z Płowego Deresza też. I odeszłam z FBI. Cała reszta to prawda.

– Dowiedziałaś się czegoś jeszcze?

Zamknęła oczy, otworzyła je i pokręciła głową.

– Nie. Nie udało mi się dotrzeć do Michaela.

Upiłem łyk kawy i rozważyłem to, co mi powiedziała. Znalaziono bombę z transponderem. Odcisk palca. Ulotkę reklamową. I prezerwatywę. Ale nie znalaziono żadnej wiadomości. Coś tu nie pasowało.

– Ta bomba... Gdzie ją znalaziono? – spytałem.

– Na prywatnym lotnisku.

– Miało być celem?

– Nie wiem.

– Była duża?

– Na tyle mała, że można ją było łatwo ukryć. I na tyle duża, że wyrządziłaby znaczne szkody. Wszystko zależy od miejsca detonacji, ale

gdyby zginęło mniej niż pięćdziesiąt osób, powiedziałabym, że to cud.

– A gdyby wybuchła na pokładzie samolotu? Gdyby to samolot był celem? I do eksplozji doszłoby nad miastem? Nad centrum handlowym? Albo nad stadionem?

– To możliwe, ale mało prawdopodobne. Była wypełniona szrapnelami. Szrapnele to konfiguracja przeciwpiechotna. Gdyby miała zniszczyć samolot, włożono by do niej specjalnie ukształtowany pocisk, który uszkodziłby kadłub, a przynajmniej zniszczył główne systemy maszyny.

– To już coś. Założmy, że Ci ludzie mają jeszcze inne bomby. Kiedy mogą ich użyć?

Michaela wzruszyła ramionami.

– Jutro. Za tydzień. Za rok. Stąd pytanie: czy możemy zwlekać?

– Ile bomb zrobił Michael?

Znów wzruszyła ramionami.

– Może tylko jedną, a może pięćdziesiąt. I mogą być wszędzie.

Pięćdziesiąt bomb to setki zabitych. Może nawet tysiące. Dendoncker miał odpowiednie środki. Miał możliwości. Było mnóstwo bojówek terrorystycznych gotowych zapłacić mu za to duże pieniądze. Przy tylu ofiarach pięćdziesięcioprocentowa szansa powodzenia naszego planu nie wyglądała tak źle. Dopiętem kawę.

– Siedź tu. Pójdę porozmawiać z lekarzem.

* Skrót od Terrorist Explosive Device Analytical Center.

Szedłem szybciej. Słońce prażyło mocniej. Opustoszałe chodniki były dużo węższe. Domy stały bliżej siebie. Atmosfera niemal przytłaczała. Dotarłem do centrum medycznego i od razu wszedłem do środka. Hol wyglądał tak jak przedtem, tylko że teraz przy biurku siedziała kobieta. Trudno powiedzieć, w jakim wieku. Ale przekroczyła już chyba wiek emerytalny. Miała srebrzyste włosy zaplecione w kilka skomplikowanych warkoczy i kocie okulary, takie, jakie widuje się na zdjęciach z lat sześćdziesiątych. Była w schludnej kremowej bluzce, a na jej szyi wisiał dyskretny sznur pereł. Zerknęła na mnie, ale kiedy zobaczyła, że idę w stronę drzwi do podziemi, uciekła wzrokiem w bok. Jedną z korzyści tego, że ludzie Dendonckera robili tu interesy. Nie ucieszyłem się jednak, że wzięła mnie za zwykłego bandytę.

Przystanąłem pod drzwiami do kostnicy i wytężyłem słuch. Usłyszałem muzykę. Klasyczną. Głównie fortepian. Chyba coś Beethovena. Zapukałem i wszedłem, nie czekając na zaproszenie. Natychmiast uderzył mnie paskudny odór. Jakbym wpadł na niewidzialną ścianę. Dobrze go znałem. Krew. Wydzieliny. Środki odkażające. I chemiczne środki konserwujące. Był jednak tak silny, że zeszywniałem.

Na środku pomieszczenia stał mężczyzna. Siwowłosy. W białym fartuchu laboratoryjnym. I okularach w metalowych oprawkach, na łańcuszku. Mocno przygarbiony. Za nim zobaczyłem pięcioro stalowych drzwi. A z boku biurko z wyłączonym komputerem. I bloczkiem czystych formularzy. I eleganckim piórem wiecznym.

Mężczyzna stał przy stole ze stali nierdzewnej, z podwyższonymi krawędziami. Spoczywało na nim ciało. Mężczyzny. Nagie. Z odpiłowaną górną częścią czaszki. Rozciętą, szeroko rozchyloną klatką piersiową. I z rozprutym brzuchem. Kanalikami biegnącymi wzdłuż krawędzi stołu płynęła krew, która ściekała do studzienki. Był tam również wózek z narzędziami. Ostrymi i zakrwawionymi. I drugi wózek, pełen słoików z czymś czerwono-brązowym i galaretowatym. Na tym drugim stała też waga z mózgiem na szali.

Mężczyzna zdjął okulary i przeszył mnie wzrokiem.

– Przynajmniej pan zapukał. To już coś. Kim pan jest? Czego pan chce?

Sprawił wrażenie bezpośredniego, więc postanowiłem zachować się podobnie.

– Nazywam się Reacher. Doktor Houllier?

Kiwnął głową.

– Przyszedłem prosić pana o pomoc.

– Co się stało? Ktoś zachorował? Jest ranny?

– Chciałbym, żeby jutro nie przyszedł pan do pracy.

– Wykluczone. Pracuję tu od ponad czterdziestu lat i nie opuściłem ani jednego dnia.

– Rekord godny podziwu.

– Niech pan mi nie kadzi.

– Dobrze, spróbujmy inaczej. Mieszka tu ktoś, kogo nazwisko powinno panu coś mówić. Waad Dendoncker.

Houllierowi zwęziły się oczy.

– A jeśli mówi?

– Dobrze go pan zna?

Chwycił zakrwawiony skalpel i wziął zamach.

– Rzuci pan jeszcze jedno takie oszczerstwo, a zapomnę o przysiędze Hipokratesa i wytnę panu serce. Jest pan wielki, ale to bez znaczenia. – Machnął ręką w stronę stalowego stołu. – Sam pan widzi, że się na tym znam.

– Rozumiem, że pan za nim nie przepada.

Lekarz rzucił skalpel na wózek.

– Coś panu opowiem. Nasze ścieżki przecięły się dziesięć lat temu. Pracowałem w kostnicy, tutaj, w tym pomieszczeniu. Otworzyły się drzwi. I weszło dwóch jego ludzi. Bez pukania. Bez żadnego „Przepraszam”. Nie powiedzieli ani słowa. W każdym razie nie od razu. Wręczyli mi tylko kopertę, w której było zdjęcie. Mojego brata. Przed domem w Albuquerque. Jestem kawalerem. Nasi rodzice nie żyją. Donald jest moją jedyną rodziną. A ten zbir mówi mi, że jeśli chcę zobaczyć go żywego, to muszę z nimi iść.

– I poszedł pan?

– Oczywiście. Wsadzili mnie do rozklekotanego, starego wojskowego jeepa i zawieźli na pustynię. Jakies dwadzieścia kilometrów stąd. Około. Trudno powiedzieć. Czekali tam jacyś ludzie. Dendoncker, paru jego zbirów i dwóch innych. Nie powiedziano mi tego wyraźnie, ale domyśliłem się, że to jego klienci. Przyjechali kupić granaty. I poprosili o demonstrację. W piasku był głęboki dół. W dole ludzie. Dwie kobiety. Nagie.

– Kto to był?

– Nie znałem ich. Potem kierowca jeepa powiedział mi, że pracowały dla Dendonckera. I nie wykonały jego poleceń. To miała być kara. Dendoncker wrzucił coś do dołu. Granat. Usłyszałem przeraźliwy krzyk. A potem huk. Wszyscy podbiegli bliżej. Chcieli zobaczyć. Ja nie, ale Dendoncker mnie zmusił. Niech pan mi wierzy, widziałem wiele ran. Widziałem każdą możliwą makabrę i koszmar. Obserwowałem i przeprowadzałem zabiegi chirurgiczne. Ale to było gorsze. To, co granat zrobił z ciałami tych kobiet... Od razu zwymiotowałem. Tam, na miejscu. Bałem się, że Dendoncker każe mi coś z tymi ciałami zrobić, ale nie. Jeden z jego ludzi podjechał do dołu jeepem z zamontowanym pługiem śnieżnym. I po prostu zasypał dół. Dendoncker i jego klienci zostali, żeby porozmawiać o interesach. A Ci, z którymi przyjechałem, odwieźli mnie tutaj, do centrum. Powiedzieli, że następnego dnia, najdalej za dwa dni,

na mój stół trafią czyjeś zwłoki. Że mam przeprowadzić dokładną sekcję, ale bez oficjalnej dokumentacji. I przygotować się do rozmowy.

– Z Dendonckerem?

– Tak.

– A gdyby pan odmówił?

– Powiedzieli, że wykopią kolejny dół. Wrzucą tam mojego brata i każą mi patrzeć na wybuch granatu. Jeśli zamknę oczy, obetną mi powieki.

– A te zwłoki, o których wspominali... Podrzucili je panu?

– Trzy dni później. Nie mogłem spać, bo wyobrażałem sobie, w jakim będą stanie. Ale to był tylko postrzał. Na szczęście. Przynajmniej dla mnie.

– Ile ciał trafiło do pana od tamtej pory?

– Dwadzieścia siedem. Głównie z ranami postrzałowymi. Dwa ze zmiądzoną czaszką.

– Dendoncker przychodził je oglądać?

Houllier kiwnął głową.

– Zawsze. Za każdym razem, jak w zegarku. Ale trochę się uspokoił. Początkowo żądał szczegółowych analiz. Zawartości żołądka. Osadu na skórze i pod paznokciami. Śladów wskazujących, że denat przyjechał z zagranicy. Teraz wystarczy mu krótki protokół.

– Ale wciąż ogląda ciała, tak?

– Tak.

– Dlaczego?

– To może być jakieś zaburzenie psychiczne. Nie zamierzam się w to wgłębiać, to nie moja działka. Ale ten człowiek mnie przeraża. Ilekroć tu przychodzi, chcę tylko, żeby jak najszybciej wyszedł.

Milczałem.

– Wróć, poprawka: chcę, żeby w ogóle przestał tu przychodzić. Ale nie mogę go do tego zmusić, więc nauczyłem się z tym żyć.

– Mam na to skuteczne lekarstwo. Do zastosowania w tym pomieszczeniu.

– Jeśli tak, to rozumiem, że ktoś ma udawać nieboszczyka. Kto? Pan? Skinąłem głową i opowiedziałem mu o ranie postrzałowej na mojej piersi i rekwizytach, dzięki którym będzie wyglądała jak prawdziwa.

– Gdzie ma dojść do tej strzelaniny? – zapytał Houllier.

Podąłem mu namiary miejsca, które człowiek Dendonckera przysłał Michaeli.

– A jak przetransportuje pan tutaj swoje ciało?

Tego jeszcze nie wymyśliłem. Kiedy realizuje się dziurawy plan działania, dziury mają zwyczaj się mnożyć.

– Nie wie pan, prawda?

Nie odpowiedziałem.

– O której mają pana postrzelić?

– Kilka minut po jedenastej wieczorem.

– Dobrze, sam pana przywiozę.

– Nie – zaprotestowałem. – Nie może pan się w to mieszać. Niech pan pamięta o swoim bracie.

– Donald nie żyje. Zmarł w zeszłym roku.

– Miał żonę? Dzieci?

– Dzieci nie miał. A jego żony nie lubię. Zresztą jest chora. Ma raka. Z przerzutami. Umarłaby, zanim Dendoncker dowiedziałaby się, w którym hospicjum leży. Dlatego dam panu numer i niech pana współniczka do mnie zadzwoni. To bezpośrednia linia. Omija dziewięćset jedenaście, co ułatwi sprawę.

– Na pewno chce pan wziąć w tym udział?

– Na pewno. Ale Dendoncker przyjdzie dopiero rano. Co znaczy, że musi pan tu spać. Jego ludzie mogą obserwować szpital i niedobrze by było, gdyby zobaczyli wychodzącego i wracającego nieboszczyka. Przyjdę wcześniej i przygotuję pana do wizyty w chłodni. Niestety, będzie pan miał towarzystwo, więc nie mogę podnieść temperatury. Ale podam panu łagodny środek uspokajający, żeby nie dygotał pan z zimna. I zakleję panu oczy. Na wszelki wypadek. Jak długo potrafi pan wstrzymać oddech?

Raz wytrzymałem bez oddychania ponad minutę. Ale pod wodą. Ostro płynąc. Walcząc o życie. Tu będzie inaczej. Leżenie nie wymaga wysiłku. A jeśli już, to tylko wysiłku niezbędnego do tego, żeby leżeć kompletnie nieruchomo.

– Dziewięćdziesiąt sekund – odparłem. – Maksymalnie dwie minuty.

– Dobrze. Będę pilnował czasu. Odwróć jego uwagę, jeśli będzie się grzebał. Zwykle załatwia to szybko, więc jestem w miarę spokojny. A teraz proszę mi coś powiedzieć. Ale szczerze. Co chce pan z nim zrobić?

– Oddać go w ręce policji.

Przez twarz lekarza przemknął wyraz zawodu.

– Zwykle przychodzi sam? – zapytałem. – Czy z obstawą?

– Z obstawą. Nazywam ich goryłami. Jeden wchodzi i sprawdza, czy wszystko jest w porządku. Potem woła Dendonckera i tego drugiego.

– Mają broń?

– Jeśli tak, to ukrytą.

– Dobrze. Mimo że pański brat nie żyje, naraża się pan na ryzyko. Dużo bezpieczniejszy byłby pan w domu. Albo poza miastem.

– Nie – odparł Houllier. – Dendoncker za długo miał nade mną przewagę. Przyrzekłem sobie, że jeśli kiedykolwiek będę mógł mu się postawić, to się postawię. Chyba nadeszła pora.

– Dziękuję, doktorze. Jestem panu bardzo wdzięczny. Ale gdyby zmienił pan zdanie...

– Nie zmienię.

– W takim razie do wieczora.

– Jeszcze jedno. Jestem lekarzem. Przysięgałem nie robić nikomu krzywdy. Pan nie. Zwłaszcza Dendonckerowi. Mam nadzieję, że rozumie pan, co chcę powiedzieć.

15

O jedenastej wieczorem, zgodnie z umową, zająłem pozycję pod latarnią.

Wieczór był chłodny. Przyszedłem trzy godziny wcześniej, żeby sprawdzić, czy na pewno jestem sam. Żałowałem, że nie wziąłem kurtki. Byłem tylko w podkoszulku. Żółtym. I wielkim. Workowatym, zbyt obszernym nawet dla mnie. Ale nie miałem wyboru. Musiałem ukryć torebkę ze sztuczną krwią, którą przykleiłem do piersi. Nie chciałem ryzykować. Kurtka mogłaby się rozchylić i skończyłbym z dziurą po kuli nie tam gdzie trzeba.

Samochód pojawił się dwie minuty później. Miał jaskrawe światła, więc trudno było rozpoznać markę i model, ale na pewno nie był to jeep. Michaela miała przyjechać jeepem. W ogóle nie widziałem, kto siedzi za kierownicą. Chwilę później otworzyły się drzwi. Przednie, od strony kierowcy i pasażera. Wsiadło dwóch mężczyzn.

Niezgodnie z umową.

Potem otworzyły się drzwi tylne. I wysiadło jeszcze dwóch.

Nie tak się umawialiśmy. Zdecydowanie.

• • •

Zmierzyłem ich wzrokiem. Najniższy miał metr osiemdziesiąt trzy, najwyższy metr osiemdziesiąt pięć wzrostu. Każdy ważył ponad dziewięćdziesiąt kilogramów. Nie zauważyłem nic, co by mnie zaniepokoiło. Czekałem tylko, aż z tylnego siedzenia samochodu wysiądzie Michaela.

Nie wysiadła.

Albo wycofano ją z akcji, bo po stracie dwóch ludzi Dendoncker postawił na większą siłę ognia, albo ją przejrzał i kazał na dobre wyeliminować. Wątpiłem, żeby Ci czterej wiedzieli, co zrobił. Paranoiczni szefowie rzadko kiedy dzielą się swoimi planami z podwładnymi od mokrej roboty. Dlatego postanowiłem podejść do tego inaczej. Zredukować ich liczbę, a tego, który ocaleje, przekonać, żeby zaprowadził mnie na początek łańcucha pokarmowego.

Kierowca ocaleć nie miał. To na pewno. Od razu podszedł bliżej i jak głupi zaczął mnie namawiać, żebym wsiadł do samochodu. Czego nie zamierzałem robić. W każdym razie nie od razu. Facet zrozumiał, że blef nie wypali, i zmienił taktykę. Spróbował mnie do tego zmusić. Wyjął pistolet. A kiedy stoi się blisko przeciwnika albo jest się w zasięgu jego rąk, to poważny błąd. Może pomyślał, że jak duży, to powolny. Albo po prostu był głupi. Czy zbyt pewny siebie. W każdym razie szybko zmniejszyłem dystans, chwyciłem go za nadgarstek, pozbawiłem broni i złamałem mu kilka żeber.

Potem podniosłem z ziemi jego pistolet, na wypadek gdyby pozostali trzej okazali się na tyle bystrzy, żeby zaatakować jednocześnie. Ale ich przeceniłem: z szeregu wystąpił następny, ten stojący w środku pozostałej trójki. Podszedł bliżej, przyjął pozycję rodem ze sztuk walki i przeraźliwie wrzasnął, co miało mnie chyba wystraszyć. Zamarkował cios w twarz, a potem wyprowadził właściwy, w brzuch. Odparowałem go zewnętrzną stroną lewej ręki, a prawą uderzyłem w biceps. Dałem mu szansę, mógł spokojnie odejść. Uznałem, że tak będzie sprawiedliwie. Lecz z niej nie skorzystał. Skoczył do przodu, skręcił się jak sprężyna i wyprowadził zamaszty cios w głowę. Odchyliłem się do tyłu, podążyłem wzrokiem za przelatującą tuż obok pięścią, po czym wbiłem sterczący kłykiec w jego mięsień trójgłowy. Dałem mu kolejną szansę, ale odpłacił mi się, próbując kopnąć mnie w krocze. Nie zdążył, bo tuż przed tym ja kopnąłem go w goleń, wykorzystując przeciwko niemu impet jego własnej rozpędzonej kończyny. Pękła mu kość. Co naj-

mniej jedna. Przez parę sekund facet skakał na jednej nodze, okropnie krzycząc, i w końcu, gdy jego pęknięte kości zetknęły się ze sobą, zemdlał. Zostało jeszcze dwóch.

Ci postanowili podnieść poprzeczkę. Wyjęli z bagażnika trzonki do siekiery. Wyższy wziął potężny zamach, chybił o kilometr, a wtedy do akcji wkroczył jego kumpel i zaczął dźgać mnie trzonkiem jak włócznią. Dwa dźgnięcia zamarkował, po czym wycelował w brzuch, ale zdradził swoje zamiary, zapierając się mocno o ziemię. Chwyciłem za trzonek, wyrwałem mu go, wziąłem zamach i zdzieliłem go w głowę, jakbym rąbał drewno.

Ostatni spanikował. Machnął trzonkiem kilka razy, nie było jednak szans, żeby trafił. Musiał to zrozumieć, bo sięgnął po broń. Ale tak jak kierowca, stał zdecydowanie za blisko. Wytrąciłem mu pistolet. Chwyciłem go za szyję i zacząłem z nim pertraktować, gdy nagle usłyszałem: „Stój!”.

Głos Michaeli. Która wyszła zza rzędu garaży po prawej stronie. Z glockiem w wyciągniętych rękach. Próbowwała zrealizować nasz plan, tylko że dokładnie między nami stał facet. Kiepska sprawa. Gość był jedynym świadkiem. Gdyby jej kula przeszła go, zanim trafiłaby we mnie, nie uwierzyłby, że nie żyję. Mógłbym odepchnąć go na bok, ale to też byłoby podejrzane. Jeśli natomiast przyciągnąłbym go bliżej, wyglądałoby to bardziej realistycznie. Jakbym wykorzystał go w charakterze tarczy.

Spojrzałem na Michaelę. Zerknąłem na swoją pierś. Miałem nadzieję, że jednoznacznie. Że Michaela dostrzeże właściwe miejsce. W tych okolicznościach strzał był najlepszym rozwiązaniem. Próbowiałem zmusić ją do tego siłą woli. Zobaczyłem, jak bierze oddech i wypuszcza powietrze. Przygotowałem się na huk. Poczułem lekkie ukłucie w pierś i zimną wilgoć. Rzuciłem się do tyłu. Widziałem wielu postrzelonych. Jedni po prostu osuwają się na ziemię, jakby nagle zasnęli. Inni fruną w powietrzu i padają jak kłoda. Wybrałem coś pośredniego. Rozrzuci-

łem szeroko ręce i upadłem z podniesionym kolaniem i odchyłoną do tyłu głową.

– Nie byłam Wam potrzebna, co? – Michaela podeszła bliżej. – Spokojnie, nie ma pośpiechu. Przepraszam mnie kiedy indziej. Byle ładnie.

– Coś Ty, do diabła, zrobiła?! – Mężczyzna wpadł w szal. – Mieliśmy wziąć go żywcem! Dendoncker chciał go przesłuchać!

– Żywcem? Gdybym nie przyjechała, żyłby tylko on. Bo skończyłbyś jak tych trzech idiotów.

Poczułem dotyk palców na szyi. Szczupłych. Trochę zimnych. Lekko zadrżałem.

– Tak czy inaczej, już po nim. Nie ma co płakać. – Michaela udała, że przeszukuje moje tylne kieszenie. – Nie ma kasy, tak jak myślałam. To była podpucha, od samego początku. Dobra. Zadzwoń pod dziewięćset jedenaście, niech go zabiorą. I zamelduj o tym Dendonckerowi. Możesz wszystko zwalić na mnie. Ale pod jednym warunkiem. Najpierw załadujesz swoich kumpli. Kiedy przyjedzie karetka, czeka mnie długi spacer do samochodu.

16

Spałem w tylu dziwnych i niewygodnych miejscach, że nawet ich nie zliczę. Ale nigdy w kostnicy. W sumie było mi bardziej komfortowo, niż się spodziewałem. Przynajmniej fizycznie. Doktor Houllier dał mi zwijany materac, śpiwór i maskę na oczy, taką, jakie rozdają w samolotach. Potem zostawił mnie i wrócił o szóstej rano. Przyniósł kawę i kiedy ją piłem, zaczął lepić sztuczną ranę z czegoś przypominającego glinę. Zadbał o odpowiednią wielkość. O kształt. O wystrzępione brzegi i kolor, kombinację zaognionej czerwieni i brązu w miejscach skrzepnięcia. Kiedy już uznał, że wygląda wiarygodnie, przykleił mi ją do piersi. Potem zrobił mi kilka zastrzyków. W obie ręce. Obie nogi. W pierś i w brzuch. Zabrał poślanie, ukrył je za drzwiami chłodni po prawej stronie i zerknął na zegar ścienny.

– No dobrze, już czas.

Otworzył środkowe drzwi i wyciągnął półkę. Rozebrałem się, a on schował moje ubranie tam gdzie materac i śpiwór. Położyłem się. Okrył mnie prześcieradłem i zakleił mi oczy taśmą.

– Powodzenia – rzucił. – Tylko niech pan nie narobi tu bałaganu, kiedy już przyjdą.

Naciągnął prześcieradło na moją głowę i wsunął półkę do chłodni. Całą. Usłyszałem, jak zamyka drzwi. I wyczułem, że zapadła całkowita ciemność. Dostałem gęziej skórki między łopatkami. Nie znoszę zamkniętych przestrzeni. Od zawsze. To chyba coś pierwotnego. Dlatego wyobraziłem sobie, że unoszę się w powietrzu. Chłodnia miała w środ-

ku tylko jedną komorę. Niepodzieloną. Było w niej mnóstwo miejsca. Poczułem się trochę lepiej, ale natychmiast przypomniało mi się półciartowane ciało ze stołu Houlliera. Nie wiedziałem, po której stronie leży. Jakaś część mnie chciała je zobaczyć. Ale ta druga, większa, powiedziała: Nie.

Leżałem tak prawie godzinę, zanim drzwi się otworzyły. Bezgłośnie. Nagle wyczułem światło i półka wyjechała na zewnątrz. Gładko i powoli. Ktoś ściągnął prześcieradło z mojej twarzy. Usłyszałem nosowy głos, ostry i stanowczy:

– Odsuń się.

Prześcieradło zniknęło. Spadło na podłogę. I znowu odezwał się ten nosowy głos, pewnie Dendonckera. Spytał, jak zginąłem. Houllier odpowiedział. Potem rozmawiali o moich ranach. Bliznach. O tym, jak mogły powstać. I co o mnie wiadomo.

Sześćdziesiąt sekund bez oddechu. Dość niekomfortowe. Ale wykonalne.

Znów okryło mnie prześcieradło. Najpierw tułów, potem twarz. Ale zanim zdążyłem wziąć oddech, znowu ktoś je ściągnął. Rozpoczęła się rozmowa o moim fałszywym nazwisku i adresie. Potem o nazwisku prawdziwym. Pytanie–odpowiedź, pytanie–odpowiedź, i tak bez końca. W którymś momencie wyczułem, że Dendoncker podchodzi bliżej. Nie widziałem go, lecz wiedziałem, że mi się przygląda.

Dziewięćdziesiąt sekund ze wstrzymanym oddechem. Brakowało mi tlenu. Paliły mnie płuca. Ciało rozpaczliwie domagało się ruchu.

Dendoncker mówił, że być może szukałem jego, a nie Michaela. Był nie tylko paranoikiem, ale też narcyzem. Urocza kombinacja. Zaszleściły papiery. Padły kolejne pytania. Potem Dendoncker kazał spalić mój paszport. I pozbyć się ciała. Mówił teraz głośniejszym, ostrzejszym tonem, wydawał rozkazy. Jakby już kończył.

Dwie minuty bez oddechu. Płuca nie wytrzymały. Wciągnąłem olbrzymi haust powietrza. Zerwałem taśmę z oczu. I usiadłem.

• • •

W kostnicy było ich czterech. Samych mężczyzn. Zaszokowanych i z rozdziawionymi ustami. Przy biurku stał doktor Houllier. Przy drzwiach dwóch w garniturach, obaj koło czterdziestki. I jeden dokładnie naprzeciwko mnie. Ten był po sześćdziesiątce. Miał wyłupiaste oczy, nienormalnie długie ręce i nogi, kanciastą twarz i bliznę po oparzeniu na lewym policzku. Trójkątną. W prawej ręce brakowało mu trzech palców. Kciukiem i drugim z pozostałych ścisnął brzeg zegarka.

– Dendoncker? – spytałem.

Nie zareagował. Zeskoczyłem z półki, a on włożył rękę do kieszeni. I wyjął broń. Rewolwer. NAA-22S. Maleństwo długie na niecałe dziesięć centymetrów. Odebrałem mu je, wrzuciłem do chłodni i pchnąłem faceta w stronę kąta. Chciałem utrzymać go jak najdalej od drzwi. Żeby się nie wymknął, kiedy będę gadał z jego przydupasami. A Ci właśnie na mnie ruszali. Gość z mocno kręconymi włosami, w jasnobrązowym lniwym garniturze, po lewej. I gość w ciemnym garniturze, z prostymi włosami, po prawej. Obaj sięgali już pod poły marynarek. Po broń. Ale nie mieli szans zdążyć. Bo w tym samym momencie ruszyłem na nich, z odciągniętymi do tyłu pięściami. I jednocześnie przyłożyłem im w szczękę. Ciosy nie należały do najsilniejszych. Środek uspokajający trochę na mnie podziałał. Odebrał kilka procent energii. Choć nie miało to znaczenia. Mój ruch w ich stronę w połączeniu z ich ruchem w moją stronę spowodował, że poczuli się tak, jakby wpadli pod ciężarówkę, i runęli na podłogę w plątaniu powykręcanych kończyn. Już nie wstali. Spojrzałem na Dendonckera. Stał w kącie. Skojarzył mi się z zoo, z zamkniętym w klatce patyczakiem.

Nagle usłyszałem jakiś dźwięk. Za plecami. Od strony drzwi. Otworzyły się tak gwałtownie, jakby gdzieś w pobliżu wybuchł główny przewód gazowy. Do kostnicy wszedł piąty mężczyzna. Tak szeroki, że musiał wchodzić bokiem. Szeroki i wysoki. Miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu, błyszczącą różową skórę i ważył ze sto

sześćdziesiąt kilogramów. Jego łysa głowa wyglądała jak kula do kręgli z malutkimi, odstającymi uszami. Oczy, usta i nos były małe, jakby upchnięte na środku twarzy. Miał na sobie czarny garnitur i białą koszulę bez krawata. Szkoda. Krawaty przydają się do duszenia ludzi.

Dziwnie chodził, a raczej stapał. Jak robot, wysoko unosił kolana i stawiał krótkie kroki. Kiedy podszedł bliżej, kroki zmieniły się w kopniaki, a wymachy rąk w ciosy, płynne, miarowe i nieustępliwe, jakby demonstrował serię sformalizowanych ruchów z jakiejś sztuki walki. Obserwowałem go jak zahipnotyzowany. Nie ulegało wątpliwości, że gdyby któryś z tych ciosów dosięgnął celu, skutek byłby druzgoczący. I śmiertelny, jeśli tych celnych byłoby więcej.

Zrobiłem parę kroków do tyłu, żeby zyskać trochę czasu. Dendoncker chciał się wymknąć, ale złapałem go i rzuciłem za siebie. Nie patrzyłem, gdzie wylądował. Nie było mowy, żebym choć na sekundę ode-rwał wzrok od tej żywej, krwiożerczej młockarni. Dendoncker spróbo-wał prześlizgnąć się z drugiej strony, więc znów go odepchnąłem, bo tamten był coraz bliżej. Doszedłem do wniosku, że na razie tylko się ze mną bawi i dopiero potem zapędzi mnie do kąta lub przyprze do ściany, a kiedy już nie będę miał gdzie uciec, zatłucze mnie na śmierć. Wyglądało na to, że w ogóle nie przejmuje się tym, że mógłbym go zaatakować.

Cofnąłem się jeszcze bardziej i opierając ciężar ciała na jednej nodze, wysunąłem drugą i przyłożyłem mu w nerki. Facet nawet tego nie zauważył. Zrobił krok do przodu i wykonując skomplikowaną serię ruchów, zaczął się odwracać. Skrzyżował ręce, rozłożył je i wyprostował. Wykonał szybki obrót na piętach i znów chciał mnie kopnąć, lecz nie trafił. Bo odwróciłem się szybciej. Bo mocniej odbiłem się od podłogi. I zanim zdążył wyprowadzić kolejny cios nogą, zaprawiłem go z byka.

Prosto w pierś, tak mocno, że mimo różnicy wagi zatoczył się do tyłu. Chciałem uderzyć go jeszcze raz, zanim dojdzie do siebie. W szyć, zdecydowałem. Nie pora na dżentelmeńskie zachowanie. Lecz zanim zdążyłem, wpadł na półkę. Tę z chłodni, bo nikt nie wepchnął jej do środka. Wylądował na niej tak gwałtownie, że puścił zatrzask i zaczęła

się wsuwać do komory, a facet razem z nią. Tylko że nie zmieścił się w drzwiach i huknął głową w ramę. Nie stracił przytomności, lecz uderzenie go ogłuszyło. Na chwilę. Nie potrzebowałem niczego więcej.

Dopałem go i grzmotnąłem łokciem w skroń. Ze wszystkich sił. Wkładając w cios całą wagę ciała. Trafiłem idealnie. Jego ręce i nogi podskoczyły do góry jak odnóża robaka, po czym opadły i zwisły po obu bokach półki. Z ust wylazł mu język. Zaczekałem chwilę, dla pewności, i poszukałem wzrokiem Dendonckera.

Ale go nie zobaczyłem. Oprócz doktora Houlliera i trzech nieprzytomnych na podłodze w kostnicy nie było nikogo.

– Była bardzo szybka – powiedział lekarz płaskim głosem. – Kobieta. Lekko utykała. Przytknęła mu lufę pistoletu do głowy i wyciągnęła go na korytarz. Zostawiła to.

Podał mi plastikową reklamówkę. W środku była koszula, którą nosiłem, zanim przebrałem się w żółty podkoszulek, teraz zupełnie już zniszczony, i kartka papieru. Rozłożyłem ją i przeczytałem:

Przepraszam. Spóźniłam się na spotkanie, bo Dendoncker kazał mi załatwić jakąś bzdurną sprawę. Nigdy nie chciałam Cię wykorzystać. Mam nadzieję, że o tym wiesz. Ale coś mi mówi, że wkrótce może zrobić się pa-skudnie, a są granice, o których przekroczenie nie mogę Cię prosić. Cieszę się, że się spotkaliśmy, choć na krótko. Mam nadzieję, że wkrótce zobaczysz ocean. XOXO PS Uratowałeś mi życie. Dziękuję. Nigdy tego nie zapomnę.

Zgniotłem kartkę w kulkę i wrzuciłem ją do kosza. Zerwałem z piersi sztuczną ranę. Włożyłem koszulę, którą przyniosła mi Michaela. Podszedłem do prawych drzwi chłodni. Tych, za którymi doktor Houllier ukrył moje rzeczy. Otworzyłem je i włożyłem resztę. Potem wyjąłem paszport z kosza.

– Gdzie pan się wybiera? – zapytał lekarz. – Zaraz, chwileczkę. Co zamierza pan zrobić w sprawie tej kobiety? I Dendonckera?

Na ile mogłem ocenić sytuację, miałem dwa wyjścia. Pozwolić Michaeli odejść. Albo spróbować ją znaleźć. Ale w tym drugim nie widziałem sensu. Nie ulegało wątpliwości, że spokojnie poradzi sobie z jednym wątlym starszym mężczyzną. Albo z kilkoma młodymi i silnymi, jeśli zajdzie taka potrzeba. Nie ulegało też wątpliwości, że zrobi, co uzna za stosowne, żeby zniszczyć bomby Dendonckera. Miała kontakty. Potrzebowała jedynie informacji. To, w jaki sposób zamierzała je zdobyć, zależało tylko od niej. Być może przekroczy granicę. A nawet kilka. Decyzja należała jednak do niej. Nie byłem jej sumieniem ani księdzem. Zgoda, nieprzyjemnie mnie zaskoczyła i miałem jej to za złe. Trochę. Ale jednocześnie musiałem powiedzieć: Brawo, ładnie rozegrane. Tak, polubiłem ją. I życzyłem jej wszystkiego najlepszego.

– Nic – odparłem. – Jeśli Michaela chce od tej pory działać sama, chętnie dam jej wolną rękę.

– Aha. – Lekarz podrapał się w skroń. – A co z tymi tu? Nie może pan ich zostawić w mojej kostnicy. Zwłaszcza tego dużego. Kiedyś go leczy-

łem, bo ktoś go ugryzł i wdało się zakażenie. Nazywa się Mansour. To psychopata. Jak pan myśli, co robi, kiedy się obudzi? Przecież to oczywiste, że panu pomogłem.

– Spokojnie. Swoje śmieci zawsze zabieram ze sobą. Już ich pan nie zobaczy.

Zacząłem od tego dużego, Mansoura. Poszperałem w jego kieszeniach i od razu znalazłem to, czego szukałem. Klucze. Duży pęk z plastikowym breloczkiem. Zainteresował mnie zwłaszcza jeden. Samochodowy. Z napisem *Lincoln* wytłoczonym na plastikowej główce. Miałem nadzieję, że to limuzyna. Limuzyny Lincolna to duże samochody. Jest w nich dużo miejsca dla pasażerów. Przytomnych lub nieprzytomnych. Żywych lub martwych. Fakt ten ustalono niemal zaraz po tym, jak z linii produkcyjnej zjechał pierwszy model. Od tamtej pory są bardzo popularne wśród tych, którzy cenią sobie tę cechę. Ludzi takich jak ja. Przynajmniej w tym momencie.

Pomyślałem, że mogę ich związać. Załadować do bagażnika. Porzucić samochód. I zadzwonić pod 911. Na pewno mieli bogatą kartotekę. Choć z drugiej strony, nie zachwylił mnie sposób, w jaki policja zareagowała, kiedy zameldowałem im o strzelaninie i trupach pod Drzewem. Nie widziałem w mieście ani jednego umundurowanego funkcjonariusza. Ani jednego detektywa. Ani jednej furgonetki techników kryminalistycznych. Przypomniał mi się facet, z którym rozmawiałem niedawno w Teksasie. Miał pewną teorię. Twierdził, że na zadupiu każdy policjant, któremu każą obejrzeć zwłoki, musiał podpaść swojemu przełożonemu. Co znaczyło, że totalnie oleje śledztwo i będzie mu zależało jedynie na tym, aby je zamknąć, szybko i skutecznie. Bo chce powrócić do łask szefa. Żeby następnym razem wysłał do trupa kogoś innego.

Może miał rację. Może lepiej byłoby porzucić samochód gdzieś dalej. Na poboczu autostrady. Albo w większym mieście. Czy metropolii. Nie paliłem się do dodatkowej roboty, ale nie chciałem też zawalić. Poza tym byłem głodny. A robienie planów na pusty żołądek to zły pomysł.

Może zaburzyć priorytety. Dlatego postanowiłem najpierw coś zjeść i dopiero potem zdecydować.

– To był ciężki ranek. Zjadłbym coś. Pójdzie pan ze mną na śniadanie?

Doktor Houllier skrzywił się tak, jakby poczuł jakiś odrażający zapach.

– Śniadanie? Teraz? Nie. Dziękuję. Nic bym nie przełknął.

Chciałem schować do kieszeni klucze Mansoura, ale nie weszły. Były duże. I ciężkie. Kiedy układałem je na kółku, jeden rzucił mi się w oczy. Klucz do wpuszczanego zamka z rygłem. Identyczny jak te, które poprzedniego dnia znalazłem przy facetach pod Drzewem.

– Gdzie tu podają najlepszą kawę?

Lekarz zamrugał. I wzruszył ramionami.

– Niech pan idzie do Preriowej Róży. Podobno tam dają niezłą. Sto metrów stąd, za głównym wejściem w lewo. Nie można nie trafić.

– Dzięki, spróbuję. – Rozejrzałem się. – Ma pan coś, czym można by ich związać?

Houllier zmarszczył czoło.

– Niech pan zaczeka. – I szybko wyszedł.

Przeszukałem pozostałe kieszenie Mansoura. Znalazłem portfel. Z pieniędzmi, lecz bez papierów. Bez żadnych dokumentów z adresem. Chciałem włączyć jego telefon, ale wymagało to biometrycznej autoryzacji twarzy. Nie bardzo wiedziałem, co to takiego, lecz pomyślałem: Czemu by nie spróbować? Kiedy podsunąłem komórkę pod nos Mansoura, ekran się odblokował. Ale nie znalazłem żadnych połączeń przychodzących. Ani wychodzących. Żadnych esemesów. Ani kontaktów. Nie znalazłem nic przydatnego, więc zabrałem osiłkowi pistolet i podszedłem do tych w garniturach. W kieszeniach mieli podobne rzeczy. Broń, portfele, komórki i klucze. Też z plastikowymi breloczkami. W tym klucze do wpuszczanego zamka z rygłem, wytarte i porysowane. Przystawiłem je do siebie. Ząbki pasowały. Idealnie. Porównałem je z kluczem Mansoura. Jak dwie krople wody. Musiały się w jakiś sposób łączyć

z tym, co robił Dendoncker. Zaciekawilo mnie to, ale cóż, nie moja sprawa. Michaela miała go na muszce. Jego ludzie, poza tymi tutaj, byli już pewnie w drodze do paki. A ja zaraz po śniadaniu zamierzałem wyjechać.

Otworzyły się drzwi – bez pukania, lecz tym razem delikatnie – i w szparze ukazał się Houllier z naręczem paczuszek. Identyecznych. W takich samych przezroczystych opakowaniach. I śliskich. Chciał mi je podać, lecz prawie wszystkie wypadły mu z rąk i poturlały się po podłodze. Pomogłem mu je pozbierać i okazało się, że są to bandaże krepowe, opatrzone znakiem firmowym producenta i metką z rozmiarem. Dziesięć centymetrów szerokości, półtora metra długości.

– Są elastyczne – wyjaśnił lekarz. – Rozciągają się, ale nie pękają. Bawełna z dodatkiem włókien poliuretanowych. Dzięki temu są mocniejsze. Używa się ich zwykle do unieruchamiania kończyn, na przykład po skręceniu. Ale tutaj przydają się do opatrywania ran po ukąszeniach węży. Trzeba mocno obwiązać kończynę, żeby jad się nie rozszedł.

Otworzyłem jedno opakowanie i spróbowałem rozerwać bandaż.

– Złożony będzie jeszcze mocniejszy – dodał Houllier.

Pierwszym związałem Mansourowi nogi w kostkach. Sprawdziłem węzeł. Powinien wytrzymać, lekarz miał rację. Potem skrępowałem osiłkowi ręce. Z tyłu. Następnie zająłem się mężczyznami w garniturach. Lekarz cały czas mnie obserwował, a kiedy skończyłem, zebrał puste opakowania i wrzucił je do kosza. Wszystkie pistolety i portfele wylądowały w pojemniku na odpady medyczne.

– Gdybym chciał tu wejść i wyjść, nie rzucając się w oczy, jak mógłbym to zrobić? – spytałem.

– Przez podjazd dla karettek. Tamtędy wczoraj pana przywiozłem.

– Byłem w worku na zwłoki. Równie dobrze mógłby pan spuścić mnie przez komin.

– No tak, oczywiście. Podjazd jest na tyłach budynku, w przybudówce z oddzielnym wejściem od ulicy. Karetki wjeżdżają przez bramę, ale nie zamyka się jej na klucz, a z ulicy nie da się zajrzeć do środka. Drzwi

są automatyczne. Korytarz rozwidła się przed wejściem na urazówkę i jedna odnoga prowadzi do windy, która zjeżdża prosto do podziemi. Nikt pana nie zobaczy, chyba że akurat kogoś przywiozą.

– A kamery?

Lekarz pokręcił głową.

– Parę razy chciano je zamontować, ale zrezygnowano z tego. Chodziło o kwestię prywatności. Oficjalnie, bo jest jeszcze sprawa budżetu. Moim zdaniem to był główny powód. Chodźmy. Pokażę panu.

Wyszliśmy z kostnicy i na końcu korytarza nacisnął guzik windy. Czekaliśmy w milczeniu, stojąc obok siebie. Niecałą minutę później drzwi otworzyły się z szarpnięciem. Kabina była przestronna. Szeroka, głęboka i wyłożona stałą nierdzewną. Zjechaliśmy piętro niżej i kolejnym korytarzem dotarliśmy do wysokich szklanych drzwi. Otworzyły się same i wyszliśmy na prostokątny dziedziniec z kilkoma czerwonymi liniami namalowanymi na złuszczonej asfalcie. Pewnie miały ułatwić karetkom manewrowanie. Po jednym łuku zawracały, po drugim wjeżdżały tyłem do strefy rozładunkowej. Bez trudu zmieściłyby się tam dwie. A pod ścianą po prawej, tyłem do wjazdu, stała samotna limuzyna. Lincoln.

Nacisnąłem guzik na breloczku Mansoura i zamrugały migacze. Kliknęły zamki we wszystkich drzwiach. Samochód był staromodny, kanciany i surowy. I czarny. *W kolorze wszechobecnej czerni* – tak powinni byli napisać w broszurze reklamowej. Bo nawet szyby były niemal czarne. Może ze względu na klimat. Albo na paranoję Dendonckera. A może dlatego, że jako właściciel uważał, że z przyciemnianymi szybami limuzyna wygląda ładniej. Nie wiedziałem. I nic mnie to nie obchodziło. Najważniejsze, że patrząc z zewnątrz, nikt nie zobaczyłby, co albo kto jest w środku. W mieście panował spokój. Było mało prawdopodobne, żeby o tej porze urazówkę zalała fala ciężko rannych obywateli. Dlatego doszedłem do wniosku, że na pół godziny mogę bezpiecznie zostawić lincolna tam, gdzie stał.

Zamknąłem go, wróciliśmy do kostnicy i doktor Houllier pomógł mi załadować Mansoura na wózek. Korytarz, winda i podjazd dla karetek – pstryknąłem breloczkiem, uchyliłem bagażnik i wtoczyłem faceta do środka.

Wróciłem na górę i zwiozłem na dół tego z mocno kręconymi włosami, w jasnobrązowym garniturze. Nim łatwiej było manewrować. Podjechałem blisko samochodu i wsunąłem go na tylne siedzenie, jak deskę. Pozostał ten z prostymi włosami, w ciemnym garniturze. Chciałem go położyć na kumplu, ale zsunął się twarzą do podłogi i utknął za przednimi fotelami. Zostawiłem go tam i odprowadziłem wózek do kostnicy. Podziękowałem Houllierowi za pomoc. Pożegnałem się i ruszyłem w stronę głównego wejścia.

Prerową Różę znalazłem bez trudu, tak jak mówił lekarz. W centralnej części miasta, na samej jej granicy, w piętrowym budynku. Ten też miał w środku dziedzińec. Wyglądało na to, że panuje tu taka moda. Kawiarnia mieściła się na parterze. Bezpośrednio nad nią było biuro, a po jej obu stronach sklepy. Wnętrze urządzone standardowo i z prostotą. Dwanaście czteroosobowych stolików. W trzech rzędach po cztery w każdym, równiutko ustawione. Solidne i trwałe meble. Zwyczajne, bardzo funkcjonalne sztuce. Nic nie odstawało od normy, ani w złą stronę, ani w dobrą. Nie było kwiatów. Nie było ozdóbek. Bibelotów. Ani gości. Od razu mi się tam spodobało.

Usiadłem przy stoliku na końcu prawego rzędu i po paru minutach z kuchni wyszła kelnerka. Po sześćdziesiątce. Bez biżuterii. W kraciastej różowej sukience, białym plisowanym fartuszką i nowych sneakersach New Balance. Też różowych. Fryzurę miała prostszą i włosy raczej siwe niż srebrzyste, ale skojarzyła mi się z recepcjonistką z centrum medycznego. Może była jej siostrą. Albo kuzynką. Odwróciła kubek, napełniła go kawą ze szklanego dzbanka, spojrzała na mnie i uniosła brew. Zamówiłem pełny zestaw z dodatkowym bekonem i szarlotkę. Kelnerka uniosła brew trochę wyżej, lecz tego nie skomentowała.

Z półki przy telefonie sterczały cztery egzemplarze lokalnej gazety. Wziąłem jeden i przejrzałem go, czekając. Wiadomości było niewiele. Na co drugiej stronie widniał za to albo nowy sondaż, albo wyniki poprzedniego. Wydawca uważał najwyraźniej, że ważniejszy jest kontakt

z czytelnikami niż najświeższe doniesienia. Albo że jest tańszy. Nie oszczędzał tylko na jednym: na grafice. Było tam mnóstwo tabelek i wykresów. Okrągłych. Słupkowych. Kolumnowych. Punktowych. Oraz mnóstwo innych, których jeszcze nie wynaleziono, kiedy chodziłem do szkoły średniej. Wszystkie w wyrazistych jaskrawych kolorach. Poruszały szeroki wachlarz tematów. Czy pod miastem ma powstać rezerwat pancerników olbrzymich? Czy powinno się odmalować siatkę graniczną? Czy w mieście jest wystarczająco dużo zakładów recyklingowych? Czy gmina powinna postawić na energię wiatrową i słoneczną, czy też nie?

Kiedy kelnerka przyniosła jedzenie, byłem na ostatniej stronie. *Księga aresztowań*. Fikuśna nazwa na wykaz przestępstw popełnionych w mieście i okolicy. Uważnie go przeczytałem. I nie znalazłem ani słowa o Dendonckerze. Ani słowa o przemytnikach. Ani o samolotach. Ani o bombach. W wykazie ujęto zaledwie kilka wykroczeń. Głównie drobnych. Zdecydowaną większość „przestępców” aresztowano za pijaństwo w miejscu publicznym.

Zjadłem wszystko do ostatniego okruszka. Wypiłem kawę. Właśnie czekałem na dolewkę, gdy otworzyły się drzwi i do kawiarni wszedł mężczyzna. Od razu go poznałem. Był to ten czwarty gość z poprzedniego wieczoru. Spod latarni. Ten, który próbował zmasakrować mnie trzonkiem do siekiery. I który widział, jak Michaela mnie zastrzeliła. Zupełnie niezaskoczony moim zmartwychwstaniem, od razu ruszył w moją stronę. Był w tym samym ubraniu. Nie zdążył się nawet ogolić. W ręce trzymał czarny worek na śmieci.

W worku coś było. Miało co najmniej dwadzieścia kilka centymetrów długości i było na tyle ciężkie, że napinało jego spód. Zacisnąłem palce na brzegu stolika, aby pchnąć faceta, kiedy ten sięgnie po broń. Ale tego nie zrobił. Stał przede mną i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Podniósł wyżej worek. Jedną ręką ujął go za spód i przewrócił do góry nogami. Na moim stoliku wylądował z trzaskiem jakiś przedmiot.

Pojedynczy, lecz składający się z trzech wyraźnych części. Ze zrobionej z włókna węglowego panewki na kikut kończyny dolnej. Z błyszczącej tytanowej goleń. I z buta. Dokładnie takiego samego, jaki Michała nosiła ostatni raz, kiedy ją widziałem.

– Albo ze mną pójdziesz, albo Twoja przyjaciółka straci coś więcej niż tylko kolejną część ciała. – Gość odwrócił się i ruszył do wyjścia. – Masz trzydzieści sekund.

Wstałem i wyjąłem z kieszeni zwitek banknotów. Rzuciłem na stolik dwudziestkę. Minęło dziesięć sekund. Wziąłem protezę i też ruszyłem do drzwi. Minęło kolejne dziesięć sekund. Odczekałem jeszcze dziewięć i wyszedłem na ulicę. Facet wciąż tam był. Stał przy samochodzie, średniej wielkości zakurzonej sedan. Pewnie tym samym, z którego korzystali poprzedniego wieczoru. Teraz było jasno, więc zobaczyłem, że to chevrolet caprice. Samochód musiał należeć kiedyś do policji. Zdradzał to szperacz na drzwiach kierowcy. Lakier był nierówny i zmatowiał, więc być może pojazd wykorzystywany był też jako taksówka.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko i otworzył drzwi od strony pasażera. Cofnął się i zaprosił mnie do środka. Podszedłem bliżej. Powoli. Przełożyłem protezę do prawej ręki. Przystanąłem w luce między nim i drzwiami, chwyciłem go za głowę i grzmotnąłem jego twarzą w dach samochodu. Trafiał ustami w górną krawędź drzwi. Wypadło mu kilka zębów. Nie widziałem ile. Za bardzo krwawił. Wyciągnąłem pistolet zza jego paska. Odwróciłem faceta i grzmotnąłem w splot słoneczny, ale dość lekko, tak, by tylko stracił oddech i zgiął się w pół. Wepchnąłem go do środka. Zamknąłem drzwi. Sprawdziłem, czy nikt nas nie obserwuje. Obszedłem samochód i maksymalnie cofnąłem fotel kierowcy. Wsiadłem, chwyciłem mężczyznę za szyję, ścisnąłem i poczułem, że zapada mu się krtań. Oczy wyszły mu z orbit. Wywiesił język. I nie mógł wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

– Zrobimy tak – powiedziałem. – Zadam Ci pytanie. Dam Ci chwilę na zastanowienie. Potem zwolnię uścisk, żebyś mógł mówić. Jeśli nie

odpowiesz, zmiążdżę Ci krtań. Jeśli odpowiedź mi się nie spodoba, zrobię to samo. Jasne?

Odczekałem sekundę i rozluźniłem palce.

– Tak – wychrypiał. – Jak słońce.

– Uprowadziliście ją. Jak?

– Dendoncker ma w zegarku GPS. Nadajnik. Wysłał sygnał alarmowy. Złapaliśmy ją, zanim zdążyła wyjść na ulicę. A jego zawieźliśmy w bezpieczne miejsce. To był priorytet. Ludzie, z którymi był w kostnicy, nie wrócili, więc kazał mi Cię przyprowadzić.

– Gdzie ona teraz jest?

– Nie wiem.

– Naprawdę chcesz tak pogrywać? Tutaj? W tej sytuacji?

– Nie wiem. Przysięgam.

– Gdzie jest Dendoncker?

– Nie wiem.

– Więc gdzie miałeś mnie przywieźć?

– Do domu. Nic więcej mi nie powiedzieli.

– Adres?

– Nie znam. To jest po prostu „dom”. Tak go nazywamy.

– Dobrze, wiesz mnie tam. I co dalej?

– Wysłałam esemesa. Ktoś przyjedzie.

– Ten dom... Jest daleko?

– Nie.

– W mieście?

– Tak.

– Dobra, pokażesz mi go. Pojedziemy tam razem. I wyślesz esemesa.

19

Coś usłyszałem. Warkot silnika, który dochodził z drugiego końca ulicy. Rozejrzałem się i zobaczyłem samochód. Jechał w naszą stronę. Ani szybko, ani powoli. Jakby krążył. Jakby szukał kłopotów. Dodge charger. Orurowany z przodu, z czarną maską, czarnym błotnikiem i zestawem lamp sygnalizacyjno-ostrzegawczych na dachu. Radiowóz. Prawdopodobnie miejscowej policji. Możliwe, że stanowej. Tak czy inaczej, zjawił się w bardzo złym momencie.

Puściłem faceta, położyłem rękę na kolanach i zacisnąłem pięść.

– Ruszysz się i...

– Spokojnie. – Gość wyjął atlas samochodowy ze schowka koło fotela. Otworzył go i zasłonił twarz. – Z deszczu pod rynnę? Nie jestem głupi.

Radiowóz był coraz bliżej. Jechał coraz wolniej. W końcu się zatrzymał. Równoległe do nas. W środku siedziało dwóch policjantów. Nie patrzyli na mnie. Ani na mojego zakrwawionego towarzysza. Przynajmniej na razie. Znacznie bardziej interesował ich nasz samochód. Nie byli już młodzikami i być może kiedyś takim jeździli. Może nawet właśnie tym. Większość gliniarzy uważała, że caprice to najlepszy radiowóz, jaki kiedykolwiek zbudowano. Może ogarnęła ich nostalgia. Albo po prostu się nudzili. Miałem nadzieję, że nie nabiorą jakichś podejrzeń. Siedzieli tak i patrzyli długą minutę. Potem drugą. Nagle kierowca włączył dyskotekę i szybko odjechali.

Chciałem znów chwycić faceta za szyję. Ale on błyskawicznie zamknął atlas i podniósł go wyżej. Zasłonił nim ręce. Okładka była twarda, błyszcząca. I śliska, dlatego zamiast za szyję, chwyciłem go za ramię. Dźgnął mnie w oko kantem okładki i wyszarpnął się. Wymacał klamkę i otworzył drzwi. Dał nura na chodnik. Przetoczył się, wstał i popędził przed siebie.

Wyskoczyłem z samochodu i pognałem za nim. Był szybki. Dobrze zmotywowany. Sam o to zadbałem. Dzieląca nas odległość powoli się powiększała. Dobiegł do budynków otaczających kolejny dziedziniec. Okna wychodzące na ulicę były zabite deskami. Gdyby biegł dalej, nigdy bym go nie dogonił. Nie mogłem też zaryzykować strzału, nie na terenie zamieszkanym. Ale gość zmienił taktykę. Pokusa potencjalnej kryjówki okazała się zbyt silna. Odbił w bok i zniknął w wysoko sklepionym przejściu.

Dobiegłem tam najszybciej, jak mogłem, i przystanąłem za rogiem. Nie chciałem pokazywać mu swojej sylwetki. Mógł mieć zapasową broń. Przykucnąłem, ostrożnie wyjrzałem i zobaczyłem kilka domów podobnych do tych z hotelu Michaeli. Tyle że piętrowych. Połączonych w całość i obitych drewnianymi panelami niczym płotem. Na każdym rogu dziedzińca wznosiło się sięgające dachu rusztowanie. Najwyraźniej trwał proces transformacji. Ale nie zauważyłem żadnej aktywności. Nie usłyszałem żadnego hałasu. Prace ustały. Albo w ogóle ich zaniechano. Może rynek się załamał. Albo zmieniły się gusta. Nie miałem pojęcia, jak działa ekonomika takich przedsięwzięć.

Wyciągnąłem szyję i zobaczyłem go. Stał samotnie na środku dziedzińca, rozglądając się wokoło. Chyba nie tego się spodziewał. Bo nie było stamtąd wyjścia. I żadnej kryjówki. Ruszył w lewo, potem w prawo, jakby nie mógł się zdecydować, co dalej. Wyprostowałem się i wszedłem do łukowatego przejścia. Usłyszał mnie i odwrócił się. Był błądy, mocniej krwawił z ust. Cena wysiłku.

– Zrób, co mówię, i nic Ci nie będzie – powiedziałem cicho i spokojnie.

Postąpił krok w moją stronę i przystanął. Zerknął na mnie, na przejście i znów na mnie. Oceniał odległość i kąty. Zastanawiał się, czy da radę mnie ominąć. Nagle odwrócił się, podbiegł do rusztowania po prawej i zaczął się wspinać. Nie zamierzałem iść w jego ślady. Był lżejszy. O wiele zwinniejszy. Dotarłby na szczyt na długo przede mną. Nie miałem co do tego wątpliwości. Na szczycie rusztowania musiałbym wystawić nieosłoniętą głowę, nie mógłbym się bronić. A on miałby już jakąś broń. Coś by na pewno znalazł. Rurę czy pręt. Kawał tynku. Albo dachówkę. Albo poszedłby na łatwiznę i po prostu zaprawił mnie kopniakiem.

Dlatego wspinanie się po tym samym rusztowaniu zdecydowanie odpadało. Ale nie zamierzałem pozwolić mu uciec.

Podbiegłem do rusztowania po lewej. I też zacząłem się wspinać. Szybko, lecz ostrożnie. Musiałem cały czas mieć go na oku, na wypadek gdyby zmienił zdanie i zaczął schodzić na dół. Dotarł na szczyt i zniknął. Przyspieszyłem. Wdrapałem się na samą górę, wszedłem na dach i przystanąłem. Było ślisko. Dachówki stare i kruche. Nie wiedziałem, czy wytrzymają mój ciężar. Tamten zdążył już dobiec na drugi koniec budynku. Pewnie liczył na to, że będzie tam kolejne rusztowanie z dostępem na ulicę, w co wątpiłem. Ruszyłem za nim. Starąłem się iść płynnie. Po cichu. Nie chciałem, żeby zawrócił, zanim zdążę zająć mu drogę. Przystanął i zerknął w dół. Spojrzał na mnie, kiedy się z nim zrównałem. Był jeszcze bledszy.

– Daj spokój – rzuciłem. – Nie masz wyjścia. Pora zejść. Zawieziesz mnie do tego domu i wypuszczę Cię.

– Masz mnie za wariata? – zapiszczał drżącym głosem. – Wiesz, co Dendoncker robi tym, którzy go zdradzają?

Był bliski paniki. Pomyślałem, że będę musiał go obezwładnić i znieść. Ale najpierw bardzo starannie wyważyć cios. To było najważniejsze, bo nie chciałem zbyt długo czekać, aż się ocknie. Podszedłem bliżej. Wtedy się odwrócił. I zszedł z dachu. Bez najmniejszego wahania. Po prostu zrobił krok w pustkę.

W pierwszej chwili pomyślałem, że jednak jest tam rusztowanie. Albo jakaś półka. Albo dach niższego budynku. Ale sekundę później usłyszałem ten odgłos. Jakby w pokoju za ścianą ktoś uderzył mokrą ręką w blat stołu. Spojrzałem w dół. Leżał na ziemi dokładnie pode mną. Z wykręconą nogą i zgiętą ręką. W szkarłatnej aureoli wokół resztek głowy.

Wróciłem do rusztowania, zszedłem na dziedziniec i wybiegłem na ulicę. Facet leżał na chodniku, zupełnie nieruchomo. Nie było sensu sprawdzać pulsu. Więc od razu go obszukałem.

W kieszeniach nie było żadnych dokumentów, niczego z adresem. Ale znalazłem telefon. Przetrwał upadek. Gość mówił, że po przyjeździe do „domu” ma wysłać esemesa. Co podsunęło mi pewien pomysł. Gdyby udało mi się wymyślić dobry powód, mógłbym zmienić miejsce spotkania. Na takie, w którym miałbym przewagę. I które mógłbym łatwo znaleźć. Przytknąłem jego palec do ekranu. Podziałało, ale w telefonie nic nie było. Ani kontaktów. Ani zapisanych numerów. Ani esemesów czekających na odpowiedź. Dosłownie nic. Tak jak w kieszeniach. Znalazłem się w ślepym zaułku, więc wytarłem telefon koszulą i wybrałem 911. Przez materiał. Potem dotknąłem zielonej ikonki, rzuciłem komórkę na pierś nieboszczyka i wróciłem do jego samochodu.

Zacząłem od schowka na mapy. Od razu znalazłem tam ubezpieczenie i rejestrację. Dwa dokumenty, nic więcej. Na obu widniała nazwa tej samej firmy. Moon Shadow Associates z siedzibą w Delaware. Prawdopodobnie jednej z tych fasadowych, o których wspominała Michaela. Tak czy inaczej, nic mi to nie dało.

Odszukałem w atlasie kartkę z mapą miasta i okolic. Nie było na niej żadnych zakreśleń czy krzyżyków, uwag, adresów czy numerów telefonów na marginesie. Sprawdziłem w bocznych kieszeniach. Na podłodze z przodu i z tyłu. W bagażniku. Pod wykładziną i zapasowym kołem. Nic. Ani paragonów ze stacji benzynowej, ani paragonów ze sklepu, ani kubków czy ulotek z restauracji z daniami na wynos. Samochód był dokładnie wyczyszczony.

Zastanawiając się, co dalej, usiadłem za kierownicą i coś uderzyło mnie w udo. Klucze. Zwisały ze stacyjki. Pęk kluczy, w tym jeden do wpuszczanego zamka z rygłem. Stary i porysowany. Porównałem go z kluczem Mansoura. Były identyczne. Przedtem myślałem, że służą do otwierania i zamykania garażu albo jakiegoś magazynu, ale teraz zaświtała mi inna teoria. Oraz myśl, że muszę pomóc komuś jeszcze. Odkąd na moim stoliku w Preriowej Róży wylądowała proteza Michaeli, skupiałem się tylko na tym, żeby ją odnaleźć. A ten samobójca doskonale wiedział, gdzie mnie szukać. To było oczywiste. Informacji mógł zasięgnąć tylko w jednym miejscu.

20

Zapukałem do drzwi kostnicy, od razu wszedłem do środka i zobaczyłem doktora Houlliera. Był sam. Siedział na podłodze, ze zwieszoną głową, opierając się o stół autopsyjny. Z nosa i kącika ust kapą mu krew. Był w rozchełstany fartuchu z powyrywany guzikami. I w przekrzywionym krawacie. Nie miał jednego buta. Prawą rękę przywiązano mu do stołu trytką. Kiedy podszedłem bliżej, podniósł głowę i szybko ją odwrócił. Ze strachem w oczach. Ale po chwili mnie poznał.

– Nic panu nie jest? – Brakowało mu tchu. – Ten goryl pana znalazł? Przepraszam. Musiałem mu powiedzieć, dokąd pan poszedł.

– Dobrze pan zrobił. Nie, nic mi nie jest. A panu? Jest pan ranny?

Lekarz dotknął twarzy wolną ręką.

– Nie, to nic takiego. Ale ten bandzior powiedział, że idzie po pana, a potem wróci. – Zadrżał. – I zawiezie mnie do Dendonckera.

– Nie, już go pan nie zobaczy. – Wziąłem skalpel z autoklawu, podszedłem do stołu, przeciąłem trytkę, schowałem skalpel do kieszeni i pomogłem Houllierowi wstać. – Ale mogą pana odwiedzić inni. Ma pan samochód?

– Tak. Oczywiście. Chce pan go pożyczyć?

– Gdzie pan parkuje?

– Tutaj. Na parkingu dla personelu.

– Dobrze. Niech pan wsiądzie i wyjedzie z miasta. Natychmiast. Niech pan nie wraca do domu. Nie zatrzymuje się na zakupy. Może pan to zrobić?

Lekarz znów dotknął twarzy.

– Pracuję tu od ponad czterdziestu lat...

– Tak, wiem, już pan mówił. Ale niech pan pomyśli o swoich pacjentach. Martwy im pan nie pomoże. Ci ludzie nie żartują.

Houllier przez chwilę milczał.

– Na długo musiałbym wyjechać? – zapytał w końcu.

– Nie. Na dzień. Może dwa. Proszę dać mi swój numer. Zadzwonię, kiedy będzie bezpiecznie.

– Świat się chyba nie skończy, jeśli zniknę na czterdzieści osiem godzin. – Podszedł do biurka i zapisał numer na formularzu. – A pan? Co pan zamierza?

– Lepiej, żeby pan nie wiedział. Ale na pewno stoi to w sprzeczności z przysięgą Hipokratesa. Na sto procent.

• • •

Lekarz włożył but, wrzucił do kosza zniszczony fartuch, poprawił krawat i poszliśmy na parking. Stał tam cadillac. Chyba z lat osiemdziesiątych. Biały. Wielki jak okręt. Zamontować mu rogi na masce i mógłby występować w operach mydlanych. Doktor Houllier wsiadł i odjechał. Odprowadziłem samochód wzrokiem i wróciłem na podjazd dla karetek. Lincoln stał dokładnie tam, gdzie go zostawiłem. Co przyjąłem z ulgą, bo od powrotu do kostnicy coś nie dawało mi spokoju. Myśl, że facet, który popełnił samobójstwo, zobaczył go, kiedy przyszedł do kostnicy, żeby mnie szukać. Otworzyłem tylne drzwi. Ci w garniturach już się ocknęli. Obydwaj. Wiercili się, próbując zwiać. Albo mi przyłać. Próbowali też mówić, ale nie rozumiałem ani słowa. Pewnie mieli pokiereszowane szczęki. Wyjąłem z kieszeni skalpel, pokazałem im go, żeby nie mieli wątpliwości, co to jest, po czym rzuciłem go koło tego w ciemnym garniturze. Na podłogę, tak by mógł go dosięgnąć. Rzuciłem też klucze Mansoura. Potem zamknąłem drzwi, wróciłem do budynku i ruszyłem w kierunku głównego wejścia. Minąłem starszą kobietę

z perłami. Przeszedłem pod kopułą, z której zwisał globus, wyszedłem na ulicę, okrążyłem budynek i skręciłem w stronę chevroleta. Stał w luce między dwoma mniejszymi budynkami miejskimi, na skos od bramy podjazdu dla karetek. Zastawiłem go pojemnikiem na śmieci. Nie była to dobra osłona, ale samochód przestał rzucać się w oczy. Lepsze to niż nic.

Droga od lincolna do chevroleta zajęła mi cztery i pół minuty. Po kolejnych dziewięciu brama drgnęła. Zaczęła się rozsuwać. Odpaliłem silnik. Kiedy tylko między skrzydłami bramy zrobiło się dość miejsca, na ulicę wyjechał lincoln. Bardzo szybko. Skręcił w prawo, więc nie przejechał przede mną. Oczekałem dwie sekundy. Trochę za krótko, ale w tych okolicznościach musiało wystarczyć. Ominąłem pojemnik i ruszyłem za nim.

Warunki śledzenia były fatalne. Prowadziłem wóz, który ktoś mógł rozpoznać. Nie było żadnego ruchu i nie mogłem się ukryć za innymi samochodami. Nie miałem wsparcia, nikogo na podmiankę. Ulice chaotycznie zygzakowały, więc musiałem trzymać się blisko lincolna. Łatwo powiedzieć. Oni znali trasę, wiedzieli, dokąd jadą. Gdzie mają skręcać. Kiedy przyspieszać. Kiedy zwalniać. A kiedy nie.

Wyciskałem z chevroleta, ile się dało, mimo to lincoln ciągle powiększał dzielący nas dystans. Nagle skręcił. Gwałtownie. I straciłem go z oczu. Przyspieszyłem. Bardziej, niżbym chciał. Chevrolet przechylił się na zużytych resorach i wyszedłem z zakrętu z piskiem opon. Kardynalny błąd, kiedy nie chce się zwracać na siebie uwagi. Pokonałem kolejny ostry zakręt, też z piskiem opon. Ale to mnie nie zdradziło. Bo nikt tego nie słyszał.

Zakręt i... ani śladu lincolna. Tylko pusty asfalt prowadzący do skrzyżowania w kształcie litery T. Dodałem gazu i wdepnąłem pedał hamulca. Zapiszczały opony i maska chevroleta znieruchomiła na ulicy biegnącej prostopadle do tej, którą nadjechałem. Naprzeciwko był mały sklep. Kwaciarnia. Jakaś kobieta porządkowała witrynę. Łypnęła na mnie spode łba i zniknęła za drzwiami. Spojrzałem w prawo. Spojrza-

łem w lewo. Pusto. Nie zauważyłem nic, co wskazywałoby, że któraś z części ulicy prowadzi do bardziej uczęszczanych miejsc. Żadnych śladów zdradzających, że jeden czy drugi kierunek cieszy się większą popularnością. Nic, co powiedziałoby mi, gdzie skręcił lincoln.

Wiedziałem, że przede mną jest zachód. Gdybym więc skręcił w lewo, pojechałbym na południe, w kierunku granicy. I utknąłbym w kolejnym ślepych zaułku. Z kolei prawa odnoga ulicy poprowadziłaby mnie na północ. Za miastem dojechałbym do drogi z Drzewem, łączącej się z autostradą. Miałbym z głowy Dendonckera, jego zbirów i bomby. Ale też zostawiłbym Michaelę.

Skręciłem w lewo. Zbliżałem się do granicy miasta. Sklepy i zakłady ustąpiły miejsca domom, niskim, z zaokrąglonymi ścianami i surowym wykończeniem. Miały płaskie dachy, spod których sterczały końce grubych, okrągłych belek. I małe okna, zapadnięte jak oczy staruszka. Wszystkie miały coś w rodzaju werandy czy zadaszenia, żeby ich właściciele mogli schronić się przed słońcem nawet na zewnątrz. Ale na zewnątrz nikogo nie było. Ani jednego człowieka. Ani czarnego lincolna. Ani w ogóle żadnego samochodu.

Kilkadziesiąt metrów dalej od drogi odchodziła ulica. W prawo. Zwolniłem i ogarnąłem ją wzrokiem. Nic się tam nie poruszało. Potem była kolejna ulica. Ta odchodziła w lewo, ale tam też nie dostrzegłem żadnego ruchu. Następna ulica odbijała w prawo. Na tej mrugnęło coś czerwonego. Na samym końcu. Światła stopu, które gasną, kiedy kierowca przerzuca dźwignię biegów na parkowanie i wyłącza silnik. Skręciłem i powolutku podjechałem bliżej. To był lincoln. Parkował przy krawężniku, naprzeciwko ostatniego domu po prawej stronie. W połowie ulicy, tuż obok słupa telegraficznego, stała ciężarówka. Z firmy telefonicznej. Ale ponieważ w pobliżu nikt nie pracował, zatrzymałem się za nią. I zobaczyłem, jak z lincolna wysiada trzech mężczyzn. W tym Mansour, od strony kierowcy. Szybko weszli na ścieżkę, Mansour z kluczami w ręce. Wybrał jeden. Pewnie ten do zamka z rygłem. Włożył go do dziurki i przekręcił. Otworzył drzwi i cała trójka zniknęła w środku.

Ominąłem ciężarówkę i zatrzymałem się za lincolnem. Ściany domu były wyblakłe i popękane od słońca. Pomalowane na pomarańczowo, na odcień ciemniejszy niż te w domu sąsiada. Zielone ramy okienne. Niski dach. Rachityczne, karłowate drzewa. Przy domu nie było żadnych zabudowań. Naprzeciwko też nie. Nic, tylko biegnący w stronę granicy długi pas piaszczystego ugoru z rosnącymi gdzieniegdzie krzakami i kaktusami. Wyjąłem zdobyczny pistolet i skręciłem na ścieżkę. Drzwi były z desek, chropowatych i zupełnie wyblakłych. Wyglądały tak, jakby zrobiono je ze szczątków statku wyrzuconych na brzeg bezludnej wyspy. Nacisnąłem klamkę, żelazną i dziobatą od lat używania. Nie ustąpiły. Stałem z boku i zapukałem. Tak jak pukałem kiedyś, w żandarmerii. Nie pytając, czy mogę wejść. Tylko tego żądając.

21

Odpowiedziała mi cisza. Zapukałem jeszcze raz. Znow cisza. Wyjąłem klucze, które znalazłem w chevrolecie po samobójczym skoku jego kierowcy. Wybrałem ten do zamka z rygłem i włożyłem go do dziurki.

Obrócił się gładko. Przekręciłem klamkę i pchnąłem drzwi. Głośno zapiszczały w proteście. Ale nikt nie nadbiegł. Nikt nie krzyknął. Nikt nie strzelił w szparę między drzwiami i futryną. Odczekałem dziesięć sekund. Wciąż cisza. Ani kroków, ani skrzypienia desek, ani nawet tykania zegara. Wyprostowałem się i przekroczyłem próg. Zamierzałem zastrzelić Mansoura, kiedy tylko go zobaczę. Nie miałem ochoty powtórzyć naszego śmiertelnego tańca. Któregoś z pozostałych też zastrzelę, gdy tylko sięgnie po broń. Ostatniego chciałem zmusić do mówienia. Albo do pisania, jeśli z pękniętą szczęką będzie mówił niewyraźnie. Postanowiłem, że tego też ostatecznie zastrzelę, żeby wyrównać szanse.

W środku było chłodno. Co najmniej dziesięć stopni chłodniej niż na dworze. Ten, kto budował ten dom, wiedział, co robi. Grube ściany z jakiegoś niezwykle gęstego materiału mogły wchłonąć olbrzymią ilość ciepła. Dlatego za dnia panował tu miły chłód. A nocą, kiedy ściany oddawały zgromadzone ciepło, temperatura wzrastała, dzięki czemu przyjemnie się spało.

Zewsząd zalatywało pleśnią. Starymi meblami i szpargałami. Musiał to być jakiś dziwny efekt resztkowy, bo niczego tu nie było. Ani krzesel, ani stołów. Ani ludzi. W pokoju, do którego wszedłem, dużym i kwadratowym, była drewniana podłoga błyszcząca od lat pastowania i polero-

wania. Gładkie białe ściany i sufit z odsłoniętymi belkami i deskami. Dokładnie naprzeciwko wejścia były drzwi. W górnej części przeszklone. Prowadziły na taras, osłonięty zadaszeniem. Po prawej stronie mieściła się kuchnia. Bardzo skromnie urządzona – zobaczyłem tam tylko kilka szafek, prostą kuchenkę i drewniany blat. W ścianie po prawej były dwa okna. Małe. I kwadratowe. Mimo to przypominały okrętowe bulaje. Po lewej było troje drzwi. Zamkniętych. A na środku podłogi ujrzałem coś dziwnego. Dziurę.

Mniej więcej okrągła, miała niecałe dwa metry średnicy i wyszczerbione nierówne brzegi, jakby wykuto ją młotem pneumatycznym. Wystawał z niej koniec drabiny, niecały metr. Była stara, drewniana i nachylona w stronę drzwi. Podeszedłem bliżej, na palcach, żeby nie narobić hałasu. Zajrzałem do dziury i zobaczyłem podłogę wyłożoną płytkami o powierzchni niecałego metra kwadratowego każda. Oszalowane deskami ściany. Bojler. Zbiornik na wodę. I plątaninę rur oraz przewodów. Rury były ołowiane. Przewody pokryte parcianą izolacją. Mieszkaniec tego domu miał dużo szczęścia, że się nie otruł albo nie zginął porażony prądem. Ale urządzenia grzewcze robiły wrażenie nowszych. I dużych. Tak dużych, że nie przeszły pewnie przez klapę w podłodze. Dlatego ktoś wykuł w niej dziurę.

Obszedłem ją powoli. Całą. Zatoczyłem pełny krąg, trzysta sześćdziesiąt stopni. Chciałem obejrzeć wszystkie cztery kąty piwnicy. Nikogo w niej nie było. W kuchni też nie. Stałem przed pierwszymi drzwiami po lewej. Otworzyłem je kopniakiem i wpadłem do pokoju. Zupełnie pustego. Kiedyś mieściła się tu chyba sypialnia, choć nie miałem co do tego pewności, bo nie było tam mebli. Ani ludzi. Kolejne drzwi prowadziły do łazienki. Z wanną. Toaletą. Porcelitową umywalką. I apteczką z lustrem w drzwiczkach. Ze zmatowiałego metalowego kranu spadła kropla wody, prosto na zażółcony fragment umywalki, i spłynęła do rury. I to był jedyny ruch, jaki dostrzegłem w tym domu. Do sprawdzenia pozostał mi jeszcze jeden pokój. Ten w głębi. Najbardziej nadający się na schronienie. Prastara psychologia. Otworzyłem kop-

niakiem drzwi. I znalazłem się w kolejnej sypialni. Większej. Mieszczącej się z dala od ulicy, a więc lepszej. Ale równie pustej jak ta pierwsza.

Mężczyźni nie mogli się ukryć nigdzie indziej. Dom był parterowy. Sprawdziłem wszystkie pomieszczenia. Do szaf nie zaglądałem, bo ich nie było. Tylko jednego miejsca nie sprawdziłem tak dokładnie jak pozostałych. Tylko w jednym miejscu nie postawiłem nogi. Przystałem na brzegu dziury i znów spojrzałem w dół. I znów nikogo nie zobaczyłem. Położyłem rękę na szczeblu drabiny. Poczułem, że na ramiona występują mi kropelki potu. Nie podobała mi się myśl, że mam zejść pod ziemię. Że drabina może nie wytrzymać, bo wtedy utknąłbym tam na dobre. Wyobraziłem sobie stojącego przed domem chevroleta. Z prawie pełnym bakiem. Mógłbym zaraz wyjść i nie oglądając się za siebie, wyjechać. Ale potem wyobraziłem sobie Michaelę. Dendonckera. I jego bomby.

Wzięłem oddech. Postawiłem na szczeblu lewą nogę. Stopniowo przenieśliem na nią ciężar ciała. Drabina zatrzeszczała. Ale nie pękła. Postawiłem prawą nogę, dwa szczeble niżej. I zszedłem na dół. Płynnie i powoli. Drabina się chwiała. Wyginała. Ale wytrzymała.

Stałem plecami do ściany i ogarnąłem wzrokiem całą piwnicę. Traciłem tylko czas. Bez dwóch zdań. Nie mógłby się tu schować nawet jeden z nich, nie mówiąc o trzech. Jeśli już, to za bojlerem czy zbiornikiem, a te widziałem z góry. Nikt się tam nie czał. Na wszelki wypadek mocno je pchnąłem. Ani drgnęły. Nie było pod nimi ukrytego wejścia do jakiejś podziemnej jaskini. Sprawdziłem ściany. Sprawdziłem podłogę. Nic. Ani zamaskowanych kłap, ani niczego.

Ostrożnie wszedłem po drabinie na górę i stanąłem przed drzwiami na lewo od kuchni. Były zamknięte. Znów użyłem klucza. Od razu się otworzyły. Zobaczyłem ścieżkę prowadzącą na sąsiednią ulicę. Ani śladu tamtych trzech, ani śladu samochodu. Trzasnąłem drzwiami. Byłem na siebie wściekły. Mansour i jego kamraci z nikim się tu nie spotykali. I nie ukrywali się. Dom był klasycznym „bezpiecznikiem”, starym jak świat. Służył zgubieniu ogona. Wchodzisz jednymi drzwiami i wycho-

dzisz drugimi. Tamci musieli ukryć tu gdzieś drugi samochód. Pewnie odjechali, zanim zdążyłem wysiąść z chevroleta. A wraz z nimi przepadła nadzieja na odnalezienie Michaeli.

Strata kontaktu z ludźmi Dendonckera skomplikowała sytuację. I to bardzo. Ale cóż, faktów się nie zmieni. Nie da się im zaprzeczyć. Ani ich ukryć. Dlatego nie było sensu poświęcać im uwagi. Co się stało, to się nie odstanie. Mogłem to rozpamiętywać później, kiedy – i jeśli – uznam, że coś mi to da. Bo teraz musiałem jak najszybciej podjąć trop, to było najważniejsze. Nie miałem pojęcia, gdzie tamci przepadli. Mieli do dyspozycji całe miasto, które znali lepiej ode mnie. Mogli też wyjechać. Michaela mówiła, że Dendoncker jest paranoikiem, nie wiedziałem więc, na jakie środki ostrożności go stać. Musiałem zawęzić opcje. Co znaczyło, że potrzebuję informacji. Jeśli w ogóle były dostępne.

Wróciłem do hotelu Michaeli, na dziedziniec. Miejsce przed jej pokojem – przy dawnym zakładzie kołodziejskim – było wolne. Zaparkowałem i wysiadłem. Następnym problemem okazały się drzwi: to, jak je otworzyć. Klucz nie istniał, przynajmniej w sensie fizycznym. Ani zamek, który mógłbym pokonać wytrychem. Był tylko jakiś dziwny kod w telefonie. Ale nawet gdybym go miał, nie wiedziałbym, co z nim zrobić. Dlatego postawiłem na starą szkołę. Stałem plecami do drzwi i rozejrzałem się na wszystkie strony. Nikogo nie zobaczyłem. Ani na dziedzińcu, ani w oknach, ani w samochodach. Kamery? Miałem nadzieję, że Michaela rzeczywiście je oślepiła. Podniosłem prawą nogę, zgiąłem ją w kolanie i piętą huknąłem w drzwi.

Otworzyły się na oścież, grzmotnęły w wewnętrzną ścianę i odbiły się. Odwróciłem się i wślizgnąłem do środka, zanim się zamknęły. Łóż-

ko było posłane. Poduszki starannie ułożone. A walizka nadal stała na podłodze, gotowa do drogi. Zaciągnąłem zasłony w oknach. Wziąłem krzesło spod biurka i zablokowałem nim wewnętrzną klamkę. Wiedziałem, że nie zapobiegnie to poważnej próbie wtargnięcia, ale wiatr nie powinien teraz otworzyć drzwi. Zawsze to coś. Postawiłem walizkę na łóżku, podniosłem słuchawkę telefonu i wybrałem numer. Z pamięci.

Odebrał po dwóch sygnałach. Rozmawiał z komórki. Głos miał bezcielesny, rezonujący echem, ale rozumiałem każde słowo.

– Wallwork. Kto mówi?

Jefferson Wallwork, agent specjalny FBI. Nasze ścieżki przecięły się jakiś czas temu. Pomogłem mu w pewnej sprawie. Dobrze nam poszło, przynajmniej z jego punktu widzenia. Powiedział, że wisi mi przysługę. I mam zadzwonić, kiedy znajdę się w trudnej sytuacji. Uznałem, że właśnie się znalazłem.

– Reacher.

Wallwork milczał przez chwilę.

– Dzwoni pan towarzysko, majorze? Bo jeśli tak, to jestem trochę zajęty.

– Już nie „majorze”. Po prostu Reacher. Mówiłem panu. I nie, nie dzwonię, żeby pogadać. Potrzebuję informacji.

– Mają teraz takie nowe coś. Internet.

– Chodzi mi o informacje specjalistyczne. Od tego zależy życie pewnej kobiety.

– Niech pan zadzwoni pod dziewięćset jedenaście.

– To weteranka. Pracowała też u Was, w FBI. Przez co straciła stopę. Westchnął.

– Co chce pan wiedzieć?

– Pracowała w TEDAC. W centrum analiz terrorystycznych ładunków wybuchowych. Słyszał pan o nich?

– Słyszałem.

– Wpadła na trop organizacji zajmującej się rozprowadzaniem bomb. Tutaj, w Stanach Zjednoczonych. Istnieje duże prawdopodobień-

stwo, że zginie bardzo wiele osób. Stoi za tym niejaki Dendoncker. Wad Ahmed Dendoncker.

– Jakie to bomby?

– Nie wiem. Takie, które wybuchają.

– Ile ich jest?

– Nie mam pojęcia. Za dużo.

– Cholera. Dobrze. Posadzę do tego odpowiednich ludzi.

– To nie wszystko. Ta kobieta zaginęła. Według mnie porwał ją Dendoncker. I zamierza ją zabić. Dlatego potrzebuję wszystkich adresów związanych z nim i jego firmą cateringową. Nazywa się Pie in the Sky. Będzie pan musiał głęboko pokopać, bo zarządza nią za pośrednictwem podstawionych spółek. Jedną z nich jest prawdopodobnie Moon Shadow Associates.

– A ta kobieta. Jak się nazywa?

– Michaela Fenton.

– Ostatnie znane miejsce pobytu?

– Los Gemelos, Arizona. Małe miasto na samej granicy z Meksykiem.

– Ona działa pod przykryciem? I pracuje w TEDAC? To nie jest standardowa procedura operacyjna. Powinna się tym zająć nasza najbliższa placówka. Co się dzieje? Gdzie jest jej partner?

– Ona nie ma partnera. Odeszła z Biura. Kierują nią pobudki osobiste.

Wallwork milczał przez chwilę.

– Nie podoba mi się to. Ostatni były agent, który kierował się pobudkami osobistymi, trafił do więzienia federalnego. Jego partnerka próbowała mu pomóc. I już nie żyje.

Nie chciałem tego komentować.

– Dobra, zobaczą – rzucił. – Ale niczego nie obiecuję. Z TEDAC się nie zadziera. Prędzej żaba da Ci dupy, niż się tam dostaniesz. Ci ludzie zajmują się naprawdę poważnymi sprawami. Spytaj nie tego, kogo trzeba, i masz przechlapane. Kompletnie, bo nie tylko wypieprzą Cię z roboty, ale też wpakują do pudła.

– Rozumiem. Niech pan nie robi nic, co mogłoby panu zaszkodzić. Może pan też spróbować z innej strony. Podejrzewam, że Dendoncker zajmuje się przemytem. Pod przykrywką swojej firmy. Ale nie wiem, co szmugluje ani komu to sprzedaje.

– Dobra, to już coś. Mam kumpla w DEA. Drugiego w ATF. Zapytam. Na kiedy potrzebuje pan tych informacji?

– Na wczoraj.

– Będzie pan pod tym numerem?

– Powinienem. Przynajmniej przez jakiś czas.

Odłożyłem słuchawkę, sprawdziłem, czy dzwonek jest włączony, i spojrzałem na walizkę Michaeli. Rozpiąłem zatrzask i otworzyłem ją. Wszystko było starannie złożone i zwinięte, tak jak poprzednio. Doszedł mnie lekki zapach perfum i znów poczułem się jak intruz, jeszcze gorzej niż dwa dni temu. Wyjąłem jej rzeczy, te same ubrania, przybory toaletowe i rekwizyty do zmieniania wyglądu. Nie znalazłem niczego nowego. Ani zapisków. Ani dokumentów. Ani listu z cyklu: „Jeśli to czytasz...”.

Brakowało pistoletów, które zarekwirowałem pod Drzewem. Zabrała też parę innych rzeczy. Zapasową amunicję do glocka. I apteczkę polewą. Bardzo rozsądnie, zważywszy na jej plany. Całą resztę widziałem już przedtem. W tym plik ulotek reklamowych z Płowego Deresza. Identycznych jak ta z odciskiem palca jej brata, którą znalazła w bombie. I prezerwatywę. Nie wiem dlaczego, ale kiedy o niej wspomniała, zabrzmiało to nieszczerze. I brzmiało tak nadal. Jak fałszywa nuta w tyle głowy. Cichutka, lecz słyszalna.

Zacząłem wkładać rzeczy z powrotem do walizki i znalazłem zapasową protezę zawiniętą w bluzkę. I wtedy przyszła mi do głowy pewna myśl. Poczułem nagły przypływ optymizmu. Pobiegłem do samochodu i wyjąłem z bagażnika protezę, którą wysłannik Dendonckera rzucił na mój stolik w Preriowej Róży. Zaniósłem ją do pokoju i porównałem z tą z walizki. Obie miały panewkę z włókna węglowego. Przesunąłem palcami po ich wnętrzu. Były identyczne. Obie miały tytanowe golenie.

Identycznej długości. Różniły się tylko butami. Jedna kończyła się zwykłym, takim za kostkę. Druga sneakersem. Pudło. Ale jeszcze nie dowód, że Dendoncker blefuje, twierdząc, że ją uprowadził.

Zawiedziony, dokończyłem pakowania. Zrobiłem to najlepiej, jak umiałem, i postawiłem walizkę przy drzwiach, żeby zanieść ją potem do samochodu. Jeszcze raz przeszukałem pokój. Zajrzałem dosłownie w każde miejsce, uwzględniając każdą sztuczkę, jaką Michaela mogła zastosować, żeby coś ukryć. Nie znalazłem niczego. I tak zostałem sam na sam z jej sztuczną nogą na środku łóżka i budzikiem na stoliku nocnym. Na ekraniku budzika smętnie mrugał cyfrowy wskaźnik. Odliczał sekundy. Sekundy, których Michaeli mogło w każdej chwili zabraknąć.

Z zamyślenia wyrwało mnie terkotanie stojącego na biurku telefonu. Dzwonił Wallwork.

– Na razie niewiele wiem – zameldował. – Co do przemytu, to niczego się nie dowiedziałem. Kumpel z DEA odszedł stamtąd w zeszłym tygodniu. A ten z ATF jest chory. I szybko nie wyzdrowieje. Oberwał kulkę. Z TEDAC jest lepiej. Przeszedł tam mój były opiekun. Facet mi ufa. I jeśli tylko będzie mógł, na pewno pomoże. Gadałem z nim. Jeszcze się nie odezwał. Ale się odezwie.

– Jakież adresy?

– Kilka. Wszystkie powiązane z interesami tego Dendonckera. Większość to chyba firmy krzaki. Miał pan rację. Ale znalazłem jedną legalną, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Z siedzibą w mieście, o którym pan wspomniał. – Podał mi adres, nazwę ulicy i numer domu.

– Gdzie to jest? – spytałem. – W stosunku do centrum.

Zaklekotały klawisze komputera.

– Niecałe dwa kilometry na zachód. Nie sposób nie trafić. Prowadzi tam tylko jedna droga. I wygląda na to, że poza tą firmą nie ma tam nic innego.

– Dobra. Namierzył pan jeszcze jakąś?

– Nic w promieniu ośmiuset kilometrów od miasta. Nie znalazłem niczego, co nie jest albo adresem jakiegoś prawnika, albo numerem

skrytki pocztowej.

– A o samym Dendonckerze? Też nic nie ma?

– Tu robi się jeszcze dziwniej. Według oficjalnych rejestrów facet nie ma w tym stanie żadnej nieruchomości. Sprawdziłem w urzędzie skarbowym. Ale podatki płaci. Finansami zawiaduje księgowy. Mam jego adres.

– Poda mi go pan?

– Mogę, tylko że to bez sensu. Sprawdziłem w Google Earth. To pusta działka. Próbuję ustalić właściciela, ale jak dotąd wyskakują mi same lewe firmy.

– Dendoncker jest żonaty? Może przepisał coś na żonę?

– Nie, w papierach nie ma wzmianki o żonie. Reacher, to wszystko cuchnie na kilometr. Niech pan da sobie spokój, dobrze radzę. Wiem, że pan tego nie zrobi, ale niech pan przynajmniej będzie ostrożny.

– Może pan sprawdzić jeszcze jedno miejsce. – Podałem mu adres domu, do którego trafiłem, śledząc lincolna.

Zapisał go i mruknął:

– Dobra. Sprawdzę. Oddzwonię, kiedy dowiem się czegoś więcej.

Podziękowałem mu, ale tylko z grzeczności. Bo szczerze mówiąc, te informacje były dla mnie zupełnie bezużyteczne. Przynajmniej na razie. Liczyłem na to, że jego kontakty w TEDAC zaowocują czymś, co pomoże namierzyć Dendonckera i jego bomby. Moim najpilniejszym zmartwieniem była teraz Michaela. Wallwork znalazł tylko jeden pewny adres, który – sądząc po lokalizacji – ona na pewno już znała. Tak więc nie tego miejsca szukałem. To wydawało się zbyt oczywiste jak na Dendonckera. Bywali tam pracownicy zatrudnieni w Pie in the Sky. Michaela też. I to wtedy, kiedy gorączkowo szukała brata. Gdyby go tam przetrzymywano, na pewno by go znalazła. Co znaczyło, że Dendoncker musi dysponować innym miejscem, kryjówką, w której załatwia brudne interesy. Możliwe, że niejedną. Wszystko zależało od skali jego działalności. Miałem pomysł, jak to sprawdzić. Niepewny. Bardzo mętny. Ale lepsze to niż siedzenie z założonymi rękami i czekanie na telefon.

• • •

W Płowym Dereszu panował większy ruch niż poprzedniego dnia. Była pora lunchu. Na zewnątrz siedziały dwie pary. Przy okrągłych stolikach pod parasolami w kolorze złamanej bieli, na pająkowatych krzesłach z kolorowymi poduszkami na siedzeniach. A przy dwóch zestawionych stolikach na brzegu patio tłoczyło się dziewięć osób. W różnym wieku. Elegancko ubranych. Pewnie kolegów i koleżanek z pracy. Coś oblewali.

Nie tych ludzi szukałem. Na pewno.

Wysokie podwójne drzwi na środku frontowej ściany stały otworem. Zaraz za progiem mieściło się stanowisko hostess, ale ponieważ żadnej tam nie było, zająłem wolny boks na końcu sali i usiadłem plecami do ściany. Boks wyglądał jak litera U, a sala miała kształt szerokiego prostokąta. Na jej końcu był bar, a także wejście do kuchni. Miejsce między boksami i oknami wypełniały ustawione na chybił trafił stoliki. Na każdym stał kaktus w doniczce. Ściany pokryto chropowatym tynkiem w kolorze piasku, z wielkimi malunkami koni. Na jednych jechali kowboje pędzący krowy po prerii, a inne ścigały się na torze. Jeszcze inne po prostu stały, rozglądając się z wyższością. Oprócz mnie w sali było dziesięć osób. Dwie pary. I dwie trójki.

Nie tych ludzi szukałem. Zdecydowanie.

Michaela miała przewagę, kiedy zobaczyła tu znajomą brata, którą widziała wcześniej na zdjęciu. Ja nie znałem jego przyjaciół. Ale też miałem asa w rękawie. Doświadczenie. Umiałem wypatrywać żołnierzy w barach. Zwłaszcza kiedy robili coś, czego robić nie powinni.

Nadszedł kelner, chudy dwudziestokilkulatek o kędzierzawych rudych włosach spiętych w kok na czubku głowy. Zamówiłem kawę i cheeseburgera. Nie byłem zbyt głodny, ale złota zasada głosi, że trzeba jeść, kiedy tylko jest okazja. Poza tym jedząc, nie musiałbym znowu przeglądać gazety, którą czytałem już przed śniadaniem.

Siedziałem, czekałem i obserwowałem przez pół godziny. Obie pary uregulowały rachunek i niespiesznie wyszły. Jedna z trójek też. Weszła kolejna para. Recepcjonistka z centrum medycznego i mężczyzna w obszernym lnianym ubraniu. Miał starannie uczesane siwe włosy i był w skórzanych sandałach. Usiedli na samym końcu sali, przy kwadratowym stoliku najbardziej oddalonym od lady. Zaraz po nich przyszło czterech mężczyzn w szortach i wypłowiałych podkoszulkach. Szczupli, żyłaści i opaleni, całe życie pracowali pewnie na dworze. I należeli do stałych gości. Zajęli stolik najbliżej baru. Kelner przyniósł im na tacy cztery oszronione szklanki piwa. Niepytany, sam z siebie. Postał tam przez chwilę, pogawędził z nimi, a potem odwrócił się i uśmiechnął do

nowych gości. Do dwóch kobiet. Jedna była w żółtej letniej sukience. Druga w krótkich bojówkach i podkoszulku Jankesów. Miały po trzydzieści kilka lat i brązowe włosy do ramion. Obie robiły wrażenie silnych, wysportowanych i pewnych siebie. Obie miały torebki, w których bez trudu zmieściłyby się pistolety.

Usiadły dwa boksy ode mnie. Fanka Jankesów wślizgnęła się za stół jako pierwsza, po czym przesunęła się po ławie aż do ściany. Tak jak ja. Głowę i ciało miała zupełnie nieruchome, lecz nieustannie poruszała oczami, spoglądając na wejście, na zajęte stoliki, na drzwi do kuchni, a potem znowu na wejście. I tak na okrągło. Ta w letniej sukience zajęła miejsce obok niej. Zerknęła na kartę win i rzuciła ją na stół.

– Białe wino – powiedziała, kiedy podszedł do nich kelner. – Pinot grigio.

– Może być – zgodziła się z nią fanka Jankesów. – Niech pan przynieś butelkę. Byle szybko. Niech pan nie oszczędza koni.

One czekały na wino, a ja obserwowałem je kątem oka. Nachyliły się ku sobie. O czymś rozmawiały, ale tak cicho, że nie wiedziałem o czym. Z baru nikt nie wyszedł. Nie przyszedł nikt nowy. Kelner przyniósł wino. Z obrazkiem słonia i na oszronionej butelce. Wytarł ją, wetknął ręcznik do kieszeni fartucha i napełnił kieliszki. Chciał nawiązać z kobietami rozmowę, ale go zignorowały. Próbował jeszcze przez chwilę, aż w końcu zrezygnował i wrócił za ladę. Ta w sukience upiła łyk, spojrzała na przyjaciółkę i znów zaczęła coś mówić. Gestykulowała wolną ręką. Jankeska wypiła kieliszek dwoma łykami i nalała sobie następny. Mówiła niewiele, za to wciąż strzelała oczami.

Podszedłem do nich i stanąłem tam, gdzie przed chwilą stał kelner.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale mam problem – powiedziałem.
– Potrzebuję pomocy.

Ta w sukience odstawiła kieliszek i delikatnie położyła dłonie na stole. Fanka Jankesów przełożyła kieliszek do lewej ręki. Prawa zawiązała nad torebką. Odczekałem chwilę. Chciałem sprawdzić, czy nie włoży

ręki do środka. Nie włożyła, więc usiadłem. Nachyliłem się ku nim i zniżyłem głos.

– Szukam znajomego. Ma na imię Michael. Michael Curtis.

Ich wyraz twarzy nie uległ zmianie. Jankeska nie przestała wodzić oczami po sali.

– Ma kłopoty – ciągnąłem. – Muszę go znaleźć. Jak najszybciej.

– Jak on się nazywa? – spytała ta w sukience. – Może pan powtórzyć?

– Michael Curtis.

Pokręciła głową.

– Przykro mi. Nie znamy go.

– Nie jestem z policji. Ani z FBI. Wiem, po co tu przyjechał. Wiem, co robi. Nie chcę wpędzać go w kłopoty. Chcę mu pomóc.

Ta w sukience wzruszyła ramionami.

– Przykro mi – powtórzyła.

– Wystarczy jeden adres. Jedno miejsce.

– Ma pan problemy ze słuchem? – Oczy Jankeski w końcu znieruchomiały. Patrzyły na mnie i tylko na mnie. – My go nie znamy. Musi pan poszukać go sam. A teraz proszę wrócić do swojego stolika i dać nam spokój.

– Jeden adres. Proszę. Nikt się nie dowie.

Fanka Jankesów włożyła rękę do torebki. Przez chwilę w niej grzebała. Potem wyjęła dłoń z torebki. Coś w niej trzymała. Ale nie pistolet. Telefon. Zerknęła w dół i telefon ożył. Stuknęła palcem w ekran. Trzy razy. A potem mi go pokazała. Na ekranie jarzyły się trzy cyfry. 911.

– Mam zadzwonić? Czy da pan nam spokój?

Podniosłem rękę.

– Przepraszam, już idę. Smacznego życzę.

Wróciłem do stolika, wziąłem gazetę i udałem, że czytam. Fanka Jankesów schowała telefon, dopiła wino, dołała przyjaciółce, a potem sobie. Recepcjonistka z centrum medycznego i jej towarzysz wstali i wyszli. Czwórka robotników w podkoszulkach zamówiła następną kolejkę.

Do baru nie zawitał nikt nowy. Kelner znów podszedł do stolika kobiet, ale go odprawiły. Jankeska odstawiła pusty kieliszek. Wyślizgnęła się z boksu i poszła do toalety. Ta w sukience też wstała. I ruszyła w przeciwną stronę. W moją. Zatrzymała się, położyła dłonie na stoliku i pochyliła się tak nisko, że nasze głowy prawie się zetknęły.

– Border Inn – rzuciła ledwo słyszalnym szeptem. – Wiesz, gdzie to jest?

– Znajdę – odparłem.

– Pokój dwieście dwanaście. Za dwadzieścia minut. Przyjdź sam. Chodzi o Michaela. – Wyprostowała się i poszła z powrotem do stolika. W połowie drogi zawróciła, znów się pochyliła i dodała: – Tylko ani słowa mojej znajomej. To musi zostać między nami.

24

Hotel mieścił się na południowo-wschodnim krańcu miasta. Długi i jednopiętrowy, z nazwą wypisaną wyblakłymi neonowymi literami, miał płaski dach ukryty za balustradą. Fasada wydała mi się najpierw normalna. Zwyczajna. Ale potem zdałem sobie sprawę, że kiedyś nie był to front hotelu, tylko jego tył. Wejście znajdowało się po drugiej stronie, naprzeciwko granicy. Ścianę ozdobiono fantazyjnymi płaskorzeźbami i symbolami. Na górze wciąż było widać rząd liter i cyfr. HOTEL GRAND CENTRAL 1890. Tak musiał się kiedyś nazywać. Jego architekt myślał, że miasto będzie się rozbudowywało na południe. A nie na północ. I teraz wyglądało to tak, jakby hotel zbudowano odwrotnie, tyłem do przodu.

Wejście prowadziło do szerokiego prostokątnego holu ze ścianami wyłożonymi ciemną boazerią, teraz już popękaną i obłazącą z lakieru. Podłogę wyłożono płytkami z terakoty. Jedne były gładkie. Inne pokryte misternymi wzorami, pomarańczowymi i brązowymi. Pod sufitem wisiał żyrandol. Chyba z prawdziwych kryształów. Jego elementy miały skomplikowany kształt, ale zmętniały już i zmatowiały ze starości. I od kurzu. Nie świeciła ponad połowa żarówek. Może się przepaliły. Albo właściciel hotelu po prostu oszczędzał.

Recepcja mieściła się dokładnie naprzeciwko wejścia. Lada, też z ciemnego drewna, miała półtora metra szerokości i wyrastały z niej podeszwy butów mężczyzny, który za nią siedział. Buty były kowbojskie, z wysokimi cholewami, szpiczaste i zrobione ze skóry węża. A po-

deszwy dziurawe. Mężczyzna miał na sobie wyblakłe dzinsy, niebieską koszulę w tureckie wzory i czarną skórzaną kamizelkę. Rozpiętą. Ramiona skrzyżował na piersi, a twarz ukrywał pod kapeluszem z szerokim rondem. Chyba spał. Nie obudziłem go. Nie musiałem. Wiedziałem, gdzie idę, więc skręciłem w stronę schodów.

Pokój 212 mieścił się na piętrze, na końcu korytarza w południowym skrzydle hotelu. Drzwi były lekko uchylone. I zablokowane cienką książką w miękkiej okładce. Zajrzałem przez szparę do środka. Szorstka brązowa wykładzina. Koniec łóżka przykrytego kołdrą w kwiaty. Fragment okna i zasłony. Tylko tyle, nic szczególnego. Ani ludzi, ani broni. Ale nie miałem wątpliwości, że to pułapka. Bezpieczniej byłoby po prostu odejść. Ale wtedy nie pomógłbym Michaeli. Potrzebowałem informacji, a ich jedyne źródło kryło się za drzwiami.

Stanąłem z boku i zapukałem.

– Wejdz. – Kobieta z Płowego Deresza. Poznałem jej głos.

Jak dotąd całkiem nieźle.

Pchnąłem drzwi i wszedłem do pokoju. Stała w kącie po lewej. Pokój był na tyle duży, a szpara między drzwiami i futryną na tyle wąska, że z korytarza nie mogłem jej dostrzec. Wciąż miała na sobie żółtą sukienkę. Ale teraz trzymała w ręce pistolet. Berettę M9. Jeśli moje podejrzania były słuszne, broń, którą biegle się posługiwała. Celowała prosto w moją pierś.

Dobrze to zaplanowała. Stała za daleko, żebym zdążył ją rozbroić, zanim pociągnęłaby za spust. Mogłem tylko dać nura za drzwi. Ale na pewno się tego spodziewała. No i nie było gwarancji, że zrobię to wystarczająco szybko. Poza tym nie wiedziałem, gdzie jest jej przyjaciółka. Mogła ubezpieczać ją z korytarza. A ja potrzebowałem informacji bez względu na to, czy ta w sukience chciała się nimi ze mną podzielić, czy nie.

Odsunąłem nogą książkę. Zrobiłem krok do przodu i podniosłem ręce na wysokość piersi.

Kobieta machnęła pistoletem.

– Podejdz do łóżka.

Podszedłem.

– Widzisz te zdjęcia?

Leżały na poduszce. Podniosłem je. Pięć zdjęć formatu dziesięć na piętnaście. Kolorowych. Przedstawiających pięciu mężczyzn w letnich mundurach polowych.

– Pokaż, który to Michael – rozkazała. – Wtedy pogadamy.

Obejrzałem zdjęcia. Powoli i uważnie.

– Pokażesz nie tego, kogo trzeba, i sępy będą miały dzisiaj ucztę. –
Wciąż mierzyła w moją pierś.

Dwóch mężczyzn było Afroamerykanami. Jeden Latynosem. Pozostałych dwóch miało biały kolor skóry. Tak jak Michaela. Co zwiększało moje szanse. Jeden z dwóch to dużo lepiej niż jeden z pięciu. Ale i tak za mało, abym mógł poczuć się komfortowo. Przywołałem na myśl twarz Michaeli. Ona i jej brat nie byli identycznymi bliźniakami. Niemożliwe. Od razu to stwierdziłem. Sęk w tym, że Michaela nigdy nie widziałem. Nie miałem pojęcia, jak bardzo są do siebie podobni. Pozostawało mi jedno. Porównałem oczy mężczyzn z oczami Michaeli. Porównałem ich nosy. Usta. Uszy. Kolor włosów. Kształt głowy. Wzrost. A potem pomyślałem, co bym zrobił, gdybym chciał przyłapać kogoś na kłamstwie.

Rzuciłem zdjęcia na łóżko.

– W co Ty grasz? – spytałem, nie spuszczając z oczu zaciśniętego na spuście palca. – Tu go nie ma.

Kobieta nie opuściła pistoletu.

– Na pewno? Przyjrzyj się im tak, jakby zależało od tego Twoje życie.
Bo zależy.

– Nie muszę – odparłem. – Tu nie ma jego zdjęcia.

– Dobrze. Powiedzmy. Skąd go znasz?

– Znam jego siostrę. Michaelę.

– Starszą siostrę?

– Siostrę bliźniaczkę.

- Tę, która służyła w lotnictwie?

- W wywiadzie wojskowym.

Kobieta opuściła broń.

- Dobrze. Przepraszam. Musiałam mieć pewność. Usiądź.

25

Usiadłem na łóżku. Kobieta przeszła na drugą stronę pokoju i przycupnęła na podłokietniku fotela. Pamiętał lata pięćdziesiąte, a ostatni raz czyszczono go chyba pod koniec sześćdziesiątych.

– Mam na imię Sonia – powiedziała, wciąż z pistoletem w ręce.

– Reacher. Gdzie poznałaś Michaela?

– W szpitalu. W Niemczech.

– W wojskowym?

Kiwnęła głową.

– Dlaczego uważasz, że ma kłopoty? – spytała.

– A Ty? – odparowałem.

– Nigdy tego nie powiedziałam.

– Więc dlaczego rozmawiamy?

Sonia milczała.

– Myślę, że nie odzywa się do Ciebie od trzech dni. Może czterech.

Tego też nie skomentowała.

– Poza tym Renée zaginęła i wpadłaś w panikę. Zaczęły krążyć różne plotki. Dlatego umówiłaś się z przyjaciółką na ten płynny lunch. I dlatego tu jesteśmy.

– Dobrze. Tak, niepokoję się. Nie mogę się z nim skontaktować. Nigdy tak nie zniknął, to do niego niepodobne. Gdyby zniknęła tylko Renée, dałoby się to jakoś wytłumaczyć. Ale oboje?

– Muszę wiedzieć, gdzie Dendoncker go wywiózł.

– Dendoncker? Dlaczego miałby go wywozić?

– Michael miał dość. Chciał z tym skończyć. Dendoncker to wyczuł. I źle to przyjął.

– Niemożliwe.

– Ale tak było. Michael wysłał wiadomość siostrze. Poprosił ją o pomoc.

– Nie. – Sonia pokręciła głową. – Wszystko pomyliłeś. On nie pracował dla Dendonckera. To Dendoncker pracował dla niego.

– Michael coś szmugluje?

– Nie. Tym zajmuje się Dendoncker. Michael chciał mieć tylko dostęp do jego sprzętu. I materiałów.

– Po co?

– To ważne?

– Chcesz mu pomóc, czy nie?

Sonia westchnęła i przewróciła oczami.

– Michael chce coś zbudować. Okej? Zbudować i przewieźć. Potajemnie. I bezpiecznie. Dendoncker ma środki i możliwości. Michael się z nim dogadał.

– Dobrze. Nie licząc zakładu na zachód od miasta, czy Dendoncker ma jeszcze jakieś inne?

– Nie wiem. Nie pracuję u niego. Jestem tylko znajomą Michaela.

– Gdzie Dendoncker mieszka?

– Nie wiadomo. Podobno w Meksyku. Michael kiedyś o tym wspomniał. Ale nie wiem, nie mam pojęcia.

– A gdzie mieszka Michael?

– Wynajmuje tu pokój. Ale ostatnio rzadko z niego korzysta. Myślę, że sypia głównie w warsztacie.

– Czyli gdzie?

– Nie wiem. Nigdy tam nie byłam.

– I tam konstruuje bomby?

Sonia gwałtownie wstała.

– Skąd wiesz?

Ja też wstałem. Wciąż miała pistolet w ręce.

– Dlatego prosił siostrę o pomoc. To go przerosło. Wiedział, że źle robi. Chciał to rzucić, zanim będzie za późno.

– Nie. – Sonia znów pokręciła głową. – To nie ma sensu. Zgoda, nie jest aniołem. Nie zamierzam udawać, że jest. Po prostu wkroczył na złą drogę i próbuje to teraz naprawić. Głęboko wierzy, że wpadł na dobry sposób. Nie ma mowy, żeby to rzucił. Nie ma powodu. Plan jest doskonały, trzeba go tylko zrealizować.

– Nie ma powodu? A może przejrzał na oczy i doszedł do wniosku, że jednak nie wolno zabijać niewinnych ludzi?

– O czym Ty mówisz?! Jakich ludzi? Na miłość boską, on jest weteranem wojennym. A nie mordercą.

– Chce zdetonować kilkadziesiąt bomb, które mogą zabić setki ludzi. Sonia omal się nie roześmiała.

– Nie, nic nie rozumiesz...

– Więc mi wytłumacz.

– Nie mogę.

– Możesz. Ale nie chcesz. A skoro tak, to nie chcesz również, żebym Wam pomógł. – Zrobiłem krok w stronę drzwi.

– Zaczekaj. Dobrze. Michael skonstruował kilka prototypów. To prawda. Ale chce zbudować tylko jedną bombę. Z przerobionych pocisków sygnałowych. Dymnych. Te pociski wytwarzają zwykły dym, nic więcej. Zgoda, kilka osób może mieć potem zaczerwienione oczy, ale to wszystko.

– Dendoncker kieruje szajką przemytników, a on mu pomaga, sprzedaje nielegalną broń. Tylko po to, żeby zdetonować jedną bombę dymną? Nie wierzę.

Sonia westchnęła i opadła na fotel.

– Dendoncker jest złym człowiekiem. Przyznaję. Nie ucieszyłam się, kiedy Michael zaczął z nim pracować. Przeciwnie. Ale miał wtedy potwornego doła. Posłuchaj, gdyby mu nie pomógł, Dendoncker znalazłby kogoś innego. Patrząc na to z szerszej perspektywy, to bardzo niska cena.

– Za co?

– Za sukces. Operacji Sygnałówka. Tak ją nazwał. – Nachyliła się ku mnie. – Wyobraź sobie, że jest jedenasty listopada, Dzień Kombatanta. W całym kraju odbywają się msze i ceremonie wojskowe. Dokładnie jedenaście minut po jedenastej podczas jednej z największych imprez cała sala wypełnia się dymem. Pięknym dymem, czerwonym, białym i niebieskim. Wybuchnie sensacja. Ci, którzy zobaczą to na własne oczy, będą pytali: Dlaczego? O co tu chodzi? Tak jak Ci, którzy obejrzą to w telewizji czy w internecie. Michael im odpowie. A ja stanę u jego boku. Pentagon nie będzie już mógł nas ignorować. A rząd kłamać.

– Kłamać w jakiej sprawie?

– Broni chemicznej. Obecnej wszędzie tam, gdzie walczymy. Zwłaszcza w Iraku. Kiedy oznajmiono, że wojna dobiegła końca, Pentagon sporządził raport. I wysłał ubraną w mundur kukłę na posiedzenie komisji senackiej. Oficjalne stanowisko było takie, że znaleziono jedynie niewiele pocisków chemicznych, dlatego naszym żołnierzom praktycznie nic nie grozi. Kłamali jak z nut. Wiedzieliśmy, że kłamią, nie tylko dlatego, że to właśnie nas te pociski truiły, paliły i parzyły. Wiedzieliśmy, bo pisząc ten raport, Pentagon wydał jednocześnie nowe instrukcje. Bardzo szczegółowe, dotyczące leczenia tych, którzy mieli styczność z bronią chemiczną. Wynikało z nich jednoznacznie, że ta broń wciąż jest w użytku i naszym żołnierzom grozi poważne niebezpieczeństwo.

– Wiedzieli o tym?

– Na sto procent. Ale kłamali. Dlaczego? Chodziło o płaszcze pocisków. Pociski chemiczne wymagają specjalnych. Najpowszechniejsze są do haubic, M stodziesiątek. Wyglądają jak te konwencjonalne do M stosiódemek, zwłaszcza kiedy są skorodowane albo źle oznakowane. Ale pod płaszczem są dwie oddzielne komory. Zawierające dwa składniki. Same w sobie nieaktywne, ale śmiertelnie niebezpieczne, kiedy się zmieszają. A skąd wzięli je Irakijczycy? Kupowali je w Stanach Zjednoczonych i od naszych sojuszników. Od potężnych korporacji. Rząd przymykał na to oko. Michael widział tajny raport, w którym napisano, że

sprzedaliśmy im setki tysięcy takich pocisków. Politykom groziła kompromitacja. Więc żeby ratować tyłek, zrzucili winę na żołnierzy. A my nie zamierzamy się na to dłużej godzić. Dość tego.

– I Michael chce przerobić taki pocisk na bombę dymną?

– Tak. To bardzo wymowne, nie uważasz? I trochę poetyckie.

– Jesteś pewna, że mówimy o bombie dymnej? – drażyłem. – Skoro płaszcze tych pocisków wyglądają identycznie, nie robi ukradkiem prawdziwej bomby chemicznej?

Sonia omal nie zerwała się z fotela.

– Powinam Ci za to przyłożyć. Albo Cię zastrzelić. Nie, nie robi. Masz mnie za idiotkę? Laik ich nie rozpozna. Ale ja nie jestem laikiem. Michael przeprowadził trzy testy na pustyni. Przy różnym wietrze. Widziałam wszystkie trzy. Myślisz, że rozmawiałabym teraz z Tobą, gdybym tam, na pustyni, stała trzy metry od rozrywającego się pocisku artyleryjskiego wyposażonego w uzbrojoną głowicę bojową?

– Raczej nie. No dobrze. Więc kiedy już to zorganizujecie, jak Michael chce tę bombę zdetonować?

– Zapalnikiem głównym jest zapalnik czasowy. Zapasowym telefon komórkowy.

– Michael zamierza uczestniczyć w tym osobiście?

– Tak. Ja też.

– Gdzie to ma być?

– Nie wiem. Nie chciał powiedzieć. Nawet mnie.

– Kiedy chce tam pojechać?

– Jutro. Tym dziwniejsze jest to, że tak nagle zniknął z radaru.

– Gdzie Dendoncker przechowuje sprzęt, z którego Michael korzysta? Sprzęt i materiały.

– Nie mam pojęcia. Ty masz jakąś obsesję. Dlaczego? Dendoncker go nie przetrzymuje. To nie miałoby sensu.

– Wspomniałaś, że Michael ma tu pokój. Znasz numer?

Sonia wskazała ścianę za mną.

– Mieszka po sąsiedzku.

– Trzeba tam zajrzeć.

– Nie ma po co. Już tam byłam.

– Kiedy?

– Dwa dni temu. – Wbiła wzrok w podłogę. – Nie, nie po to, żeby węszyć czy myszkować. Nie jestem obsesjonatką. Po prostu obiecał zadzwonić i nie zadzwonił. Zaniepokoiłam się.

– I co tam zobaczyłaś?

– Nic takiego. Połane łóżko. Przybory toaletowe w łazience. Ubrania w szafie. Worek marynarski, torbę podróżną... Niczego nie brakowało. Przynajmniej na pierwszy rzut oka.

– On ma samochód?

– Dwa. Swoją i starego jeepa od Dendonckera. Obydwa stoją na parkingu. Obydwa czyste jak łąka.

Milczałam.

– Teraz rozumiesz, dlaczego się martwię? Jeżeli wyjechał z miasta dobrowolnie, musiał wyczuć, że święci się coś naprawdę groźnego, inaczej nie zostawiałby swoich rzeczy czy samochodu. A skoro tak, to dlaczego do mnie nie zadzwonił? Nie powiedział, że nic mu nie jest? Albo nie ostrzegł przed niebezpieczeństwem?

– Musimy zajrzeć tam jeszcze raz.

– Po co? Przecież mówię, że już tam byłam.

– Świeża para oczu nigdy nie zaszkodzi. Poza tym nie znajdziemy go, siedząc tu i gadając.

26

Sonia westchnęła i przewróciła oczami. Podniosła torebkę z podłogi i włożyła do niej pistolet.

– Dobrze, chodźmy.

Drzwi zamknęła dużym, solidnym kluczem z ciężkim mosiężnym brelokiem w kształcie łezki. Wrzuciła go do torebki i idąc korytarzem, wyjęła inny, z błyszczącego metalu, na cienkim plastikowym breloczku z nazwą miejscowej apteki. Otworzyła nim drzwi, przed którymi się zatrzymaliśmy, pchnęła je, weszła do środka i stanęła jak wryta. Zasłoniła dłonią usta, lecz nie wydała żadnego dźwięku. Ja też wszedłem i też znieruchomiałem. Pokój był lustrzanym odbiciem jej pokoju; nie ma to jak efektywne wykorzystanie przestrzeni. Płytkie łazienki idealnie do siebie przylegały, dzięki czemu do śpiących nie docierały odgłosy z kanalizacji. Ale podczas gdy pokój Sonii był wysprzątanym i nieskazitelnie czystym, ten wyglądał tak, jakby przeleciało przez niego tornado. Z przeciętego w kilkunastu miejscach materaca zwisały kłaki szarego włóknistego wypełniacza. Szafa leżała na podłodze. Obok niej piętrzyła się sterta ubrań. Fotel był przewrócony i miał rozprute siedzisko. Karниз zerwano ze ściany. Wszędzie wały się pocięte na wstążki zasłony.

– Kto to zrobił? – wykrztusiła Sonia. – Czego tu szukali? Nie rozumiem...

– Renée też ma tu pokój? – spytałem.

– Tak. Na drugim końcu korytarza. Chyba nie myślisz, że...

– Nie wiem. Ale zaraz zobaczymy.

Zamknęła drzwi i poszliśmy do pokoju 201. Przekręciła gałkę.

– Zamknięte. Zaczekaj, pójdę do recepcji po klucz uniwersalny.

– Nie. Nie chcę mieszać w to nikogo innego. Masz przy sobie nóż? Albo pęsetę?

Pogrzebała w torebce i wyjęła czarny karbowany przyborek. Otworzyła go i zobaczyłem arsenał błyszczących narzędzi. Chyba do pielęgnowania paznokci, ale nie miałem pojęcia, co do czego służy.

– Wybieraj – rzuciła.

Wybrałem ostro zakończoną pęsetę i cienki drewniany patyczek. Wyglądał jak ukośnie przycięty patyk od lizaka. Jedną część pęsety zgiąłem pod kątem prostym i zabrałem się do pracy. Zamek był stary i prosty. Ale solidny. Pochodził z czasów, kiedy wytwarzano rzeczy trwałe, mające służyć ludziom wiele lat. Pewnie zszedł z linii produkcyjnej w brudnej wielkiej fabryce w Birmingham w Alabamie. Jako jeden z tysięcy używanych w Ameryce. Prawdopodobnie milionów. I milionów używanych na całym świecie. Był narzędziem wysokiej jakości, choć niezbyt skomplikowanym.

Zapadki wymacałem od razu, ale wymacać to nie to samo, co przesunąć. O zamek po prostu nie dbano. Był sztywny. Oporny. Otwierałem go ponad minutę. Wyprostowałem się, pchnąłem drzwi, wszedłem do pokoju i zobaczyłem tam niemal to samo co w pokoju Michaela. Na pewno nie to, o czym mówiła jego siostra.

Łóżko, szafa, fotel, zasłony – wszystko było albo rozprute, albo przewrócone. Jedyna różnica polegała na tym, że zamiast ubrań męskich na podłodze leżała sterta damskich. Nie było to wielkim zaskoczeniem. Niczego nie przesądzało. Pasowało jednak do teorii, że Renée podejrzewano o przekazanie listu Michaeli jej bratu. Można było zrozumieć, dlaczego Dendoncker kazał przeszukać obydwa pokoje. Chciał sprawdzić, czy Renée i Michael nie komunikowali się potajemnie. Ze sobą albo z kimś innym.

W pokoju nie zauważyłem nic, co skłoniłoby mnie do zmiany taktyki działania. Ale też nic, co pomogłoby mi namierzyć Michaelę. Gdybym

miał dostęp do laboratorium kryminalistycznego, może bym coś znalazł. Na przykład mikroskopijny ślad rzadkiego rodzaju ziemi czy piasku. Kilka charakterystycznych włókien. Może nawet DNA. Ale z tym, czym aktualnie dysponowałem, czyli oczami i nosem, nie było sensu marnować sił na grzebanie w tym pobojowisku. Frustrujące, lecz prawdziwe. Mijał czas, a mnie zaczynało brakować pomysłów.

Odwróciłem się i omal nie przewróciłem Sonii, która weszła po cichu do pokoju i przystanęła tuż za mną. Miała wytrzeszczone oczy i rozdziawione usta.

– Nie rozumiem – rzuciła. – Zrobili to chyba Ci sami ludzie. Ale dlaczego? Czego szukali? I gdzie są Michael i Renée?

Nie odpowiedziałem.

– Czy oni się w coś wplątali? Razem? Zaraz. Czy oni...? Nie. Niemożliwe. Oby nie. – Sonia podeszła do sterty ubrań i posłała je kopniakiem w powietrze.

– Ty i Michael? – spytałem. – Byliście... więcej niż przyjaciółmi? Dlatego masz klucz do jego pokoju?

Spojrzała na mnie. Jej pobladła twarz nie maskowała już uczuć.

– To nic oficjalnego. Nie pobraliśmy się ani się nie zaręczyliśmy, nic z tych rzeczy. Niewielu o tym wie, ale tak, odnaleźliśmy się w szpitalu w Niemczech. Co uratowało życie i jemu, i mnie. Jest dla mnie wszystkim. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś mógł mi go zabrać...

Nie takiego scenariusza się spodziewałem. Myślałem, że mam do czynienia z bandą bezwartościowych, pozbawionych sumienia najemników. Z ludźmi, z których wyciągnę potrzebne mi informacje i których z radością porzucę, kiedy ich durny spisek legnie w gruzach. Tymczasem stwierdziłem, że jej współczuję. Soni. Może i była naiwna, ale to nie zbrodnia. Pewnie dała się omamić facetowi, który pojawił się w najgorszym momencie jej życia. Musiał być bardzo przekonujący. Chociaż był wykolejeńcem.

Doszedłem do wniosku, że w tych okolicznościach powinienem być z nią szczery. Nie mogłem tego uniknąć. Nie bez porcji niepotrzebnego

okrucieństwa. Ale miałem pewien problem. Powszechnie uważano, że moje umiejętności przekazywania wiadomości o śmierci bliskich są poniżej wszelkich standardów. Były tak słabe, że wojsko wysłało mnie na specjalny kurs wyrównawczy. Kiedyś, przed laty. Kurs nie pomógł i od tej pory wolę przekazywać złe wieści w miejscach publicznych. Jest mniej prawdopodobne, że ktoś załamie się czy zeświruje w obecności świadków. Przekonałem się, że najlepsze są bary, restauracje i kawiarnie. Proces zamawiania, czekania, konsumowania i zbierania brudnych talerzy zapewnia szereg naturalnych przerywników. Rzeczywistość łatwiej wtedy dociera do słuchacza. Pomyślałem o Płowym Dereszu. Że mógłbym zaprosić tam Sonię. Bardzo mnie to kusiło. Ale uznałem, że lepiej nie. Zanim byśmy tam dotarli, upłynęłoby sporo czasu. A czas nie był moim sojusznikiem. A już na pewno nie sojusznikiem Michaeli.

Wziąłem Sonię pod łokieć i wyprowadziłem ją na korytarz.

– Chodźmy do Ciebie. Muszę Ci coś powiedzieć.

Usiadła na krześle. A właściwie przycupnęła sztywna jak deska. Była bardzo spięta. Czułem, że zaraz albo się na mnie rzuci, albo ucieknie. Usiadłem na łóżku. Z nogą tuż obok jej torebki. Wciąż miała tam pistolet. „Nie strzelaj do posłańca”. Coś w tym jest.

– Zacznę od dobrych wiadomości – powiedziałem. – Między Michałem i Renée nic nie było. Na sto procent.

– Nie było? W czasie przeszłym?

– Zaraz do tego dojdę. Najpierw musimy się trochę cofnąć.

Opowiedziałem jej całą historię, od chwili, kiedy Michaela dostała wiadomość od brata, po jej nieudaną próbę pochycenia Dendonckera. Łącznie z tym, że jeden z jego zbirów twierdził, że Michael nie żyje. Kiedy skończyłem, Sonia długo milczała, strzelając oczami w lewo i w prawo. Próbując połączyć kropeczki. W końcu spytała:

– Przyłapali go z listem od siostry? I wtedy wszystko się popieprzyło?

– Tak myślę.

– Więc to Dendoncker kazał go zabić?

Kiwnąłem głową.

– Nie – powiedziała. – Nie wierzę.

Milczałem.

– A Renée? – spytała.

– Prawdopodobnie wyczuła, że coś się święci. I uciekła.

– Ona uciekła, a on nie? Jesteś pewien? – Załamywał jej się głos. – Nie masz żadnych wątpliwości? Nawet najmniejszych?

– Nie widziałem ciała – odparłem. – Ale słyszałem, jak jeden z tych zbirów przysięga, że Dendoncker kazał zabić Michaela. A kłamstwo nic by mu nie dało.

Sonia wstała, podeszła do okna i owinęła się zasłoną.

– Nie wiem, co robić. Nie mogę uwierzyć, że tak po prostu zniknął. To musi być jakaś pomyłka.

Nie wiedziałem, co jeszcze powiedzieć.

Sonia wyplątała się z zasłony i stanęła twarzą do mnie.

– Skoro wiedziałeś, że on nie żyje, to dlaczego nie powiedziałeś mi tego od razu? – Miała wilgotne i zaczerwienione oczy. – Dlaczego mnie zwodziłeś? Dlaczego wciskałeś mi kit, że chcesz pomóc go znaleźć?

– Wtedy nie wiedziałem jeszcze, w co grasz. – Podniosłem rękę. – Jemu już chyba nie pomogę. Ale wciąż mogę pomóc jego siostrze. Pod warunkiem że ją znajdę.

– Pieprzysz. – Opadła bezwładnie na krzesło. – Nie, to do mnie nie dociera. Nie wiem, co robić.

– Najlepiej wyjedź – odparłem. – To moja rada. Muszę już iść. Ale najpierw chcę Cię o coś spytać. Okrutnie to zabrzmiało, bo chwila jest nieodpowiednia. Ale może mi pomóc.

– Więc pytaj.

– Michael przysłał siostrze list, ulotkę reklamową z Płowego Deresza i coś jeszcze. Prezerwatywę. Pomyślałem, że to dziwne. A nawet dziwaczne. Czy coś Ci to mówi?

– Nie – odparła. – Michael nie kupował prezerwatyw. Nie używaliśmy ich. I na pewno nie wysłałby prezerwatywy siostrze. To obrzydliwe.

– Skądś się tam jednak wzięła.

– Musiał ją podrzucić ktoś inny.

– Nie sądzę.

Sonia wzruszyła ramionami.

– Może Michael próbował jej coś powiedzieć. Na przykład „Uważaj”, „Zabezpiecz się”. Uwielbiał zagadkowe liściki. Często mi je zostawiał. Szczerze mówiąc, zwykle ich nie rozumiałam. Musiał mi je tłumaczyć.

Prezerwatywa jako ostrzeżenie? Możliwe. W każdym razie nie mogłem tego wykluczyć. Możliwe, lecz mało prawdopodobne. I jako wyjaśnienie zupełnie mi nie pasowało. Głos z tyłu głowy wciąż powtarzał, że coś tu nie gra.

Facet w dziurawych butach nie spał tak twardo, jak myślałem. Chyba tylko udawał.

Kiedy zszedłem do holu, nie trzymał już nóg na ladzie. Nie siedział wygodnie na krześle. W ogóle go tam nie było. Było za to dwóch tamtych. Tych z poprzedniego wieczoru. Jedynych, którzy mogli jeszcze chodzić. Tym razem to oni czekali na mnie. Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. Na mój widok wypięli pierś. A potem zaczęli działać. Kierowca stanął przed podwójnymi drzwiami. Pewnie zamkniętymi już na klucz. Ten, którego zdzieliłem trzonkiem do siekiery, przesunął się w drugą stronę i zablokował wejście do korytarza. Niepotrzebnie zawracał sobie głowę. Nie miałem zamiaru tam iść.

Obaj byli ubrani tak jak poprzedniego dnia. W czarne podkoszulki. Czarne dżinsy. I czarne wojskowe buty. Ale teraz kierowca miał lewą rękę na temblaku. A na ramieniu mały plecak. Ten drugi też. Plecaki, poplamione, wytarte i solidnie podniszczone, były zrobione z nylonu balistycznego w kolorze piasku. I czymś obciążone.

– Na podłogę – rozkazał kierowca. – Na brzuch. Z rękami na plecach.

– Znowu? – spytałem. – Serio?

– Na podłogę. Ale już!

Nie zamierzałem się kłaść.

– Czy we wczesnym dzieciństwie ktoś upuścił Was na głowę? Was albo Waszego szefa? Bo naprawdę się martwię. Dosłownie każde stworzenie żyjące na naszej planecie potrafi uczyć się z doświadczenia. Ale

Wy najwyraźniej nie. Pamiętacie, co się stało ostatnim razem? Wtedy było Was trzech, a teraz tylko jeden.

– Uczymy się, uczymy, my też.

Kierowca skinął głową i ten drugi zdjął plecak. Otworzył go i coś wyjął. Pełną maskę twarzową z czarnej gumy butylowej. Miała smętne trójkątne okulary i okrągły filtr zamontowany po lewej stronie. Wyglądała na połowę maskę przeciwgazową M40. Amerykańskie wojsko i piechota morska używały takich od lat dziewięćdziesiątych. Nie był to najnowszy model. Ani najwygodniejszy w użyciu. Ale skuteczny. Facet włożył ją i ściągnął pasek mocujący.

Kierowca ścisnął swój plecak kolanami, otworzył go i wyjął identyczną. Włożył ją niezdarnie, bo tylko jedną ręką, po czym na chwilę zastygł bez ruchu. Wyglądał jak przygnębiony owad. Potem wyjął z plecaka kolejną rzecz. Srebrzysty pojemnik wielkości puszki fasoli w sosie pomidorowym. Zaopatrzony dodatkowo w pierścień zawleczeni i dźwignię spustową.

– Gaz CS. – Głos płynący przez membranę z przodu maski był metaliczny i przytłumiony. – Wiesz, co to jest?

Nie tylko wiedziałem. Poczułem jego działanie na własnej skórze. Przed laty, w ostatnim dniu szkolenia. Zamknęli nas w pokoju z instruktorem. Dwunastu żołnierzy. Na środku pokoju stał metalowy stół i instruktor postawił na nim pojemnik z CS. Wyciągnął zawleczkę i rzucił ją do góry. Był już w masce. W starszym modelu. W M17, wtedy standardowym. Musieliśmy zaczekać, aż zawleczka spadnie na podłogę. Od tej chwili mieliśmy dwadzieścia sekund na włożenie maski. Zdążyliśmy. Wszyscy. Bo ta część ćwiczenia była łatwa. Następna już nie. Instruktor kazał nam je zdjąć i wyrecytować swój stopień i nazwisko. Robiliśmy to po kolei i mogliśmy je ponownie włożyć dopiero wtedy, kiedy kiwnął głową. Było kiepsko. I to bardzo. A jeszcze gorzej wtedy, kiedy kogoś nie lubił. Udawał, że go nie słyszy. I kazał mu powtarzać wszystko od początku. Jednemu zaaplikował aż trzy próby. Po każdej robił przerwę. Każda dłużyła się jak godzina. Dla nas. Dla tego nieszczęśnika pew-

nie jak rok. Kiedy w końcu wytoczył się na świeże powietrze, przód koszuli miał mokry od łez, smarków i śliny. Dziesięć minut później zrezygnował ze szkolenia.

– My nazywamy to gazem SGD. – Kierowca podniósł pojemnik wyżej. – Specjalnym Gazem Dendonckera. To coś jak CS na sterydach. Pali w oczy tak bardzo, że bez soli fizjologicznej człowiek ślepie. A nos? Gardło? Płuca? Ból jest nie do zniesienia. Sam się przekonasz.

Wciąż milczałem.

– Ostatnia szansa – ciągnął tamten. – Na podłogę. Zrób sobie przysługę, bo jeśli tego użyję, zmienią się reguły gry. Będziesz musiał się do mnie przyczołgać. Położyć się u moich stóp. Błagać, żebym uratował Ci oczy.

Nie drgnąłem z miejsca.

– To się nie wydarzy.

– Przestań – rzucił kierowca głosem robota. – To fakt naukowy, chemii nie oszukasz.

– Chemia jest w porządku. – Wciąż miałem pistolet, który odebrałem przed barem późniejszemu samobójcy. Kusilo mnie, żeby go użyć. Pistolet rozwiązałyby problem. Ale ktoś usłyszałyby huk wystrzału. A ja nie chciałem zwracać na siebie uwagi. Ani wtedy, ani nigdy. Dyskrecja przede wszystkim. Dlatego przesunąłem się powoli w lewo, aż kierowca znalazł się dokładnie między mną a drzwiami. – Ale zawsze wolałem fizykę.

– Ostrzegam. – Facet podważył klamerkę dociskającą dźwignię do korpusu pojemnika. Przełożył go do lewej ręki. Zakrzywionym palcem wskazującym zahaczył o pierścień zawleczonej. I pociągnął.

Zawleczka ani drgnęła.

Pewnie był to jego debiut. Uzbrajanie granatu jest trudniejsze, niż widać to na filmach. Zawleczka jest zrobiona ze stali chirurgicznej. Jeden wąs jest zgięty pod kątem prostym. Musi być zgięty. Inaczej ciągle dochodziłoby do nieszczęśliwych wypadków, czego nikt nie chce. Kierowca poprawił uchwyt. Podniósł prawy łokieć. Być może myślał, że da

mu to lepsze przełożenie. Nie czekałem, żeby sprawdzić, czy miał rację. Ruszyłem. Najszybciej, jak mogłem. Prosto przed siebie. W jego stronę. Pokonałem połowę dzielącej nas odległości. Pokonałem trzy czwarte. A potem rzuciłem się do przodu.

Trafiłem go ramieniem w brzuch. Upadł. Ja też i runęliśmy na drzwi. Razem. Ciężar o wadze ponad dwustu kilogramów plus skutek, jaki wywarła waga mojego ciała pomnożona przez prędkość biegu. Stary zamek tego nie wytrzymał. Chyba nawet nie próbował. Drzwi otworzyły się jak wysadzone w powietrze. Jedno skrzydło grzmotnęło w ścianę. Drugie wyleciało z zawiasów i pokoziołkowało. A my wylądowaliśmy na betonie. On pode mną, na plecach. Ja na nim. Przygniatałem jego pierś. W momencie zderzenia pękło mu chyba kilka żeber. Możliwe, że obojczyk. Albo i żebra, i obojczyk. Ale nie miało to żadnego znaczenia, bo i tak nie czuł bólu. Jego ramiona znalazły się na krawędzi najwyższego stopnia schodów prowadzących na ulicę. Ciężar mojego ciała przygwoździł jego tułów, lecz nie głowę. Głowa opadała dalej. I opadła dwa-naście, trzynaście centymetrów niżej. Potylicą uderzyła w beton. I pękła jak arbuz. Coś lepkiego obryzgało mi twarz. Kierowca drgnął. Tylko raz. Potem znieruchomiał.

Pół sekundy później coś zważyło mi się na plecy. Coś o wadze kilkudziesięciu kilogramów. A moją szyję owinęła ręka. Tego drugiego. Facet musiał za nami pójść. Leżałem na kierowcy. Dostrzegł swoją szansę, skoczył i utknąłem między nimi jak szynka w kanapce. Wpychał rękę pod tył mojej szyi coraz głębiej i głębiej, a gdy wepchnął do łokcia, drugą chwycił ją za nadgarstek i pociągnął. Dla lepszego przełożenia wbił mi kolano w kręgosłup. Wkładał w to wszystkie siły, jak wędkarz, który wyciąga na brzeg zdobycz swojego życia. Sięgnąłem za siebie, żeby chwycić go za głowę, ale odchylił się do tyłu. Bardzo mądrze. Wyczuł niebezpieczeństwo i go uniknął.

On chciał wykończyć mnie, a ja jego. Żaden z nas nie ustępował ani na centymetr. Żaden nie miał przewagi. Gość musiał wyczuć, że utknęliśmy w martwym punkcie. Mnie to pasowało. Jeśli szukał klienta do walki na wytrzymałość, to źle wybrał. On też to chyba zrozumiał, bo zaczął kiwać się do przodu i do tyłu, zwiększając nacisk na moją szyję. Co zdecydowanie podniosło stawkę gry. Bo nagle zabrakło mi tchu. Napiąłem mięśnie szyi, mimo to czułem, że tchawica lada chwila nie wytrzyma. Paliły mnie płuca. Musiałem przechylić szalę na swoją korzyść. I to szybko.

Prawym ramieniem zaparłem się o ziemię tuż przy ciele, na którym leżałem. Podniosłem lewe i facet musiał zmienić pozycję. Odchylić się w drugą stronę, inaczej by się ze mnie zsunął. Zaparłem się lewym ramieniem. Podniosłem prawe. Skręciłem się w pasie. Przywarłem do be-

tonu prawym kolanem, uniosłem biodra i obaj przechyliliśmy się w lewo. Przez chwilę niepewnie balansowaliśmy, bo gość zrozumiał, co się dzieje, i próbował temu zapobiec, odchylając się w prawo. Ale było za późno. No i wciąż obejmował mnie za szyję.

Upadliśmy – do tyłu – i tym razem on wylądował pode mną. Na plecach. A ja na nim. Też na plecach. Przygniatałem go, mimo to wciąż próbował mnie udusić. Nie rezygnował. Przeciwnie, jeszcze mocniej zaciskał palce. Pewnie z desperacji. Bo coraz płycej oddychał. Bo nie mógł uwolnić głowy. Sięgnąłem za siebie i wymacałem maskę. Była odwrócona w stronę ulicy. Pod niemożliwym kątem. Zrozumiałem, że gość musiał ją przesunąć na czubek głowy. Chciał lepiej widzieć, ale i być przygotowanym na wybuch gazu. Zerwałem ją z jego twarzy i odrzuciłem. Przesunąłem palcami w dół czoła. Wymacałem grzbiet nosa. Wcisnąłem kciuk w prawe oko. A palec wskazujący w lewe. I zacząłem naciskać.

Nie za mocno. Przynajmniej nie od razu. Facet wciąż próbował mnie udusić. Więc zwiększyłem nacisk. Gość zaskamlał. Szarpnął na boki głową. Chciał się wyrwać. Ale go nie puściłem. Zwiększyłem nacisk jeszcze bardziej. I jeszcze bardziej. Wyczułem, że za chwilę pękną mu gałki oczne. Albo wyskoczą z oczodołów. W normalnych okolicznościach uznałbym, że to wystarczy. W tych musiałem jednak zachować ostrożność. Facet był moją premią. Nie chciałem jej zmarnować. Musiał odpowiedzieć na kilka pytań. Dlatego na tym poprzestałem i nie wyciągając palców z jego oczu, uniosłem biodra. Wepchnąłem pod nie rękę. Przesunąłem ją w stronę jego krocza. Chwyciłem co trzeba i zacząłem to ścisnąć. I wykręcać. Coraz mocniej. Coraz skuteczniej, bo w końcu przeraźliwie wrzasnął i zabrał łapy z mojej szyi.

Zerwałem się na równe nogi, na wypadek gdyby zmienił zdanie albo spróbował czegoś innego. I huknąłem go piętą w brzuch. Niezbyt mocno. Chciałem go tylko unieruchomić. Na chwilę. Podniosłem pistolet, maskę i pojemnik, który musiał wypaść kierowcy z ręki i potoczył się na górny stopień schodów. Wciąż tkwiła w nim zawleczka. Zajrzałem do plecaka. Butelka wody. Zwinięta linka spadochronowa. Jakieś narzędzie.

I sześć trytek. Narzędzie tkwiło w skórzanym futerale, coś w rodzaju scyzoryka z mnóstwem dodatkowych ostrzy, śrubokrętów i nożyczek. Trytki były grube. Solidne. Schowałem je do kieszeni, scyzoryk też. Pistolet wrzuciłem do plecaka. Potem trąciłem faceta w ucho czubkiem buta.

– To Twój wóz? – Wskazałem przeciwną stronę ulicy, gdzie przy krawężniku parkowała limuzyna. Czarny lincoln wyglądający jak ten, którym we trzech uciekli z kostnicy.

Gość wykręcił szyję, spojrzał i kiwnął głową.

– Gdzie kluczyki?

Wskazał leżące obok niego ciało.

– Weź je – rzuciłem.

– Odpada. – Zbladł jak ściana. – On nie żyje. Nie dotknę go.

– Jeśli tego nie zrobisz, nic mi po Tobie. – Trąciłem go w ucho jeszcze raz. Też butem, tylko trochę mocniej. – Chcesz skończyć jak on?

Nie odpowiedział. Uniósł się na czworaki, wyciągnął w stronę martwego kumpla i wyjął kluczyki z kieszeni.

– Dobrze. A teraz podnieś go i zapakuj do bagażnika.

– Nie, nie zrobię tego.

– Ma się znaleźć w bagażniku. Albo go zapakujesz, albo do niego dołączysz. Wybieraj.

Facet potrząsnął głową, chwiejnie wstał i zszedł kilka stopni niżej. Wziął trupa za rękę, pociągnął i na chodniku zagrzechotał pistolet. Gość próbował go chwycić, ale zrobił to za wolno. Bo wcześniej jedną nogą przydeptałem broń, a drugą kopnąłem go w głowę. Niezbyt mocno. Chciałem go tylko ostrzec. Podziałało i powlókł trupa dalej, zostawiając czarną smugę krzepnącej krwi na asfalcie. Zaczekałem, aż pokona połowę drogi, podniosłem pistolet i wrzuciłem go do plecaka.

Otworzył bagażnik i z trudem dźwignął ciało. Było ciężkie. Głowa i kończyny majtały się na wszystkie strony. W końcu posadził trupa na ziemi. Oparł go o zderzak. Stanął przed nim, objął go i wepchnął do bagażnika głową naprzód. I natychmiast zamknął klapę, jakby się bał, że

teraz ja wepchnę jego. Odwrócił się. Miał rozszerzone oczy i zakrwawione przedramiona. Ciężko oddychał.

– Otwórz drzwi – poleciłem.

Nacisnął guzik na pilocie. Kliknęły wszystkie cztery zamki.

– Połóż kluczyki na bagażniku.

Położył.

– Wsiadaj. Za kierownicę.

Wziąłem kluczyki i stanąłem tak, żeby nie mógł zatrzaskać drzwi. Wyjąłem z kieszeni trytkę i rzuciłem mu ją na kolana.

– Prawa ręka do kółka.

Facet zawahał się i owinął trytkę wokół kierownicy. Wetknął końcówkę do dziurki i pociągnął. Trytka zaskoczyła na pierwszym ząbku. Włożył rękę do pętli. I zacisnął ją lekko na nadgarstku.

– Mocniej.

Gość zlikwidował luz.

Pochyliłem się i szarpnąłem za sterzący pasek. Plastik wbił się mu w ciało. Facet cicho stęknął.

– Teraz lewa.

Położył na kierownicy lewą rękę, na dziesiątej. Zapiąłem na niej drugą trytkę i pociągnąłem go za łokieć. Gość znowu stęknął. Doszedłem do wniosku, że się nie uwolni. Opaski dobrze trzymały. Zamknąłem drzwi i usiadłem na tylnym siedzeniu. Za nim.

– Gdzie jest Dendoncker? – spytałem.

Nie odpowiedział.

Włożyłem maskę i z przesadną dokładnością wyregulowałem paski. Potem postawiłem pojemnik z gazem na podłokietniku między przednimi siedzeniami.

– Gaz SGD, jak powiedział Twój kumpel. Przed śmiercią. CS na sterydach. Dobrze zapamiętałem?

Mężczyzna kiwnął głową.

– Ale wiesz co? Ja mu nie wierzę. Moim zdaniem to atrapa. Blefowaliście. Dlatego wyciągnę zawleczkę. Zobaczymy, co będzie.

Zaczął rzucać się w fotelu, wystawiając łokieć i próbując strącić pojemnik na podłogę.

– Nie! – krzyknął. – Proszę. To prawdziwy gaz. Nie rób tego!

– Więc odpowiedz na pytanie.

– Nie mogę. Nic nie rozumiesz. Dendoncker... Z nim się nie zadziera.

Nic nie jest tego warte.

Postukałem palcem w pojemnik.

– Toto oślepia, tak? Ocalić wzrok... Gra warta świeczki, prawda?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Miałem kumpla. Pracowaliśmy razem pięć lat. U Dendonckera. Kumpel jeździł do Walmartu, raz w miesiącu. Do najbliższego, jakieś sto sześćdziesiąt kilometrów stąd. Sprzedawali tam napój, który bardzo lubił. Chai. Z Indii. Dendoncker uznał, że to podejrzane, i kazał go śledzić. Jego człowiek zobaczył w sklepie kogoś, kto wyglądał na federalnego.

– Czyli jak?

– To chyba nie był federalny, ale mógł nim być. To wystarczyło. Dendoncker sprzedawał wtedy partię wielkokalibrowych snajperek. Jakiemuś baronowi narkotykowemu. Z Meksyku. Tam jest duże zapotrzebowanie na takie rzeczy. Można zarobić kupę forsy. Kupiec zażądał demonstracji, więc Dendoncker kazał sprowadzić na pustynię mojego kumpla. I przywiązać go do słupa sto metrów dalej. Nagiego. A nam kazał patrzeć. Przez lornetki. Karabin działał jak trzeba. Ale ten baron był beznadziejnym strzelcem. Zużył dwanaście nabojów. Trafił w nogę. W ramię. Postrzelił go w bok i w brzuch. Kumpel wciąż żył. Ale Dendoncker kazał go tam zostawić. Dwa dni później wysłał kogoś po ciało. Widziałem je. Aż się porzygałem. Miało wydziobane oczy. Ślady po ukąszeniach węży na stopach. Coś dużego nadgryzło nogę. Wtedy poprzyśiąłem sobie, że zrobię wszystko, żeby coś takiego nie przytrafiło się mnie.

Postukałem w pojemnik.

Mężczyzna obrócił głowę w moją stronę.

– Innym razem Dendoncker sprzedawał miny lądowe. Też jakiemuś baronowi narkotykowemu. Gość budował wielki dom czy coś i chciał go ufortyfikować. On też zażądał demonstracji. Chciał zobaczyć, jak te miny działają. Dendoncker kazał zakopać kilkanaście na pustyni. A potem zapędził tam jakiegoś gościa. Nie pamiętam nawet za co. Facet przeszedł tylko trzy metry. Nic z niego nie zostało.

– Kiedy skończę z Dendonckerem, nikomu nie zrobi już krzywdy. To na pewno. – Postukałem w pojemnik po raz trzeci. – Ale ten gaz? W zamkniętej przestrzeni?

Mężczyzna uderzył głową w kierownicę. Raz. Drugi. I trzeci.

– Nie powiedziałbym, nawet gdybym chciał. Bo nie wiem, gdzie on jest. Nikt nie wie.

– A co wiesz? – drążyłem.

– Kazano nam zawieźć Cię do tego domu. Ktoś miał po Ciebie przyjechać. Nie mam pojęcia, gdzie chcieli Cię zabrać. To dla mnie za wysokie progi.

– Skąd wiedzieliby, że już tam jestem?

– Miałem wysłać esemesa.

– Do kogo?

Wyrecytował z pamięci dziesięć cyfr. Numer telefonu na kartę, z kierunkowym Alaski. Pewnie korzystali z takich, żeby ukryć aktualną lokalizację.

– Co miałeś napisać? Było jakieś umówione hasło?

– Nie. Po prostu, że już jesteśmy.

– A potem? Jak długo czekaliście zwykle na ich przyjazd?

Gość wzruszył ramionami.

– Różnie. Czasem już tam byli. A czasem przyjeżdżali po pięciu minutach. Maksymalnie po dziesięciu.

– Gdzie czekaliście?

– W tym domu.

– Gdzie to jest?

Opisał ten, do którego doprowadzili mnie Ci z czarnego lincolna.

– Zawsze tam czekaliście? Nigdy gdzie indziej?

– Nigdy – Pokręcił głową. – Wszyscy trafiają tam i tylko tam. O ile wiem, nie ma innego miejsca.

– Do kiedy kazali Ci mnie dostarczyć?

– Nieważne, bylebym Cię dostarczył.

– Postaw nogę na pedale hamulca.

Ani drgnął.

Postukałem palcem w pojemnik.

Facet westchnął, wyciągnął nogę i nacisnął pedał.

Zdjąłem maskę i włożyłem ją do plecaka. Pojemnik też. Nachyliłem się nad podłokietnikiem i lewą ręką przycisnąłem jego głowę do szyby. Prawą włożyłem kluczyk do stacyjki. Przekręciłem go. Ożył potężny silnik. Przesunąłem dźwignię zmiany biegów na Drive i opadłem na siedzenie.

– Jedziemy. Adres znasz. Im szybciej przyjadą Ci od Dendonckera, tym szybciej Cię wypuszczę. Pod warunkiem że nie spróbujesz niczego głupiego.

Zacisnął palce na kierownicy. Z trytkami było mu trudno, uznałem jednak, że sobie poradzi. I że zamiast o ucieczce, będzie myślał o czymś innym. Nacisnął pedał gazu, ruszyliśmy i minęliśmy hotel. Za hotelem skręcił w lewo, w kierunku centrum miasta. Jechał powoli. Równo. Nie próbował żadnych sztuczek. Pięćdziesiąt metrów dalej ulica odbijała w lewo.

– Nie. Nie mogę. – Szarpnął kierownicą. Maksymalnie skrzyżował ręce i łokcie i lincoln zawrócił. W kierunku granicy. Facet wyrównał. Dodał gazu i gwałtownie przyspieszył.

Wyjąłem pistolet, pochyliłem się i przystawiłem lufę do jego skroni.

– Śmiało – rzucił. – Strzelaj. Proszę. Pociągnij za spust!

Przed szybą znów pojawił się hotel. Facet nie skręcił, pojechał prosto przed siebie. Samochód grzmotnął w krawężnik i wzniecając tuman

kurzu, wpadł na równinę, piaszczystą, wyboistą i porośniętą krzakami. Zaczął dygotać, podskakiwać i w końcu trochę zwolnił. Nie nadawał się na taki teren. Był zbyt długi. Zbyt niski. Mimo to jechaliśmy dalej. Facet nie zamierzał się zatrzymywać, nic na to nie wskazywało. Celował w graniczną barierę. Wskazówka prędkościomierza wychylała się leciutko poza trzydzieści kilometrów na godzinę. Wóz był ciężki, ale nie miał szans przebić bariery. Nie z tą prędkością. Słupy były stalowe. Grube. Głęboko wpuszczone w ziemię. Zaprojektowane tak, aby wytrzymać nawet bardzo silne uderzenie. Nie przypuszczałem, żeby któryś z nas miał zostać ranny. A jeśli już, to lekko.

Na wszelki wypadek zapiąłem pas. Założyłem, że facet chce unieruchomić samochód. Chłodnica pękłaby na pewno. Co w tym klimacie stanowiłoby problem. Błyskawicznie przegrzałby się silnik. I nie dotarlibyśmy na miejsce.

Zastanawiałem się, czy nie znokautować faceta. Albo lekko podduśić, żeby stracił przytomność. Ale wiedziałem, że cokolwiek zrobię, i tak nie unikniemy zderzenia. Co nie stanowiłoby jednak większego problemu. Sonia powiedziała, że Michael miał dwa samochody na parkingu przed hotelem, który był niedaleko. Mógłbym jeden z nich pożyczyć. I zapakować do bagażnika mojego kierowcę. Mógł się przydać. Nie tylko jako kierowca.

Dwadzieścia metrów przed barierą gość szarpnął lewą ręką. Mocno. Drgnęła kierownica. Popłynęła krew, bo krawędź plastikowej opaski przecięła mu skórę. Pięć metrów dalej wepchnął w trytkę prawą ręką. Głęboko, ile się dało, i znów szarpnął. Znów do tyłu, z jeszcze większą determinacją. Tym razem zdarł sobie płat skóry nad kciukiem. Krzyknął z bólu. Pokazała się kość. Ściągną. Dłoń zalała struga krwi. Krew mogła nasmarować plastik i nadać mu lepszy poślizg. A może zadziałała tylko brutalna siła. W każdym razie udało mu się uwolnić rękę.

Dziesięć metrów przed barierą włożył ją do kieszeni. Wyjął monetę. Ćwierćdolarówkę. Ujął ją kciukiem i palcem wskazującym i położył na środku kierownicy.

Pięć metrów dalej pochylił się do przodu. Wystawił szyję. I mocniej nacisnął pedał gazu.

Uderzyliśmy w barierę i natychmiast wystrzeliło kilkanaście poduszek powietrznych. Z hukiem głośniejszym niż trzask zderzenia. Jedna wyskoczyła z drzwi po mojej stronie. Była gorąca. Omal mnie nie poparzyła. Przestałem widzieć, jakbym znalazł się nagle w chmurze. Po chwili poduszki oklapły. Powietrze było gęste od białego proszku przypominającego talk. Pachniało kordytem. Rozpiąłem pas. Otworzyłem drzwi. I wysiadłem.

Silnik zgasł. Coś syczało. Spod maski buchała para. Otworzyłem drzwi od strony kierowcy. Siła zderzenia odrzuciła mężczyznę do tyłu. Miał czarną poparzoną twarz. Szeroko otwarte ślepe oczy. Szczękę przekrzywioną pod pijackim kątem. Zalany krwią przód koszuli. I dużą dziurę w gardle. Jakby go postrzelono. I w sumie tak było. Postrzeliła go moneta wyrzucona siłą wybuchu poduszki. Wprowadzając tę technologię, Amerykański Urząd do spraw Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego nie przewidział chyba, że ktoś wykorzysta ją do takich celów.

Wyjąłem mu z kieszeni telefon. Zabrałem plecak. I poszedłem do hotelu.

Ale po pięciu metrach przystanąłem. Pomyślałem o telefonie. Zamierzałem z niego skorzystać, co znaczyło, że muszę go najpierw odblokować. A to mogło być trudne.

Miał tylko ekran. Bez przycisków z cyframi. Bez czytnika linii papilarnych. Gdy go podniosłem, gniewnie zabzyczał. Na ekranie ukazała się wiadomość. *Twarz nierozpoznana. Spróbuj jeszcze raz.* Niech Bóg ma w opiece telefon, który rozpozna moją twarz. Tak pomyślałem. I zawróciłem. Otworzyłem drzwi i podsunąłem komórkę pod nos martwemu kierowcy. Ale znów gniewnie zabzyczała. Spróbowałem jeszcze raz, tak jak mi kazała.

Bez skutku.

Musiało chodzić o szczękę. Była złamana i zwisała, a telefon pamiętał pewnie kształt twarzy właściciela. A twarz się zmieniła. Miała teraz inny zarys. Podniosłem szczękę czubkami palców i spróbowałem po raz trzeci. Nic z tego. Przesunąłem ją w lewo. Nie pomogło. Telefon nie chciał się odblokować. Bzyczał i bzyczał coraz gniewniej. W końcu na ekranie ukazała się nowa wiadomość. *System biometrycznej autoryzacji twarzy przestał działać. Wprowadź hasło.*

Pod wiadomością wyskoczyło sześć kółek. Małych, pustych i poziomo ułożonych. A pod kółkami dziesięć kółek z cyframi od jednego do dziesięciu. Coś jakby klawiatura. Dotknąłem zera. Pierwsze kółko poszarzało. A więc telefon był zabezpieczony sześciocyfrowym PIN-em. Za dużo kombinacji, nie miałem szans. Chyba że dowiedziałbym się cze-

goś o jego właścicielu. Czegoś, co by je zwiększyło. Na wszelki wypadek dotknąłem zera jeszcze pięć razy, kolorując na szaro pozostałe kółka. Komórka zabzyczała. *Hasło niepoprawne. Spróbuj jeszcze raz.* Może i bym spróbował, ale nie tam. Nie w pełnym słońcu, obok samochodu z dwoma trupami w środku. Poza tym miałem inne wyjście.

Otworzyłem bagażnik. Ciało tego drugiego leżało na samym końcu, tuż za oparciami tylnych foteli. Musiała je przesunąć siła zderzenia. Chwyciłem je za pasek i przyciągnąłem. Poszperałem w kieszeniach i znalazłem kolejny telefon, też bez przycisków. I też z systemem rozpoznawania twarzy. Przewróciłem faceta na plecy i przesunąłem tak, by padało na niego słońce. Podetknąłem mu pod nos komórkę. Zabzyczała i odblokowała ekran.

Było dobrze. Ale nie idealnie. Nie miałem pojęcia, kiedy telefon ponownie się zablokuje. Po trzydziestu sekundach? Po minucie? Po dziesięciu minutach? Dopóki stałem obok samochodu, nie było to problemem. Miałem pod ręką głowę właściciela. Tylko że ja nie chciałem tam zostać. Ani stamtąd dzwonić. Chciałem dotrzeć do domu, zająć pozycję, wysłać esemesa i wezwać kolejnych zbirów Dendonckera. Chciałem zobaczyć, jak przyjeżdżają. Ilu ich jest. Jaką mają broń. Wiedziałem, że dotarcie tam trochę mi zajmie. Prawdopodobnie pół godziny. Co najmniej. Chevrolet parkował przed hotelem Michaeli. Szedłem stamtąd do Płowego Deresza. A potem do Border Inn. Musiałbym po niego wrócić. Albo zdobyć kluczyki do któregoś z samochodów jej brata. A po drodze załatwić kilka innych spraw.

W tych okolicznościach nie widziałem innego wyjścia. Wyślę esemesa i niech się dzieje, co chce. Gdyby tamci mnie uprzedzili i przyjechali jako pierwsi, nie stałoby się nic złego. Poobserwowałbym dom. Ułożyłbym plan działania. Ich wcześniejszy przyjazd wpłynęłoby jedynie na szczegóły. Ale nie na rezultat ostateczny. Zresztą nie miało znaczenia, ilu ich się zjawi ani jak będą uzbrojeni. Bo tak czy siak, zamierzałem posłać ich wszystkich do szpitala. Albo do kostnicy.

Dotknąłem ikonki z napisem *SMS* i wybrałem numer, który podał mi kierowca, zanim zabiła go moneta. Powiedział, że nie ma żadnego hasła, więc napisałem: *Więzień zabezpieczony. W drodze do domu.* I dodałem: *Szacowany czas przybycia 40 minut.* Pomyślałem, że może mieć to jakiś wpływ. Albo i nie. W każdym razie warto było spróbować.

Nie wiedziałem, kiedy komórka znów się zablokuje, więc idąc do hotelu, wybrałem numer Wallworka. Odebrał po pierwszym sygnale.

– Mówi Reacher. Zegar tyka, więc krótko. Mam nowe informacje. Przesłuchałem kogoś związanego z szajką Dendonckera. Kobieta. Powiedziała, że jego ludzie zamierzają zdetonować bombę w Dniu Kombatanta. Twierdzi, że tylko dymną. W ramach jakiegoś protestu.

– Wierzy pan jej?

– Wiem, że człowiek Dendonckera skonstruował prawdziwą. Potwierdziła to Michaela Fenton, ta z TEDAC. Więc albo kobieta, z którą rozmawiałem, została oszukana i Dendoncker podmienił bomby, albo istnieje plan, o którym nic nie wiem.

– Gdzie będzie cel?

– Nie wiedziała.

– Okej. Lepiej rozegrać to bezpiecznie. Postawię wszystkich na nogi.

– Dobrze. Ma pan coś dla mnie?

– Ten dom, o który pan pytał. Wytropiłem właściciela. To kolejna firma wydmuszka. Bez żadnych związków z Dendonckerem ani jego firmami. Nie ma żadnych aktywów. I jeszcze coś. Coś dziwnego. Dom zmienił właściciela dziesięć lat temu. Zaraz po tym, jak w mieście pojawił się Dendoncker. Znalazłem notatkę w miejscowej gazecie. Poprzedni właściciel był miłym staruszkiem i mieszkał tam od lat. Wygląda na to, że go wyrzucono. Dom nie był na sprzedaż. Ale pojawił się nowy klient. Anonimowy, bardzo agresywny, prawdopodobnie Dendoncker. Zależało mu na tym domu tak bardzo, jakby go sobie upatrzył.

– Dlaczego? Jest pusty, nikt tam nie mieszka. To klasyczny „bezpiecznik”. Dendoncker mógłby wybierać i przebierać. To miasto umiera, jest na respiratorze. Po co mu akurat ten?

– Może chciał w nim zamieszkać i zmienić zdanie? Albo coś sobie zaplanował i plan nie wypalił? Powodów może być wiele.

– Fakt. Ale proszę coś dla mnie zrobić. Niech pan sprawdzi, do kogo należą sąsiednie domy. Niech pan sprawdzi całą ulicę. Może wyskoczy coś nowego.

• • •

Skończyliśmy rozmawiać, kiedy doszedłem do schodów przed głównym wejściem do hotelu. Ślady krwi wciąż tam były. Teraz już wyschnięte. Zbrązowiałe i skrzepnięte. Ocalałe skrzydło drzwi było zamknięte. Ktoś podniósł to drugie i oparł je o ścianę. Wszedłem do środka przez dziurę, która po nim została. Rozejrzałem się po holu i zobaczyłem kowbojskie buty. Te same. Ze skóry węża. Z dziurami w podeszwach. A więc wróciły. Bardzo się ucieszyłem. Mogłem dzięki temu szybciej odhaczyć następną sprawę.

Recepcjonista siedział rozwalony na krześle. We wciąż rozpiętej kamizelce i naciągniętym na twarz kapeluszu. I wciąż tak naprawdę nie spał. Zesztywniał, kiedy podszedłem bliżej. Nie spodziewał się, że znów mnie zobaczy. Pewnie myślał, że krew na schodach należy do mnie.

– Ile?

Wymacał brzeg runda, przesunął kapelusz do tyłu i odegrał scenkę z cyklu: „Jestem wkurzony, bo ktoś mnie obudził”.

– Ile? – powtórzył. – Za co?

– Za to, że zadzwoniłeś do Dendonckera. Powiedziałaś mu, że tu jestem. Ile Ci zapłacił?

– Nic. O czym Ty mówisz?

Chwyciłem go za kostki u nóg, pociągnąłem i tyłek zsunął mu się z krzesła. Gość huknął nim w podłogę i zapiszczał. Przeskoczyłem przez ladę i wylądowałem na jego nogach w chwili, gdy wyciągał rękę w stronę małej półki niewidocznej od zewnątrz. Leżała na niej strzelba. Wiekowy egzemplarz L. C. Smitha. Obrzyn z lufą skróconą do piętnastu

centymetrów. Bardzo poręczny. I śmiertelnie niebezpieczny w walce z bliska.

– Zostaw to – rzuciłem.

Kowboj nie posłuchał, więc kopnąłem go w twarz. Lekko. Właściwie to tylko go pchnąłem. Kiedy upadł na plecy, nastąpiłem mu na rękę. Żeby go zniechęcić. Na wypadek gdyby znów chciał sięgnąć po broń.

– Ile?

Recepcjonista przewracał się z boku na bok, przyciskając do piersi zmiądzoną rękę.

– Nic ekstra. Płaci mi co miesiąc. Pięćset dolarów, gotówką. Mam mu meldować, jeśli wydarzy się coś niezwykłego. Albo jeśli któryś z mieszkających tu jego ludzi zacznie dziwnie się zachowywać. Czasem ogłasza stan pogotowia. Tak jak dziś rano. Dostałem esemesa z Twoim rysopisem. Kazali mi zadzwonić, gdybym Cię zobaczył. Nie miałem wyboru. Pan Dendoncker to zły człowiek.

– Zawsze jest wybór. Dobry albo zły. Granica jest wyraźna. Po prostu myślałeś, że nikt Cię nie przyłapie. Wybrałeś chciwość. Źle oceniłeś sytuację. Dlatego zrobimy tak: Kiedy się obudzisz, wyjedziesz z miasta. Natychmiast. I już nigdy nie wrócisz. Zajrzę tu i sprawdzę. I jeżeli Cię zastanę, pomyślisz, że Dendoncker to przy mnie wielkanocny zajaczek. Jasne?

– Kiedy się obudzę? Ale... kiedy? Rano?

– Rano. Po południu. Wszystko jedno.

Chwyciłem go za przód koszuli, posadziłem i znów kopnąłem go w twarz. Tym razem trochę mocniej.

Zapukałem do drzwi pokoju 212. Delikatnie. Chciałem, żeby zabrzmiało to przyjaźnie. Nikt nie odpowiedział, więc zapukałem jeszcze raz.

– Odejdź. – Głos Sonii. Lekko spięty. Ale nie wyczułem, czy gniewny. Albo smutny. Czy przerażony.

Nagle przyszła mi do głowy pewna myśl. Bardzo niechciana. Może jest z nią któryś ze zbirów Dendonckera. Ktoś, kto wślizgnął się tam, kiedy bawiłem się z tymi z gazem. Kto dostał cynk od recepcjonisty. I przystawił jej lufę pistoletu do głowy. Oznaczałoby to, że nie mogę wyważyć drzwi. Co poważnie ograniczało dostępne opcje. Wtedy przypomniała mi się sztuczka z imionami, którą Michaela stosowała z bratem. Sonia i Michael byli parą. Może robili to samo.

Przesunąłem się w bok i zapukałem po raz trzeci.

– Heather? Jesteś tam? Wszystko w porządku?

Po chwili usłyszałem kroki w pokoju. Lekkie, lecz powolne. Kilka sekund później drzwi się otworzyły i zobaczyłem Sonię. Wciąż w tej samej żółtej sukience. Nie zauważyłem żadnej broni, przynajmniej w zasięgu wzroku. Sonia wychyliła się na korytarz i rozejrzała. Miała zaczerwienione oczy. I wilgotne policzki.

– Reacher? Dziękuję, że wpadłeś. Ale nic mi nie jest. Chciałam tylko po-
być sama. Więc odejdź. Dobrze?

– Nie wpadłem ot tak. Potrzebuję pomocy.

– Aha. Ale jakiej?

– Masz samochód?

- Oczywiście. Chcesz go pożyczyć?
- Gdzie parkujesz?
- Tu, w hotelu.
- Dobrze. Musisz mnie gdzieś zawieźć.
- Dokąd?
- Masz podręczną torbę podróżną? Spakowaną?
- Mam. Dlaczego pytasz?
- Weź torbę i kluczyki. Wszystko wyjaśnię po drodze.

• • •

Samochód był malutki. Nie bez powodu nazywał się mini. Ledwo się w nim zmieściłem, mimo maksymalnie odsuniętego fotela. Czerwony z białymi kołami, miał na dachu kalkomanię amerykańskiej flagi i zagięte krawędzie lusterek na drzwiach. W tych okolicznościach wolałbym coś bardziej dyskretnego, ale mini pasowało przynajmniej do parkingu. Który był na kolejnym dziedzińcu otoczonym skrzydłami hotelu, małym i ciasnym, z łukowatym wyjazdem we wschodniej części wychodzącym na ulicę. Kiedyś przyjeżdżały tu pewnie samochody dostawcze. A do pokoi z oknami po tej stronie wpadało więcej światła.

Ulica dochodziła do drogi, którą jechał czarny lincoln, zanim kierowca zawrócił. Kiedy Sonia skręciła w lewo, w kierunku miasta, opowiedziałem jej, co się wydarzyło, odkąd zostawiłem ją w hotelu. Natychmiast dostrzegła okazję.

- Będę obserwowała tył domu. Żeby nikt się nie wyślizgnął. Albo się nie wślizgnął. Mam tylko jedno pytanie. Jak Cię ostrzec, jeśli kogoś zobaczę?

- Zatrąb klaksonem.

- Nie lepiej by było, gdybym zadzwoniła? Albo wysłała esemesa? Klakson usłyszą.

- Nie mam telefonu. - Pokazałem jej ten, który odebrałem facetowi z bagażnika lincolna. Ekran już zdążył się zablokować. - W każdym ra-

zie użytecznego.

Sięgnęła za siebie po torebkę i położyła ją na kolanach. Pogrzebała w niej jedną ręką i podała mi komórkę.

– Masz. Weź ten.

Był to starszy model. Otworzyłem go. Na dolnej części była klawiatura. Prawdziwa. A na klapce ekran. Mały. Czarno-biały. Bez blokady.

– Z takiego samego dzwonił do mnie Michael. – Sonia zamknęła na chwilę oczy. – Miał identyczny. On też chyba wpadł w paranoję. Bał się, że jeśli będziemy używali nowszych, Dendoncker może nas wytropić.

• • •

Zawiozła mnie do hotelu Michaeli. Przesiadłem się do chevroleta, labiryntem uliczek doprowadziłem jadącą za mną Sonię do skrzyżowania na północ od domu Dendonckera i tam się rozdzieliliśmy. Ona skręciła na zachód, a ja pojechałem dalej, na południe. Na końcu ulicy nie parkował ani jeden samochód. Ani tam, ani nigdzie w zasięgu wzroku. Co mogło oznaczać, że ludzie Dendonckera kupili moją podpuchę z szacowanym czasem przybycia. Albo jeszcze nie przyjechali z innego powodu. Znaczyło to też, że muszę zaparkować gdzie indziej. Na trasie uczęszczanej przez tych zbirów chevrolet za bardzo rzucałby się w oczy.

Zawróciłem, dojechałem do szerszej drogi i skręciłem w ulicę mieszkalną, równoległą do tej, przy której stał dom „bezpiecznik”. W jej połowie stał kamper. Stary. Wyglądało na to, że nie ruszał się stamtąd od lat. Miał sflaczałe opony. Brudne okna. I lakier w beżowo-brązowe pasy, pokryty grubą warstwą piasku i brudu. Ale mnie chodziło o jego wielkość. Zaparkowałem za nim i dalej poszedłem piechotą.

W pobliżu wciąż nikt nie przejeżdżał. Zbliżyłem się powoli do domu i przebiłem przez gęstwiny krzaków i drzew oddzielających go od sąsiedniego. Zajrzałem przez pierwsze okno. Nikogo. Zajrzałem przez pozostałe, po kolei. Wciąż nikogo. Spróbowałem od frontu. Nisko pochyłony, minąłem duże okno, drzwi i doszedłem do rogu. Przez mniejsze

okno zajrzałem do sypialni. Też nikogo. Okno łazienki było matowe, więc prześlizgnąłem się pod nim i zajrzałem do drugiego pokoju, tego większego. Pusto.

Pomyślałem, że jeśli zdać się na to, co mówił ten od monety w gardle, i jeśli tamci rzeczywiście ukryli się gdzieś w środku, zakładali pewnie, że wejdziemy zwyczajnie, drzwiami. Dlatego, wciąż nisko pochyłony, podszedłem do nich i włożyłem klucz do zamka. Przekręciłem go. Przykucnąłem i pchnąłem drzwi, zakładając, że jeśli ktoś tam jest, czeka w pozycji stojącej. A jeśli jest przesadnie ostrożny, będzie mierzył w głowę. Ale nikogo nie zobaczyłem. Nikt we mnie nie celował. Więc wszedłem i sprawdziłem dom od środka. Każdy pokój. Każdą dziurę w podłodze. Chciałem mieć absolutną pewność. Nic, nikogo. Na sto procent.

Nie mogłem ukryć się w samochodzie. Ani nigdzie w pobliżu, bo nie było tam żadnych budynków ani naturalnych schronień. Więc wyszedłem na dwór i wcisnąłem się w gąszcz drzew. Usiadłem i oparłem się o ścianę. Liście i gałęzie były dość gęste i dopóki nie robiłem hałasu, nikt przechodzący dwa metry dalej nie zobaczyłby, że tam jestem. Zegar w mojej głowie mówił, że jeśli ludzie Dendonckera chcą zsynchronizować swój przyjazd z szacowanym czasem mojego, powinni się zjawić w ciągu pięciu minut.

Pięć minut minęło. Bardzo powoli. Nikt nie przyjechał. Sonia się nie odzywała. A ja siedziałem pod ścianą i czekałem. Po cichu. Minęło kolejne pięć minut. I następne. Ten z dziurą od monety twierdził, że nigdy nie czekali dłużej niż dziesięć. Więc siedziałem dalej. Dziesięć minut i jeszcze dziesięć. W sumie minęło trzydzieści. Pół godziny. Czekanie mi nie przeszkadzało. Mógłbym czekać całe popołudnie, gdyby przyniosło to spodziewany rezultat. Mógłbym czekać całą noc. Ale nie chciałem tracić czasu. Nie ma sensu warować przy wodopoju, jeśli ktoś odstraszył grubą zwierzynę. Jeszcze raz sprawdziłem okna, na wszelki wypadek. Nic, nikogo. Więc poszedłem na równoległą ulicę i już z daleka zobaczyłem amerykańską flagę na kółkach. Złożyłem się wpół i wsiałem.

- Nic z tego – mruknąłem.
- Cholera. – Sonia zmarszczyła czoło. – I co teraz?
- Mogli nadszednąć z tej strony i Cię zobaczyć?
- Nie. Odkąd tu jestem, nikt tędy nie przejeżdżał.

Nie miałem pojęcia, co nie zagrało. Plan wydawał się solidny. Może powinienem był wysłać esemesa z telefonu tego drugiego faceta. Może używali konkretnych sformułowań. A może ten z monetą zwyczajnie kłamał. Dlatego chciałem go tu przywieźć. Ale cóż, nie przywiozłem, więc nie było sensu tego roztrząsać. Skoro ludzie Dendonckera nie chcieli wyjść z kryjówki na swoich warunkach, nadeszła pora, żeby wyszli na moich.

33

– To nie wypali – powiedziała Sonia. – Nie wejdiesz tam. Musiałbyś mieć transponder. Wiem, bo Michael miał. Raz zostawił go w hotelu i wpakował się w kłopoty. Tam nie ma zamka ani klawiatury. Jest domofon, ale trzeba poprosić kogoś, żeby otworzył bramę. Myślisz, że Ci otworzą?

– A myślisz, że będę ich prosił?

• • •

Ona została, żeby dalej obserwować tył domu, a ja wróciłem do wielkiego kampera. Wsiadłem do chevroleta i pojechałem na zachód.

Budynek stał samotnie na końcu prostej drogi, tak jak mówił Wallwork. Miał kształt prostopadłościanu. Stalowa rama wypełniona cegłą. Płaski dach. Prostota i funkcjonalność. Był pewnie tani w budowie. I tani w utrzymaniu. Widać takie w parkach biznesowych w całym kraju. Parking od frontu, na dwadzieścia samochodów. Wszystkie miejsca były wolne, a za oknami nie dostrzegłem żadnego ruchu. Nic nie wskazywało, że budynek należy do mordercy. I jest siedzibą szajki przemytników. Albo że rozprowadzają stąd bomby. Po jednej stronie głównego wejścia wisiała tablica z napisem: WITAMY W PIE IN THE SKY, INC., a po drugiej malunek komiksowego samolotu z oczami zamiast okien w kokpicie, szerokim uśmiechem pod nosem i jednym skrzydłem, którym klepał się po opasłym brzuchu.

Stałem przed rozsuwaną bramą wbudowaną w otaczające budynki ogrodzenie z wysokiej na sześć metrów siatki. Siatka była gruba, słupy metalowe, solidne i gęsto rozstawione. Ale wszystko to razem tworzyło tylko jedną barierę. Pojedynczą zaporę. I w najlepszym wypadku zapewniało jedynie jaką taką ochronę. Co było zrozumiałe. Bo przyjeżdżali tu pewnie inspektorzy z sanepidu i klienci. Ktoś mógł znaleźć w internecie zdjęcia budynku, tak jak znalazł je Wallwork. Jeśli Dendoncker nie chciał zwracać na siebie uwagi, siedziba jego firmy nie mogła wyglądać jak Fort Knox.

Opuściłem szybę. Tuż obok stał pomalowany na biało metalowy słup, do którego przykręcono cztery skrzynki. Dwie na wysokości twarzy kogoś siedzącego w samochodzie. Dwie wyżej. Pewnie dla kierowców ciężarówek. Obie pary wyglądały identycznie. Pierwsza skrzynka musiała być domofonem, bo miała guzik i głośnik za metalową kratką. Druga, biała i prostokątna, była wielkości klawiatury, lecz nie miała przycisków. Pewnie stanowiła część systemu transpondera. Tak czy inaczej, nie zamierzałem przejmować się ani jedną, ani drugą.

Wyciągnąłem rękę i nacisnąłem guzik domofonu. Nie oczekiwałem, że mnie wpuszczą. Nie oczekiwałem żadnej odpowiedzi. Bo jej nie potrzebowałem. Reakcja, na jaką liczyłem, nastąpiła niemal natychmiast: kamera zamontowana na słupie za ogrodzeniem obróciła się i wycelowała prosto we mnie. Spojrzałem w obiektyw i nacisnąłem guzik jeszcze raz.

– Jestem – rzuciłem. – Przyjechałem. Przyjdźcie po mnie.

Pokiwałem palcem, żeby nie było wątpliwości, o co mi chodzi. Potem cofnąłem się dziesięć metrów i obróciłem samochód tyłem do ogrodzenia. Wątpiłem, czy znajdę w budynku coś obciążającego. Jakieś przedmioty czy wskazówki, które pozwolą mi namierzyć Dendonckera. Ale podczas wieloletniej służby w żandarmerii wojskowej przekonałem się, że nigdy nie należy wykluczać głupoty. Ani szczęścia. Żołnierzy, którzy poszli na lewiznę, znajdowano pod łóżkiem w domu ich kochanek. Skradziony sprzęt – w ich prywatnych samochodach. Poza tym byłem

już na miejscu. Dlatego uznałem, że nie zaszkodzi dostarczyć Dendonckerowi trochę poważniejszych zmartwień.

Upewniłem się, czy stoję dokładnie na wprost bramy. Wrzuciłem wsteczny i wcisnąłem do deski pedał gazu. Siła uderzenia wyrwała z prowadnic oba skrzydła bramy, ale chevrolet ledwie to poczuł. Teraz już wiedziałem, dlaczego policjanci tak go lubili. Jechałem dalej, wciąż tyłem. Minąłem dwa rzędy miejsc parkingowych. Zwolniłem, żeby sprawdzić, czy dobrze celuję. Znów przyspieszyłem i huknąłem w drzwi, główne wejście do budynku.

Samochód przebił się przez nie i toczył się dalej. Zahamowałem. Podjechałem trochę do przodu i ustawiłem go dokładnie naprzeciwko dziury w ścianie. Wysiadłem. I wyteżyłem słuch. Wszędzie panowała cisza. Było mało prawdopodobne, żeby system alarmowy budynku miał bezpośrednie połączenie z miejscowym posterunkiem policji. Mało prawdopodobne, lecz możliwe. Na wszelki wypadek postanowiłem działać szybko i nasłuchiwać wycia syren.

Zacząłem od biurka. Wzdłuż trzech ścian stały biurka. Każde z komputerem. Wyłączonym. Każde miało szafkę z szufladami i głębszą wnękę na segregatory. Ponieważ wszystkie szuflady były zamknięte, wziąłem dwa spinacze z pliku starych listów leżących na czyjejś tacy z korespondencją. Wyprostowałem je i wsunąłem jeden do zamka najbliższego biurka. Poruszałem nim tam i z powrotem, aż zaskoczyły zapadki. Wtedy drugim spinaczem nacisnąłem cylinder. Przekręciłem go. I otworzyłem szufladę. W środku leżały typowe biurowe rzeczy. Kosztorysy. Faktury. Zwykle dokumenty transakcyjne. Przejrzałem je pobieżnie i w oczy rzuciło mi się tylko jedno. Daty. Najświeższe papiery pochodziły sprzed trzech tygodni.

Wciąż ani śladu policji. Wciąż ani śladu ludzi Dendonckera. Przynajmniej na razie.

W lewym rogu budynku mieściła się strefa odbioru towarów. Z wysoką rampą dla cofających ciężarówek. I metalowymi ladami z trzech stron pomieszczenia, na których sprawdzano pewnie dostarczony to-

war. Składniki potraw, które sporządzali tu od zera. I z tego, co mówiła Michaela, luksusowe produkty i alkohole. Ale teraz ich tu nie było. Stanowisko rozładunkowe ziało pustką.

Wciąż ani śladu policji. Wciąż ani śladu ludzi Dendonckera.

Drzwi po lewej prowadziły do magazynu o ścianach od podłogi po sufit zastawionych półkami. Na jednych były tabliczki z nazwami produktów. Na innych kody kreskowe. Leżało na nich niewiele rzeczy. Pudełko pełne saszetek cukru, jakich niektórzy używają do słodzenia kawy. Kilka opakowań chipsów czy orzeszków ziemnych. Nic, co wskazywałoby, że jest to tętniąca życiem firma cateringowa.

Kuchnia mieściła się w głębi, w lewym rogu. Była mała. Czysta. Sterylna. Na ladach nic nie leżało. Lodówki świeciły pustkami. Z boku urządzono strefę przygotowań posiłków. Była pełna półek, materiałów do pakowania i kartonów. Pewnie kompletowano tam zamówienia, które następnie pakowano do pojemników i wysyłano na lotnisko. Na ścianie wisiał rząd tablic. Zupełnie czystych. Wyglądało na to, że nic się tu ostatnio nie działo.

Wciąż ani śladu policji. Wciąż ani śladu ludzi Dendonckera.

Całość robiła wrażenie dobrze zorganizowanego zakładu. Wszystkie działy były logicznie uporządkowane, co na pewno sprzyjało wydajności pracy. Nie zauważyłem niczego podejrzanego. Niczego, co nie pasowałoby do reszty. Ale nic dziwnego. Według Michaeli, ludzie Dendonckera przywozili skądś kontrabandę i ładowali ją prosto na ciężarówki. Nielegalny towar był natychmiast odbierany i wywożony. Brak obciążających dowodów wcale nie znaczył, że wszystko jest tu w porządku. Znaczył tylko tyle, że Dendoncker jest sprytny.

Dobrze, ale gdzie są ciężarówki? Znalazłem korytarz prowadzący do garażu i trafiłem do dużej, prostokątnej sali. Stało tam w równiutkim rzędzie, zderzak w zderzak, sześć furgonetek. Takich, jakimi kurierzy rozwożą paczki, tyle że biało-czerwono-niebieskich i ozdobionych na bokach malunkiem komiksowego samolotu. Wybrałem pierwszą z brzegu i zajrzałem do ładowni. Była nienagannie wysprządana. I chyba

niedawno umyta węzem. Jakby należała do firmy bardzo przestrzegającej higieny.

Albo do kogoś, kto nie chce zostawiać żadnych dowodów rzeczowych.

W ładowni były półki. Po obu stronach. Pierwsze od dołu były tak wysoko, że zmieściłyby się pod nimi wózek z szufladami, jakim stewardesy rozwożą napoje i jedzenie na pokładzie samolotu. Na górnych było mnóstwo miejsca na pojemniki z jedzeniem i napojami, o których wspominała Michaela. Z jedzeniem, napojami albo ze snajperkami. Z minami lądowymi. Czy bombami. Zastanawiałem się, gdzie te pojemniki przechowują. I czy dla tego rodzaju ładunków używają standardowych rozmiarów. Może po prostu ustawiali je na pierwszej lepszej półce, a wolne miejsce zapychali jakimś wypełniaczem? Albo robili je na zamówienie, pod konkretny wymiar. Może miały w środku wkładki piankowe, żeby nic się nie zniszczyło.

Przyszła mi do głowy inna myśl. Bez samochodów rodzaj pojemników byłby bez znaczenia. Stałem w garażu firmy cateringowej. Po drodze mijałem sklep spożywczy, gdzie mogłem kupić parę torebek cukru, rozpuścić go i wlać do baków. Albo wziąć klucz francuski i porozwalać silniki. Poprzecinać kable, przewody i opony. Ale po chwili pomyślałem: nie. To jest zakład Dendonckera. Tego samego Dendonckera, który nadszedł na mnie bandziorów z gazem CS. Nadszedł czas podgrzać atmosferę. Dosłownie.

Poszedłem do kuchni. Na ścianie wisiały papierowe ręczniki w dozowniku. Takie w rolce, żeby można było oderwać tyle, ile się chce. Oderwałem sześć kawałków, każdy długości prawie dwóch metrów, i wróciłem do garażu. Odkręciłem korki i do wlewów paliwa wszystkich furgonetek wepchnąłem po jednym kawałku ręcznika. Głęboko do szyjek, pozostawiłem część zostawiając na zewnątrz. Potem poszedłem do biura. Wziąłem krzesło stojące przy najbliższym biurku i wybiłem nim okno. Tym samym krzesłem wybiłem okna we wszystkich pozostałych pomieszczeniach. Wróciłem do biura. Zajrzałem do szuflady, którą przedtem otworzyłem spinaczami, i wyjąłem z niej plik kartek. Znowu poszedłem do kuchni. Zapaliłem palnik. Zwinąłem kartki w rulon, zapaliłem je jak pochodnię, zaniósłem do garażu i przytknąłem do papierowego ręcznika zwisającego aż do podłogi z wlewu paliwa najbliższej furgonetki. Zaczekałem, aż płomień przeskoczy na następne, po czym szybkim krokiem pomaszerowałem do wyjścia.

Pierwszy samochód eksplodował, kiedy otwierałem drzwi chevroleta. Zaraz potem z głośnym sykiem ożyły spryskiwacze. Zapłonęły reflektory na słupach stojących naprzeciwko budynku. Szybko wsiadłem i odpaliłem silnik. Wybuchła druga furgonetka. Ruszyłem, przejechałem przez wyważoną bramę i zatrzymałem się na środku drogi biegnącej za ogrodzeniem. Szybko zapadał zmrok i w niebo gniewnie strzelały pomarańczowe jęzory ognia, zmuszając do tańca cienie rosnących w pobliżu drzew i kaktusów. Wsiadłem, wróciłem za siatkę, podszedłem do

kamery zamontowanej na niskim słupie i obróciłem ją tak, aby celowała w budynek. Nie wiedziałem, jakie alarmy zainstalował w nim Dendoncker, ale nie chciałem, żeby ominęło go to gorące widowisko.

Cztery minuty później usłyszałem syreny. Spojrzałem w lusterko wsteczne – prawa część budynku stała w ogniu. Strażacy nie mieli szans, żeby uratować choćby jedną furgonetkę. A nawet pół. Mogli co najwyżej wynieść coś z pomieszczeń, do których nie dotarł jeszcze ogień. Ponieważ zupełnie mnie to nie martwiło, włączyłem reflektory, sprawdziłem, jaki mają zasięg, i na wszelki wypadek go podwoiłem. Potem ruszyłem powoli w prawo, prosto na pustynię. Podskakując na wybojach i omijając krzaki, coraz bardziej oddalałem się od drogi. Zatrzymałem się dopiero wtedy, gdy uznałem, że nie zobaczy mnie straż ani pędząca do pożaru policja. Zgasiałem światła. Po chwili coś zawibrowało mi w kieszeni. Telefon. Otworzyłem go i przytknąłem do ucha.

– Kontakt – zameldowała Sonia. – Z domu wyszedł właśnie jakiś mężczyzna, tylnymi drzwiami. Wielki. Większy od Ciebie. Bardzo się spieszył. Wszedł na sąsiednią posesję, otworzył garaż i odjechał. Jeepem. Starym, takim, jaki miał kiedyś Michael. Może jechać w Twoim kierunku.

Podziękowałem jej i rozłączyłem się. Niecałą minutę później drogą przemknął konwój pojazdów. Na czele jechał dodge charger. Czarnobiały, z wyjąca syreną i dyskoteką na dachu. Za nim dwa wozy strażackie. Błyszczący czerwony lakier, mosiężne pokrętła i zawory – wyglądały jak dobrze zakonserwowane muzealne zabytki. Wszystkie przejechały przez dziurę po wyważonej bramie, po czym dodge odbił w lewo. Wsiadło dwóch policjantów, stanęli obok siebie i patrzyli na ogień. Wozy strażackie zaparkowały tyłem do budynku. Strażacy wyskoczyli i zajęli się węzami, prądownicami i pompami. Robili to bardzo sprawnie, z dobrze wyćwiczoną rutyną.

Popatrzyłem w kierunku miasta i dwie minuty później dostrzegłem kolejną parę reflektorów. Blandożółtych. Słabych. Kiedy się zbliżyły, stwierdziłem, że to rzeczywiście jeep. Podobny do jeepa Michaeli, tylko

czystszy i w lepszym stanie. Z kanistrami przymocowanymi paskami z przodu i z tyłu. I ze zwisającą z boku siekierą. Za kierownicą siedział Mansour. Samochód wjechał na teren zakładu. Zatrzymał się między wozami strażackimi. Olbrzym wysiadł i ruszył w stronę budynku. Jeden ze strażaków próbował go zatrzymać, ale Mansour odepchnął go i poszedł dalej. Policjanci go zignorowali. Naciągnął na twarz koszulę i zniknął w dziurze, gdzie kiedyś było główne wejście.

Wyszedł dwie minuty później i chwycił za kołnierz strażaka, którego przedtem odepchnął. O coś go spytał. Policjanci ruszyli w ich stronę. Powoli. Mansour puścił strażaka, odwrócił się i ich też o coś spytał. Mundurowi wzruszyli ramionami i pokręcili głowami. Olbrzym wsiadł do jepea. Policjanci poszli za nim, jakby chcieli go zgarnąć, ale zrobili to bez większego entuzjazmu. On nie zwracał na nich uwagi, a oni nie podjęli poważnej próby zatrzymania.

Jeep wyjechał na drogę. Kiedy mnie mijają, zobaczyłem, że Mansour rozmawia przez telefon. Pewnie zdawał szefowi relację z tego, co tu zastał. Zaczekałem, aż znajdzie się pięćdziesiąt metrów dalej, i powoli ruszyłem. Dotarłem do drogi i przyspieszyłem, obserwując światła pozycyjne jepea, małe czerwone kropki. Nie włączyłem reflektorów. Droga prowadziła aż do miasta, prostą linią. Nic mi nie groziło, chyba że wybiegłoby na nią jakieś zwierzę.

Na przedmieściach Mansour skręcił w lewo, a potem dwa razy w prawo. Zmniejszyłem dzielący nas dystans, żeby go nie zgubić. Parę minut później znów skręcił, tym razem w ulicę na północ od domu Denonckera. Minąłem ją i skręciłem w pierwszą w prawo. Zadzwoił telefon. Sonia.

– Wrócił. Zostawił wóz w garażu na sąsiedniej posesji i wyszedł. Idzie do tego domu... Otwiera tylne drzwi... Okej, wszedł.

Rozłączyłem się, zjechałem do krawężnika i stanąłem w cieniu między dwiema latarniami, dziesięć metrów od domu. W środku paliło się światło. Ale oprócz mojego na ulicy nie parkował żaden samochód. Pewnie mieli garaż przy innym domu. Przyjrzałem się tym sąsiednim.

Nic. Żadnej wskazówki, przy którym. Wyjąłem zza paska pistolet i skupiłem wzrok na frontowych drzwiach domu Dendonckera. Przez dwadzieścia sekund nic się nie działo. A potem światło zgasło. Opuściłem szybę, gotów wystrzelić, gdyby Mansour wybiegł na ulicę. Ale on nie wybiegł. W ogóle się nie pokazał. Drzwi się nie otworzyły. Minęło jeszcze dziesięć sekund. Potem dziesięć kolejnych. Otworzyłem telefon i nacisnąłem przycisk oddzwania. Sonia odebrała po pierwszym sygnale.

– Coś nowego? – zapytałem.

– Światło zgasło – odparła. – Wyszedł z Twojej strony?

– Nie. A z twojej?

– Też nie.

– Na pewno?

– Na sto procent.

– Dobra. Uważaj. Jeśli się zbliży, najpierw strzelaj. Pytania zadawaj potem.

Zamknąłem telefon, wsunąłem go do kieszeni i wysiadłem. A jednak. Mansour musiał zauważyć, że go śledzę. Może wypatrzył samochód Sonii. Tak czy inaczej, coś go wystraszyło. To na pewno. Bo nie wyszedł z domu. Mogłem go przeczekać. Nie było tam żadnych wygod. A on nie sprawiał wrażenia cierpliwego faceta. Pod tym względem nie dorastał mi do pięt. Nie miałem co do tego wątpliwości. Ale pozory często mylą. Nie wiedziałem, jak długo zamierza tam siedzieć. A każda następna minuta była tą, której Michaela mogła już nie dożyć. Poza tym nie było gwarancji, że Mansour w ogóle wyjdzie na ulicę. Mógł wymknąć się tylnymi drzwiami. Zmusić mnie do pościgu. Albo dopaść Sonię. Nie chciałem, żeby Dendoncker zdobył jeszcze jedną zakładniczkę. Dlatego postawiłem na inny sposób.

Przebiegłem ulicę na skos, od chodnika do prawego narożnika domu. Pochyliłem się. Minąłem okno. Potem drzwi i skręciłem za róg. Nadal nisko pochylony, minąłem pierwsze okno. I przycupnąłem pod drugim. Tym do łazienki. Pomieszczenia, do którego najłatwiej się włamać. Gdzie stosunkowo rzadko ktoś bywa. A jeśli już, to w pozycji najgorszej do obrony.

Wyjąłem z kieszeni scyzoryk, który odebrałem facetowi w Border Inn, i rzuciłem na ziemię futerał. Poszukałem największego ostrza. Otworzyłem je. Kliknęła blokada. Ostrze wydawało się solidne, więc wcisnąłem je między górne i dolne skrzydło okna. Wymacałem zamek. Ciężko chodził, ale kiedy zwiększyłem nacisk, obrócił się na tyle, że za-

czep wyskoczył z okucia. Schowałem scyzoryk, przełożyłem pistolet do drugiej ręki i uniosłem nieco dolną część okna. Tylko na dwa, trzy centymetry. Zajrzałem do środka. W łazience było ciemno. I chyba pusto. Nie wyczułem żadnego ruchu. Nie usłyszałem żadnego dźwięku. Ani oddechu, ani szumu wody. Tylko regularne kap, kap, kap, tak jak przedtem.

Podniosłem dolną część okna na pełną wysokość i przecisnąłem się przez otwór. Stałem na podłodze i znów wyteżyłem słuch. Nadal nikogo nie słyszałem. Nadal nie wyczuwałem niczyjej obecności. Stałem bez ruchu pięć minut, czekając, aż oczy przywykną mi do ciemności. Potem zajrzałem do salonu. Wciąż nikogo. Sprawdziłem w pokoju, tym większym, a potem w tym mniejszym. Zajrzałem do kuchni. Ani żywego ducha. Przekręciłem gałkę klamki tylnych drzwi. Były zamknięte. Znalazłem włącznik i zapaliłem światło. I nie zobaczyłem nic, co by mi pomogło. Do sprawdzenia pozostało tylko jedno miejsce.

Wróciłem do łazienki i zdjąłem z zawiasów drzwiczki apteczki. Były lustrzane. Stare. Miejscami zmatowiały. Ale z powodzeniem nadawały się do tego, co zamierzałem. Podszedłem do dziury w podłodze w salonie. Przystanąłem półtora metra od brzegu. I za pomocą lustra zajrzałem do środka. Zobaczyłem bojler. Zbiornik na wodę. Ale nie Mansoura. Zatoczyłem krąg. Zgodnie z ruchem wskazówek zegara, od lewej strony drabiny do prawej. Obejrzałem wszystkie zakamarki piwnicy, wszystkie kąty. Nikogo tam nie było. Facet zniknął. Bez najmniejszego śladu.

Musiał usłyszeć, że włamuję się do łazienki. Skorzystał z okazji i dał nogę. Pomyślałem, że trzeba uprzedzić Sonię, na wypadek gdyby wymknął się tylnymi drzwiami i ją namierzył. Położyłem drzwiczki apteczki i już wyjmowałem telefon, gdy zauważyłem coś na podłodze. Był słabo widoczny, lecz nie ulegało wątpliwości, że tam jest. Ślad buta. Dużego. Co najmniej pięćdziesiątkiczwórki. Może nawet pięćdziesiątkiszóstki. Skierowany czubkiem w stronę frontowych drzwi. Poszukałem innych, lecz ich nie było. Przykucnąłem, przyjrzałem się mu

uważnie i zrozumiałem dlaczego. Trop biegł w przeciwnym kierunku. Mansour wszedł do domu tylnymi drzwiami. Obszedł dziurę. Stał przed drabiną. Odwrócił się. I zszedł na dół. W płonącym budynku Dendonckera zamokły mu buty. Od wody ze spryskiwaczy i strażackich węży. Kiedy schodził po drabinie, były jeszcze mokre. Wyszły dopiero tam, na dole, więc kiedy wracał na górę, nie zostawiały już żadnych śladów.

Brak śladów dało się jakoś wytłumaczyć. Ale wciąż nie mogłem zrozumieć, dlaczego w ogóle schodził do piwnicy. Przecież był tam tylko bojler. I zbiornik na wodę. Słyszac, że ktoś włamuje się do łazienki, postanowił się tam ukryć? Możliwe. Ale nie wyglądał na strachajkę. Nie, musiał to zrobić z innego powodu. Nie zachwycała mnie myśl o zejściu pod ziemię, ale tylko w piwnicy mogłem znaleźć coś, co podpowiedziałoby mi, gdzie i jak zniknął Mansour. Wyprostowałem się, odwróciłem, stanąłem na drabinie i zacząłem schodzić na dół. Tym razem robiłem to szybciej, zakładając, że jeśli szczeble wytrzymały jego ciężar, na pewno wytrzymają też mój.

U stóp drabiny znalazłem drugi ślad stopy. Też duży. W tym miejscu Mansour odwrócił się i ruszył w stronę ściany. Jej fragmentu znajdującego się bezpośrednio pod drzwiami do łazienki. Tam się zatrzymał. I znieruchomiał. Na betonie widniały dwa ślady, jeden obok drugiego. Nie widziałem tylko, gdzie poszedł potem. Ukucnąłem i jeszcze raz przyjrzałem się podłodze. Nic. Trop zniknął.

Odwróciłem się gwałtownie z wyciągniętym przed siebie pistoletem, bo nagle wyobraziłem sobie, że Mansour wyskakuje zza bojlera czy zbiornika, że zostawił te ślady specjalnie, jako przynętę, żeby zaatakować mnie od tyłu. Ale nikt mnie nie atakował. Nikogo tam nie było. Jakby facet przeszedł przez ścianę.

Odwróciłem się i zastukałem w nią kłykciami. Może ludzie Dendonckera zrobili tam jakąś kryjówkę. Albo schron. Ale ściana nie była pusta. Przeciwnie. Robiła wrażenie solidnej. Dużo solidniejszej, niż można by się tego spodziewać w tak starym domu. Przesunąłem się w bok, pod

podłogę mniejszego pokoju. Zastukałem jeszcze raz. Tu odgłos był inny. Głuchy. Bardziej przytłumiony. Spróbowałem pod większym pokojem – z identycznym rezultatem. Wróciłem pod drzwi do łazienki i zastukałem po raz trzeci. Nie, nie miałem żadnych wątpliwości. Ten fragment ściany był jak mur średniowiecznego zamku. Wyjąłem scyzoryk. Otworzyłem największe ostrze i dźgnąłem nim ścianę. Drewno było stare, suche i miękkie. Nóż wszedł w nie jak w masło. Ale niezbyt głęboko. Tylko na niecałe dwa centymetry. Potem natrafił na coś twardego. Na metal. Spróbowałem piętnaście centymetrów w prawo. Znów to samo. Piętnaście centymetrów dalej – podobnie. Za każdym razem nóż natrafił na metal. Ale w dziesiątym miejscu było inaczej. Ostrze weszło w drewno aż po nasadę. Piętnaście centymetrów w prawo – też.

Stałem przed fragmentem ściany między miejscem trzeciej i czwartej próby. Wbiłem scyzoryk najgłębiej, jak się dało, i napałem ręką w dół. Udało mi się odłupać wierzchnią warstwę, wystrzępiony kawał drewna, lecz kawał tej samej wielkości pozostał na ścianie. Wbiłem ostrze trzydzieści centymetrów niżej i odłupałem kolejny kawał. Drewno było oryginalne, bez dwóch zdań, ale przyklejono je do czegoś niezwykle mocnym klejem. Do czegoś metalowego. Do drzwi? Nie przychodziło mi do głowy żadne inne wytłumaczenie. Ale skoro do drzwi, to gdzie jest klamka? Czy dziurka od klucza. Albo coś, co je otwierało.

Zacząłem od lewego górnego rogu i przesuwalem się skosem w dół. Naciskałem drewno czubkami palców, sprawdzałem każdy centymetr kwadratowy powierzchni. Szukałem zamaskowanego guzika. Klapki. Czegoś, co otwierałoby ukryty zamek. I nic nie znalazłem. Zbadałem sąsiednie fragmenty ściany. Bez powodzenia. Kilka razy nawet ją kopnąłem. I nic. Cisza. Żadnego ruchu. Żadnego hałasu. Warstwa drewna wygłuszała wszystkie odgłosy. Odwróciłem się i grzmotnąłem w ścianę piętą, tak jak w hotelu Michaeli. Na próżno.

Zacząłem szukać kilka kroków dalej, lecz zaraz przestałem. Ukrywanie zamka tak daleko od drzwi nie miałoby sensu. Nie znałem się na domowych schronach, ale założyłem, że jeśli Dendoncker go miał,

chciałby móc się w nim szybko ukryć. Przecież korzysta się z nich w sytuacjach krytycznych. Wymagających błyskawicznej reakcji. Kto by chciał biec do rogu piwnicy i majstrować przy jakimś skomplikowanym mechanizmie? Nawet użycie PIN-u zajęłoby zbyt dużo czasu. Poza tym PIN można odgadnąć, znaleźć albo zdradzić. Lepszym rozwiązaniem byłby pilot zdalnego sterowania zamkiem. Taki, jakich używa się do otwierania drzwi samochodu. Nagle przyszła mi do głowy inna myśl. Sonia powiedziała, że do firmy cateringowej Dendonckera nie da się wejść bez transpondera. Więc skoro Dendoncker ufał tej technologii i zastosował ją tam, dlaczego nie miałby zastosować jej tutaj?

Jeżeli do otwarcia drzwi potrzebny był transponder, Mansour musiał go mieć. Nie wiedziałem, jak takie coś wygląda. Cofnąłem się myślą do poranka, gdy przeszukiwałem jego kieszenie w kostnicy. Miał pęk kluczy na kółku. Transpondery pełnią tę samą funkcję co klucze, więc pewnie nosił swój na tym samym kółku. Pamiętałem, że było tam coś jeszcze. Kwadratowy kawałek plastiku. Wtedy uznałem, że to breloczek. Faceci spod Drzewa też takie mieli. Wyjąłem z kieszeni kluczyki do chevroleta. Na tym kółku nie było breloczka ani niczego podobnego. Widocznie ten, któremu je zabrałem, nie należał do wtajemniczonej starszyny. Co oznaczało, że wpadłem w błędne koło. Transponder mogłem zdobyć tylko w jeden sposób: odbierając go Mansourowi. Ale gdybym dopadł Mansoura, żeby odebrać mu transponder, nie potrzebowałbym już transpondera. Doszedłem do wniosku, że najlepszym rozwiązaniem będzie zaczekać, aż facet wyjdzie z ukrycia. Albo wywabić go stamtąd podstępem. Albo ściągnąć tu innego bandziora z nadzieją, że Dendoncker powierzył mu transponder. Że ten drugi będzie miał stosowną szarżę.

Szarża. Po francusku *charge*. Szarża, atak, ale i ładunek, w tym elektryczny. Skoro zamek w drzwiach otwierał się na sygnał z transpondera, musiał być elektryczny. Podszedłem do ściany za bojlerem. Wisiała na niej skrzynka z bezpiecznikami. Z ciemnego drewna, rozlatująca się ze starości, porysowana i poobijana. Z powodzeniem mogłaby zastę-

pować krzesło elektryczne. Otworzyłem drzwiczki i zobaczyłem rząd bezpieczników. Takich ze starej szkoły. Porcelitowych. Sześć bezpieczników z odsłoniętym drucikiem. Wszystkie robiły wrażenie nietkniętych. Wszystkie były przestarzałe. Nie miały żadnych oznakowań. Żadnych nalepek. Nie miały niczego, co wskazywałoby, jaki chronią obwód. Mógłbym powykręcać je jeden po drugim i zobaczyć, co się stanie. Ale dużo szybciej byłoby pstryknąć zamontowanym na górze przełącznikiem, który całkowicie odcinał dopływ prądu. Wyciągnąłem rękę i ją opuściłem. Na dnie skrzynki, w jej prawym dolnym rogu, leżało pudełko zapałek. Zawsze dziwiło mnie, że ludzie tak często zostawiają w skrzynkach zapałki albo latarkę. To nie miało sensu. Żadnego. Przecież kiedy przepala się bezpiecznik i w domu zapada ciemność, zapałki albo latarka są potrzebne do tego, żeby najpierw tę skrzynkę znaleźć.

Otworzyłem pudełko, trzasnąłem zapałką i pstryknąłem przełącznikiem. W pokoju nade mną zgasła żarówka i piwnica skurczyła się do wielkości chybotliwej plamy światła rzucanego przez płomień zapałki. Widziałem teraz tyle co nic. Nie mógłbym przysiąc, ale chyba coś usłyszałem. Z tyłu. Za mną. W ścianie. Kliknięcie. Cichutkie, lecz na pewno mechaniczne.

Wróciłem do miejsca, w którym zacząłem dźgać drewno nożem, i wyjąłem pistolet. Oparłem się o ścianę i pchnąłem ją ze wszystkich sił. Ani drgnęła. Huknąłem w nią ramieniem jak taranem. I poczułem, że ustąpiła. Na centymetr, może półtora. A więc nie tylko zamek był elektryczny. Drzwi poruszał silnik, który bez prądu po prostu nie działał. Naparłem na ścianę jeszcze mocniej i znów cofnęła się o centymetr. Potem o kolejny.

Ukazała się szpara. Dochodziło z niej światło. Niezbyt jasne. Lekko pomarańczowe. Ale nie ulegało wątpliwości, że pomieszczenie za ścianą jest oświetlone. Rzuciłem zapałkę i zdeptałem płomień. Stałem z boku i wyteżyłem słuch. Nie słyszałem nic. Ani odgłosów ruchu, ani szmeru oddechu. Oczekałem pełną minutę, a potem naparłem na drzwi całym ciężarem ciała. Pchałem i pchałem, aż szpara poszerzyła

się do dziesięciu centymetrów. Wtedy przykucnąłem i z gotowym do strzału pistoletem zajrzałem do środka. Po prawej stronie zobaczyłem mur zbudowany z nierównych cegieł. Kiedyś były pobielone, ale zaczęły się już łuszczyć, a zaprawa się kruszyła. Podłogę wyłożono takimi samymi płytkami jak tę, na której kucąłem. I znowu nic, ani śladu Mansoura. Napiąłem mięśnie, spodziewając się, że zaraz pchnie drzwi i porunę na drugi koniec piwnicy. Albo gwałtownie je pociągnie i wyląduję na twarzy u jego stóp. Ale nic takiego się nie stało. Wciąż nic się tam nie poruszało. Nie wydawało żadnych odgłosów. Nie wytwarzało podprogowych wibracji, jakie wytwarza każda żywa istota. Byłem sam. Odczekałem jeszcze dwie minuty. Na wszelki wypadek. A potem pchnąłem drzwi, poszerzając szparę na tyle, żeby móc się przez nią przecisnąć.

Ani ludzi, ani żadnych przedmiotów. Pomieszczenie było puste. I też miało ściany z takich samych łuszczących się cegieł. Ale ściany pod zachodnią częścią domu, tej pod oknem w łazience, praktycznie nie było. Ziała tam dziura na metr osiemdziesiąt wysoka i na półtora metra szeroka. Jej górną część, prostą i równą, zabezpieczono stalowym dźwigarem. Prawdopodobnie po to, żeby wzmocnić konstrukcję domu. I zapobiec katastrofie. Natomiast boki, w miejscach, z których usunięto cegły – wybito je bardzo starannie, jedną po drugiej – wyglądały jak komiksowe zęby. Po drugiej stronie też ciągnęły się rzędy cegieł, z tym że bladeżółtych, tworzących łukowatą ścianę. Coś w rodzaju kolistego przejścia. Albo olbrzymiej rury odpływowej. Ale suchej. Środkiem sufitu biegł kabel, do którego podłączono żarówki, nagie i rzucające przytłumione żółte światło. W posadzkę wpuszczono tory, jakie widuje się w kopalniach. Tunel biegł prosto przez mniej więcej sto metrów. Potem stopniowo się wspinał i w końcu znikał z oczu. Wydawało się, że pierwotnie odbijał również w prawo, ale tę część zamurowano.

• • •

Musiałem wrócić aż do piwnicy, żeby telefon złapał sygnał, i natychmiast zadzwoniłem do Wallworka.

– Potrzebna mi mapa systemu wodnego miasta.

Agent długo milczał.

– Zobaczą – rzucił w końcu. – Może znajdę coś w internecie. Co konkretnie chce pan wiedzieć?

– Jestem w piwnicy domu, o którym panu mówiłem. Tego należącego do firmy Dendonckera. Odkryłem tu podziemne przejście. Uciekł nim facet, którego ścigałem. Kanał burzowy albo ściekowy. Chcę wiedzieć, dokąd prowadzi.

– Dobrze. Ten kanał... Jest stary? Czy nowy?

– Na pewno nie nowy. Ale nie wiem, kiedy go zbudowano. Na oko siedemdziesiąt pięć, osiemdziesiąt lat temu. Może nawet dawniej. Nie znam się na tym.

– Jeśli tak, zbudowali go prawdopodobnie bezrobotni z WPA. Z tego, co czytałem o tym mieście, w latach trzydziestych dużo tam zrobili. Domy. Drogi. Budynki socjalne. Odwalili kawał dobrej roboty, zwłaszcza jeśli chodzi o kanały. Po to ich tam wysłano. Miasto składało się z dwóch części i z dziury pośrodku. Dziwnie się rozwijało. Początkowo była to mała placówka handlowa, coś jakby faktoria, a potem... Nieważne, w każdym razie jego południowa część leży wyżej i po silnej ulewie kanały burzowe sobie nie radziły. Woda wybijała, spływała i zalewała część północną. Wyrządzała dużo szkód. Czasem wybijały też kanały ściekowe, co było jeszcze bardziej nieprzyjemne. Południowa część należy formalnie do Meksyku, ale kłopot z wodą dotknął część północną, amerykańską. Nasz rząd nie był wtedy taki ograniczony. Jeżeli Stany Zjednoczone dostrzegły jakiś problem, to go rozwiązywały. Cokolwiek to było. I wszyscy byli zadowoleni.

– Jeśli to WPA zbudowała te kanały, powinny pozostać jakieś plany.

– Na pewno. Rząd to rząd. Jakiś gryziپیórek zapisywał pewnie nawet to, ile spinaczy do papieru zużyto. Pytanie tylko, gdzie te plany są? Czy w ogóle przetrwały? Czy istnieją tylko na papierze? Czy zostały zdigitalizowane i udostępnione w internecie? Nie jestem pewien, czy komuś chciałoby się za to zabierać.

– Muszą istnieć – odparłem. – Dendoncker je widział. Powiedział pan, że bardzo zależało mu na tym konkretnym domu. Musiał mieć ja-

kiś powód. I na pewno nie chodziło mu o piękny widok. Niech mi pan wierzy. Odkrył, że jest stąd dostęp do systemu podziemnych kanałów, a właściwie tuneli.

– Możliwe. Ale nie wiadomo, czy znalazł te informacje w internecie. W tym problem. Jeśli te plany istnieją tylko na papierze, miał rok, żeby wywęszyć, gdzie się je przechowuje. Cały rok, w przeciwieństwie do tej zaginionej kobiety. Mógł szperać w bibliotekach. W archiwach miejskich. Ma pan na to czas? Poza tym, ile było kopii? Mógł je wykraść. Wszystkie. Albo zniszczyć, żeby nikt nie odkrył jego tajemnicy.

– Chce pan powiedzieć, że to beznadziejne?

– Nie. Chcę powiedzieć, że spróbuję. Tylko niech pan nie wstrzymuje oddechu, czekając, aż oddzwonię.

• • •

Wyszedłem na ulicę i przykucnąłem przy samochodzie Sonii. Opuściła szybę i zobaczyłem, że znów ma zaczerwienione i podpuchnięte oczy.

– Przepraszam – powiedziała. – Wariatka ze mnie. Wyobraziłam sobie, że wyjdiesz stamtąd i powiesz, że znalazłeś Michaela. Że nic mu nie jest...

Milczałem.

– Ale go nie znalazłeś. Prawda?

– Nie. Bardzo żałuję.

– A w ogóle coś tam jest?

– Jakiś tunel. Nie wiem, dokąd prowadzi. Ale się dowiem.

Położyła rękę na kłamce.

– Pójdę z Tobą.

– Nie. Wygląda na taki, z którego już się nie wraca.

– Wszystko mi jedno.

– Ale mnie nie.

– I tak tam pójdziesz, prawda?

Kiwnąłem głową.

- Muszę. Może mnie zaprowadzić do jego siostry.
- Do Michaeli?
- Tak.
- Mam nadzieję, że ją znajdziesz. Że nic jej nie jest.
- Znasz ją?
- Nie. Nie miałyśmy okazji się poznać. Ale dużo o niej słyszałam. Myślałam, że zostanie kiedyś moją szwagierką.

• • •

Zaczekałem, aż tylne światła jej samochodu znikną za rogiem, i wróciłem do domu. Przystanąłem na brzegu dziury, czując, że mrowią mnie plecy między łopatkami. Zignorowałem to, zszedłem do piwnicy, stanąłem w progu ukrytych drzwi i spojrzałem w głąb tunelu. Wydawało się, że szyny zbiegają się w oddali. Co było oczywiście złudzeniem optycznym. Sztuczką perspektywy. Mimo to wciąż chciałem wiedzieć, dokąd prowadzą. I po co.

Nie było wątpliwości, że to Dendoncker kazał je ułożyć. W kanale burzowym czy ściekowym nie miały żadnego zastosowania. Poza tym te sprawiały wrażenie nowych. W każdym razie nowszych niż otaczające je ceglane ściany. Były błyszczące, bez śladu rdzy, często używane. Wypolerowane przez stalowe koła jakiegoś pojazdu przewożącego kontrabandę. A jeśli tak, to musiały prowadzić do magazynu, gdzie ją składowano. Kolejnego domu przejętego przez Dendonckera. Albo do opuszczonej stacji pomp. Do czegoś takiego.

Co wydawało się bez sensu. Bo dlaczego Dendoncker nie rozproszczał przeschumowanych towarów bezpośrednio stamtąd, z magazynu? Dlaczego przemycił je pod ziemią przez granicę? Przecież wymagało to dodatkowych środków. Dodatkowego wysiłku. Dodatkowego czasu. I wcale nie zmniejszało ryzyka. Bez względu na powód, chciałem się dowiedzieć, gdzie ten magazyn jest. I zaskoczyć Mansoura w miejscu, w którym czuł się bezpiecznie. Nadejść z najmniej prawdopodobnego

kierunku. Nie miałem ochoty uganiać się za nim w tunelu. Najmniejszej. Ale czy było inne wyjście? Tak, mogłem poczekać na wiadomość od Walworka. Na plany systemu kanałów. Wątpił, czy je znajdzie. A jeśli nawet, nie było gwarancji, że wydedukuję z nich coś konkretnego. Poza tym, mógł ich długo szukać.

Sprawdziłem, czy mam w kieszeni zapalniczki. Wziąłem drzwiczki apteczki ze zmatowiałym lustrem. Przeszedłem przez dziurę w ścianie. I ruszyłem w głąb tunelu.

Panował tam zaskakująco przyjemny chłód. Ale jakość powietrza to zupełnie inna sprawa. W tunelu po prostu cuchnęło. Stęchlizną. Czułem się tak, jakbym wdychał gęstą zawieszynę przyprawioną kurzem. Miałem ochotę zawrócić. Albo puścić się biegiem, żeby jak najszybciej stamtąd wyjść. Zwolniłem kroku, choć tylko siłą woli. Starłem się iść jak najciszej. W końcu wpadłem w rytm i stąpałem po co trzecim podkładzie. Co jakiś czas przystawałem w cieniu między plamami światła rzucanego przez żarówki. Po stu metrach dotarłem do miejsca, w którym tor zaczynał piąć się w górę. I dopiero wtedy zrozumiałem, dlaczego go zbudowano.

Stojąc u stóp pochyłości, widziałem jego dalszą część. Miała czterysta metrów długości. Co najmniej. I cały czas biegła pod górę. Prosto jak strzała. Wyobraziłem sobie, gdzie stoi dom w stosunku do granicy z Meksykiem. Obliczyłem odległość dzielącą go od domów za zaporą, które widziałem, wjeżdżając do miasta z Michaelą. Wszystko się zgadzało. Pomyślałem o inżynierach z WPA, o tym, jak oni musieli to wszystko widzieć. Stanęli przed dwoma wyzwaniem. Co zrobić z nadmiarem wody i z grawitacją? Nie mogli sprawić, żeby woda zniknęła. Ani popłynęła w górę. Nie chcieli też, żeby ciągle spływała w dół i zalewała północną część miasta. Postawili więc na odgałęzienia. Przeciagnęli grawitację na swoją stronę. I połączyli systemy odwadniające.

W latach trzydziestych wydawało się, że jest to praktyczne rozwiązanie problemu stworzonego przez naturę. Ludzie Ci byli inżynierami,

a nie politykami. Czy strażnikami granicznymi. Świat był wtedy inny. Narkotyki, kartele, mury graniczne – w tamtych czasach nie musiano się tym przejmować. Specjaliści z WPA widzieli jedynie dwie połowy miasta arbitralnie podzielonego linią na mapie. Uważali, że ułatwiają życie jego mieszkańcom. A teraz wyglądało to tak, jakby spełnili największe marzenie każdego przemytnika. Nic dziwnego, że Dendoncker wybrał to miasto. I ten dom. Nie był głupi. Coraz bardziej się w tym utwierdzałem.

Szedłem w górę zbocza, utrzymując stałą prędkość i rytm. A im dłużej szedłem, tym większego nabierałem przekonania, że ten podziemny system dystrybucyjny nie spadł Dendonckerowi z nieba. W wyższej partii tunelu minąłem kilka świeżo zamurowanych otworów. Okrągłych, wygładzonych i zrównanych z krzywizną ścian. Musiało tu mieć ujście mnóstwo mniejszych kanałów, teraz już zablokowanych. Dendoncker odrobił pracę domową. Znalazł plany. Plany i schematy. System wyglądał pewnie jak drzewo. Gruby, prosty pień i cieńsze gałęzie odbijające w prawo i w lewo, biegnące pod południową częścią miasta. Zbierały wodę i odprowadzały ją do pnia. I to było kluczem do sukcesu. W tunelu, którym szedłem, woda nie gromadziła się sama z siebie. Więc kiedy Dendoncker odciął gałęzie, pozostał mu suchy pień. Nie wiem, jakie miało to skutki. Może liczba mieszkańców spadła tak bardzo, że nadmiar wody nie stanowił już problemu. Może rzadziej teraz padało. Możliwe też, że powódzie nie ustały, ale bez względu na to, jak było, wątpiłem, żeby Dendoncker się tym przejmował. Miał swój prywatny tor i mógł kursować tam i z powrotem między dwiema połowami senego miasteczka, bez zwracania na siebie uwagi przemycając pod ziemią, co tylko chciał.

Po czterystu dwudziestu metrach tunel się skończył. A może, osiągnąwszy swoją największą wysokość, tu się zaczynał. W każdym razie doszedłem do ściany zbudowanej z takich samych łuszczących się bladej żółtych cegieł. Ale tor odbijał w lewo. Skręcał pod kątem prostym

i znikał w kolejnej dziurze. Ta też była zabezpieczona na górze dźwigarem i miała komiksowe zęby w miejscach, z których usunięto cegły.

Podszedłem bliżej i wystawiłem lusterko za róg. Tor biegł jeszcze przez trzy metry, a na jego końcu, tuż przed betonową ścianą, stał wózek kolejowy. Mógł pomieścić cztery osoby siedzące jedna za drugą. Albo spory ładunek, różnej wielkości skrzynki czy pojemniki. Choćby takie, w jakich pod cateringową przykrywką Dendoncker dostarczał swój towar na pokład prywatnych samolotów. Od wózka odchodził kabel. Gruby. Solidny. Mogący przewodzić prąd o natężeniu wielu amperów. Ciągnął się do szarej skrzynki na ścianie. Nie ma to jak porządne zasilanie. Wózek akumulatorowy. Sprytne. O wiele łatwiej jest nacisnąć guzik, niż pchać go pod górę. Zwłaszcza załadowany.

Zauważyłem jakiś ruch w lusterku. Mężczyzna. Znajomy. Ale nie Mansour. Ten drugi spod latarni przy zaporze granicznej. Ten, któremu złamałem nogę. Siedział przy biurku podobnym do tych, przy jakich siedzieli nauczyciele w mojej podstawówce. Widziałem jego stopę, zagipsowaną i wystającą z prześwitu między bliźniaczymi szafkami z szufladami. Na biurku stała szachownica z gotowymi do gry bierkami. Ale on nie zwracał na nią uwagi. Miał ręce skrzyżowane na piersi, odchyloną do tyłu głowę i napięte ścięgna na szyi. Wiercił się na krześle. Był niespokojny. Zdenerwowany. Opuściłem lustro, żeby go nie zauważył, i wyjąłem z kieszeni klucze. Wybrałem pierwszy z brzegu. I poskrobałem nim ścianę. Najpierw szybkim, krótkim ruchem ręki. Potem ruchem nieco dłuższym. I znowu krótkim. Facet nie zareagował, więc skrobałem dalej, wypisując na ścianie kolejne litery alfabetu Morse'a, które po chwili ułożyły się w dobrą radę: BIERZ NOGI ZA PAS. Może w tych okolicznościach było to trochę nie fair. I raczej niewykonalne. KUŚTYKAJ, ILE SIŁ W NOGACH. Tak, to byłoby dużo stosowniejsze.

Zrozumiał coś z tego, czy nie, w każdym razie postanowił sprawdzić, co się dzieje. Słyszałem, jak idzie w moją stronę. O kulach, bo głośno nimi postukiwał. Był coraz bliżej. Najpierw zza rogu wyłoniła się głowa. Potem pierś. I wyraz zaskoczenia na twarzy, który szybko zniknął, bo

zrobiłem krok do przodu i złapałem go za przód koszuli tuż pod szyją. Przekręciłem rękę, żeby poprawić uchwyt, i pchnąłem go na ścianę, co natychmiast pozbawiło go tchu. Zwiotczał, pochylił się, upuścił jedną kulę i sapiąc jak lokomotywa, osłonił ręką tył głowy.

– Puszczaj – wycharczał.

Przekręciłem koszulę jeszcze mocniej, zwiększając ucisk na szyję.

– Bo zacznę krzyczeć! – Udało mu się podnieść głos. – Wezwę pomoc. Nasi będą tu w dwie sekundy.

– Serio? – spytałem. – A ilu? Ostatnim razem było Was czterech. I jak Wam poszło?

Mężczyzna z trudem wciągnął haust powietrza.

– Śmiało – ciągnąłem. – Zawołaj ich. Bardzo chcę, żeby przyszli. Zwłaszcza Dendoncker. Ciekawe, czy będzie zadowolony. Bo, jak rozumiem, pełniący służbę strażnik ma zatrzymywać intruzów. A nie wpuszczać ich tu i płakać.

Facet powoli wypuścił powietrze. Z groźnym sykiem, lecz bez krzyku.

– Bardzo mądrze – powiedziałem. – Zrobimy tak: Zadam Ci parę pytań. Jeśli na nie odpowiesz, Dendoncker nigdy się nie dowie, jaki z Ciebie mięczak.

– Nie, nic Ci nie powiem.

– Jak chcesz. – Podciąłem go, a ponieważ stał na jednej nodze, upadł na tyłek między torem i ścianą. Wtedy złapałem go za prawą nogawkę tuż nad kostką i podciągnąłem ją powyżej kolana. Wyjąłem scyzoryk. Otworzyłem ząbkowane ostrze, coś w rodzaju małej piły, i wsunąłem je pod gips. – Czas na nowy plan. Pozbędziemy się tego. Pamiętasz, jak się wczoraj czułeś? Kiedy pękły Ci kości? Darłeś się wniebogłosy. Pewnie sam nie wiedziałeś, że potrafisz tak głośno krzyczeć. To powinno ściągnąć tu Dendonckera i jego chłopców. Nie będę musiał się za nimi ugańiać.

– Nie zrobisz tego.

Zabrałem się do pracy i nóż bez trudu wgrzył się w gips. Gość patrzył na to jak zahipnotyzowany. Zwłaszcza na chmurę białego pyłu opadającego na podłogę.

– Przestań! – rzucił oktawę wyższym głosem. – Dobra. Jakie pytania?

– Kobieta, którą porwał Dendoncker. Michaela Fenton. Jest tutaj?

– Chyba tak.

– Chyba?

– Nie widziałem jej. Ale słyszałem, jak inni o niej rozmawiali. Więc chyba jest.

– Gdzie?

– W jego połowie budynku. Dendonckera. Tak myślę.

– Co to za budynek?

– Dawna szkoła, przynajmniej tak wygląda. Ale teraz nie ma tam dzieci. Nic więcej nie wiem. Jestem tu pierwszy raz. Nigdy przedtem nie przechodziłem tym tunelem.

– Ten budynek... Do czego Dendoncker go wykorzystuje?

– Urządził tam magazyn. Na towar. Rzeczy, które przewozi samolotami. Widziałem pojemniki. I jest tam jakiś warsztat... chyba. Biuro pewnie też.

– Co robią w tym warsztacie?

Mężczyzna uciekł wzrokiem w bok. Nie odpowiedział, więc znów zacząłem piłować scyzorykiem gips.

– Dendoncker kogoś tam zatrudnia. Nic więcej nie wiem.

Przestałem piłować.

– Do robienia bomb?

– Może. Prawdopodobnie, ale nie chciałem i nie chcę tego wiedzieć. Tak jest lepiej.

– Dobrze. Ilu Was tam jest?

– Dendoncker. I jego ludzie, co najmniej trzech. I kilku miejscowych, sześciu, może siedmiu. Ale ja ich nie znam. Nigdy przedtem ich nie widziałem. Dendoncker chyba im nie ufa. Przychodzą, gotują, coś tam

przenoszą. No i tych trzech, którzy pojechali do miasta. Jeszcze nie wrócili.

– I już nie wrócą. – Złożyłem scyzoryk i schowałem go do kieszeni. – Nie musicie na nich czekać.

Puściłem jego nogę i w ostatniej chwili zdołał uchronić kostkę przed zderzeniem z betonową posadzką. Potem przewrócił się na brzuch i z trudem wstał.

– Co się z nimi stało? – Przez chwilę podskakiwał na jednej nodze, próbując podnieść kule.

Wzruszyłem ramionami.

– Twój kumpel jest bardzo podatny na wypadki.

Facet skręcił za róg, jakby zamierzał podejść do biurka. Nagle odwrócił się, prawą ręką podniósł kulę i zaatakował. Chciał dźgnąć mnie w brzuch, ale przesunąłem się dwadzieścia centymetrów w bok i chwyciłem kulę między gumowym czubkiem i obejmą. Zrobiłem krok do przodu i uderzyłem go dolnym hakiem. Kula zaklekotała na betonie, a on oderwał się od ziemi i pofrunął. Wylądował na plecach, dokładnie między szynami. Przewróciłem go na brzuch. Skrępowałem mu ręce trytką i zabrałem broń, colta M1911, starego, lecz dobrze utrzymanego. Zgiąłem mu zdrową nogę w kolanie i drugą trytką przypiąłem ją do szlufki z tyłu spodni. Potem podniosłem go i wrzuciłem na wózek, a potem jego kule.

Biurko mężczyzny stało przy ścianie kotłowni. Olbrzymiej. Z czterema wielkimi bojlerami. Czterema wielkimi zbiornikami na wodę. I sufitem ukrytym pod płataniną grubych rur. Jedne obłożono izolacją. Inne tylko pomalowano. Biegły we wszystkie strony. W kącie były drzwi. Nie licząc tunelu, jedyne wyjście, jakie tam zobaczyłem. Przeciąłem kotłownię i otworzyłem je.

Prowadziły na schody. Drewniane. Kiedyś pomalowane na biało, ale teraz na środku każdego stopnia widniał placek nagiego drewna. Wyglądało na to, że pracownicy zakładu Dendonckera korzystają z nich intensywniej, niż przewidział to architekt obiektu. Wszedłem na górę. Powoli. Stawiając nogi z boków stopni, żeby nie zaskrzypiały. Na szczycie schodów były kolejne drzwi. Przystanąłem. Wytężyłem słuch. I nic nie usłyszałem.

Przekręciłem gałkę. Drzwi były otwarte. Pchnąłem je, zrobiłem krok do przodu i znalazłem się w kącie kuchni. Olbrzymiej, takiej na skalę przemysłową, pełnej stali nierdzewnej, białych kafelków, pieców, piekarników, kuchenek mikrofalowych i stref przygotowywania posiłków. Pod jedną ścianą stał rząd wielkich lodówek. Pod drugą – rząd kuchennych szaf. Otworzyłem pierwszą z brzegu. Puszki z fasolą w sosie pomidorowym. Setki malutkich puszek. Pojedyncze porcje dla dzieci bez apetytu? Dziwne, zważywszy na wielkość kuchni i mnogość sprzętu.

Kuchnię oddzielała od stołówki lada. Niska, dostosowana do wzrostu dzieci. Przecinała całe pomieszczenie. Jej boczny fragment zaopa-

trono w zawiasy. Był podniesiony, więc skorzystałem z otwartego przejścia. Choć pozostała część sali tonęła w półmroku, wyczułem, że jest olbrzymia. Miała z sześć metrów wysokości. Pod sufitem, mniej więcej pośrodku, paliła się tylko jedna żarówka, dlatego musiałem wyteńczyć wzrok, żeby cokolwiek dostrzec. Podłogę wyłożono drewnianym parkietem w jodełkę. Był tam tylko jeden stół. Okrągły. Z białego plastiku. A wokół, w nierównym kręgu, stało sześć plastikowych krzeseł. Sprawiały wrażenie zagubionych. Salę zaprojektowano chyba pod ustawione w równych rzędach długie, solidne stoły. A nie pod tanie meble ogrodowe. Po prawej stronie wypatrzyłem podwójne drzwi, z solidnego drewna. Zamknięte. Nie widziałem, dokąd prowadzą. Pozostała część ściany była ze szkła, od podłogi po sufit podzielonego na panele wąskimi metalowymi ramami. Za rogiem paliło się białe, jaskrawe światło. Poszedłem sprawdzić, co to takiego. I stanąłem jak wryty.

Uratował mnie panujący w stołówce półmrok, inaczej tamci od razu by mnie zobaczyli. Dwaj faceci w garniturach, którzy towarzyszyli Dendonckerowi w kostnicy. Byli na końcu korytarza biegnącego za podwójnymi drzwiami. Siedzieli na stołkach przed identycznymi drzwiami. Korytarz, szeroki na dwa i pół metra i długi na sześć metrów, miał przeszklone ściany i sufit. Na suficie były trzy równo rozmieszczone wywietrzniki i podwójny rząd jarzeniówek, które biegły przez całą jego długość. Miały dużą moc. Bardzo jasno świeciły. Patrząc z pomieszczenia jasno oświetlonego w stronę pomieszczenia oświetlonego dużo słabiej, ludzkie oko źle widzi. Na szczęście dla mnie, bo tamci mieli broń, jeden i drugi. Uzi. Ciekawy wybór. Pistolet maszynowy o nie najmniejszym ciężarze. O nie najwyższej szybkostrzelności. O nie największej liczbie bruzd w lufie. Są lepsze. Na przykład każdy model MP5 Hecklera & Kocha. Na ich miejscu wybrałbym ten. Sęk w tym, że nie mogłem. Więc co? Sam? Przeciwno dwóm uzi? Nie miałbym żadnych szans.

Oszklony korytarz prowadził chyba do lustrzanego odbicia budynku, w którym się znajdowałem. Na to wyglądało, przynajmniej z zewnątrz. Wewnątrz urządzono go na pewno inaczej, bo po co komu

szkoła z dwiema kuchniami i stołówkami. Ponieważ przed drzwiami siedzieli uzbrojeni strażnicy, była to pewnie część, którą facet ze złamaną kostką nazwał częścią Dendonckera. Marsz korytarzem byłby czystym samobójstwem. Dlatego musiałem znaleźć inne wejście. Obejść cały budynek. Co znaczyło, że najpierw muszę poszukać wyjścia.

Na samym końcu stołówki, w ścianie najbardziej oddalonej od kuchni, było dwoje drzwi. Na tych po prawej wisiała tabliczka z napisem: *el Maestro Principal*. Na tych po lewej tabliczka z napisem: *el Diputado Maestro Principal*. Zajrzałem do obu pokoi. Ani mebli, szaf czy regałów, ani niczego na ścianach – były zupełnie puste. Nie było też w nich drugich drzwi.

Za to naprzeciwko było ich aż troje. Otworzyłem najbliższe. Prowadziły do kolejnego wielkiego pomieszczenia, też słabo oświetlonego. O tej samej szerokości co stołówka, jednak dłuższego, bo nie było tam kuchni. Po prawej stronie, za rzędem biur, z podłogi wyrastało coś w rodzaju sceny, a ścianę na końcu sali całkowicie przeszklono i wbudowano w nią dwoje drzwi wyjściowych. Na pozostałych dwóch ścianach zamontowano drabinki gimnastyczne. Z belki stropowej na suficie zwisały trzy liny, częściowo zwinięte i kończące się trzy metry nad podłogą. Była to pewnie sala gimnastyczna pełniąca jednocześnie funkcję widowiskowej i apelowej. Kiedyś, bo teraz mieścił się tu magazyn aluminiowych pojemników Dendonckera.

Różnej wielkości i kształtu, jedne miały kółka, a inne nie. Większość stała byle jak na końcu sali, ale kilka ustawiono na czterech odgrodzonych prostokątnych fragmentach posadzki. Każdy oznaczono napisem wyklejonym białą taśmą izolacyjną. Napis na pierwszym brzmiał: *Do wydania*. Na drugim: *W przygotowaniu*. Na trzecim: *Do odbioru*. Na ostatnim: *Do przekazania dalej*.

Na pierwszym fragmencie nie stało nic. Na drugim – jeden pojemnik na kółkach. Na trzecim – też nic. Natomiast na fragmencie *Do przekazania dalej* stały dwa pojemniki. Otworzyłem ten na drugim, *W przygotowaniu*. Miał metr osiemdziesiąt długości, prawie metr szerokości

i ponad metr wysokości. I był pusty. Przeszedłem do fragmentu z pojemnikami *Do przekazania dalej*. Te były mniejsze. Oba miały metr z kawałkiem długości, niecały metr szerokości i trzydzieści centymetrów głębokości. I oba były zamknięte.

Na drucikach przechodzących przez zatrzaski wisiały małe metalowe plomby. Zerwałem tę na najbliższym i podniosłem wieko. Pojemnik był po brzegi wypełniony pieniędzmi, plikami dwudziestodolarowych banknotów. Używanych. Miały ostry, słodkawy zapach, więc musiały być prawdziwe. Wnętrze drugiego wyłożono niebieską pianką najeżoną ochronnymi szpikulcami. Ten też był pełny, ale nie pieniędzy, tylko kartonowych pudełek takiej samej wielkości i kształtu. Beżowych i nieoznakowanych. Wyjąłem jedno i zajrzałem do środka. Zawierało plastikowe buteleczki. Trzydzieści dwie. Białe, z bezpieczną zakrętką. Wyciągnąłem jedną, opatrzoną czarno-fioletową naklejką z jakimiś symbolami, znakami firmowymi i kodami kreskowymi. I napisem: *Dilaudid (Hydromorfon) o szybkim uwalnianiu. 8 mg. 100 tabletek*.

Nie znalazłem tam nic, co by mi się przydało, otworzyłem więc drzwi i wyszedłem na dwór. Zza rogu budynku wylewało się pomarańczowe światło. Dokładnie na wprost był parking na czterdzieści samochodów, ale stały tam tylko dwa. SUV-y, cadillaki escalades. Czarne, zakurzone, z przyciemnianymi szybami. Nisko zawieszane. Nisko, lecz równo, na całej długości, co prawdopodobnie oznaczało, że są przynajmniej częściowo opancerzone. Dalej było wysokie na sześć metrów ogrodzenie z mocnej siatki, a za nim, jakieś osiem metrów dalej, drugie, tej samej wysokości i z tego samego materiału. Tak więc każdy, kto próbowałby się tu włamać, miałby dwa razy więcej roboty. Straciłby dwa razy więcej czasu. Byłby dwa razy dłużej odsłonięty.

Poszukałem kamer. Zamontowano je na co drugim słupie ogrodzenia i wszystkie celowały w przeciwną stronę. Ponieważ żadna się nie poruszała, skręciłem w lewo i ruszyłem wzdłuż budynku. Zbliżając się do rogu, coś usłyszałem. Jakby ktoś tam biegał. Kilka osób. Ale nie bez przerwy. Zaczynali biec, przystawali, przyspieszali i zawracali. Towa-

rzyszył temu drugi odgłos. Głuche, rytmiczne dudnienie. Przykucnąłem i wyjrzałem. Źródłem dziwnego pomarańczowego światła okazały się dwa silne reflektory na trójnogach, takie, jakie widuje się na placach budowy. Oświetlały prostokątny kawałek ziemi ciągnący się wzdłuż budynku aż za lukę, w której znajdował się przeszklony korytarz. Czterech dwudziestokilkuletnich mężczyzn grało tam w nogę. Na bosaka, w obszernych szortach i bez podkoszulków. Wyjąłem pistolet, przycisnąłem go do uda i wyszedłem na światło.

Mężczyźni przestali grać. Ten stojący najbliżej zaprosił mnie gestem ręki na boisko. Odmachnąłem mu, dziękując za propozycję, i poszedłem dalej, a oni wrócili do gry. Jeden próbował zrobić jakąś skomplikowaną podrzutkę, ale nie bardzo mu wyszła. Piłka odbiła się kilka razy od ziemi, po czym wciąż podskakując, wzięła kurs na ścianę budynku i potoczyła się w stronę oszklonego korytarza. Mężczyzna pobiegł po nią. Ci z uzi nie zareagowali. Może z powodu dużego kontrastu w oświetleniu nic nie zauważyli. A może byli do tego przyzwyczajeni i mieli to gdzieś.

Gdyby spojrzeć na szkołę z góry, wyglądałaby jak litera H. Sala gimnastyczna i stołówka mieściłyby się w jednym z jej górnych rogów. Przeszklony korytarz w poziomej kreseczce. A drugi górny róg zajmowałyby Dendoncker. Liczyłem na to, że będzie tam mnóstwo drzwi i okien. I nie przeliczyłem się. Drzwi były w obu węższych ścianach. Były i w tych szerszych, aż czworo, i cztery okna. Wielkie. Miały prawie dwa metry wysokości i sześć szerokości. Ale nie mogłem z nich skorzystać. Wszystkie były zabite. Stalowymi płytami. Ponad centymetrowej grubości. Przytwierdzonymi specjalnie zabezpieczonymi śrubami. Takimi, jakich używa się na kosztownych budowach, żeby nie weszli tam złodzieje czy dzicy lokatorzy. Przez płyty nie dałoby się przebić. Żadnym sposobem. Nie dałoby się ich podważyć. Na dach też nie mogłem wejść, bo wszystkie rynny odcięto na wysokości pięciu metrów nad ziemią. Nie było również mowy, żeby staranować ścianę jakimś pojazdem. Dookoła budynku stały wielkie betonowe kłocę ponad metrowej grubości. Wzmocnione stalowymi prętami i oddalone od siebie o niecały

metr. Do środka można by się dostać tylko czołgiem. Albo wykorzystując materiały wybuchowe. A ja nie miałem ani jednego, ani drugiego. Pozostawał jedynie oszklony korytarz. Doszedłem do wniosku, że powinienem przemyśleć swoją taktykę. Nadeszła pora na trochę kreatywności.

Między dłuższą ścianą budynku i ogrodzeniem nie znalazłem nic interesującego. Był tam tylko kawał dziwnego gumowatego asfaltu, pewnie dawny plac zabaw, teraz zupełnie opustoszały. Poszedłem dalej, do następnego rogu, i tam zobaczyłem coś w rodzaju prymitywnego składziku. Zbudowany z pustaków i pomalowany na biało, miał przerdzewiały blaszany dach i drewniane drzwi zamknięte na nową solidną kłódkę. W składziku było okno. Na wysokości mojej głowy. Zakratowane, lecz bez szyby. Zapaliłem zapałkę. Stałem na palcach, zajrzałem do środka i natychmiast ją zgasilem. Składzik był pełen cylindrycznych przedmiotów. Ustawione na płaskich podstawach, miały skierowane w sufit ostre czubki. Pociski artyleryjskie. Dwadzieścia rzędów po piętnaście w każdym. Co najmniej. W dodatku pociski w kiepskim stanie. W mocno skorodowanych brązowych skorupach, miejscami powgniatanych i porysowanych. Nie spieszyło mi się do nich.

Trzy metry dalej znalazłem coś innego. Mniejszego. Skrzynię w kształcie nierównego sześcianu o bokach długości niecałego metra. Miała metalowe ścianki i wierzch. A raczej wieko na zawiasach. Tuż poniżej wieka biegł rząd otworów o średnicy trzech centymetrów. Wieko było uchylone. Uchyliłem je trochę bardziej. Zaryzykowałem kolejną zapałkę i zajrzałem do środka. Skrzynia była pusta. Ale niedawno jej używano. Do czegoś. Sądząc po zapachu, najprawdopodobniej do czegoś związanego ze zwierzętami. Albo z przesłuchiwaniami ludzi. Nikt nie chciałby siedzieć pod kluczem w czymś takim. Zwłaszcza w pełnym słońcu.

Obszedłem budynek i wróciłem do środka. Przeciąłem salę gimnastyczną. Przeciąłem stołówkę. I przykucnąłem przed drzwiami na przeszkłony korytarz. Zapukałem. Jak żandarm. Wykoncypowałem, że mogą zdarzyć się trzy rzeczy. Faceci z uzi mnie zignorują. Albo wezwą posiłki. Albo przyjdą, żeby sprawdzić, kto puka.

Pierwsza opcja nic by mi nie dała. Druga byłaby nie najgorsza. Ale najbardziej liczyłem na trzecią, a konkretnie na to, że jeden z nich zostanie, a drugi – sądząc po tym, jak siedzieli, najpewniej ten po mojej lewej – podejdzie do drzwi. Otworzy je do środka, a wtedy najpierw ukaże się jego głowa albo pistolet. Było mi wszystko jedno co, bo chwyciłbym to, co zobaczę, a potem wyciągnął faceta za próg i skręcił mu kark. Zrobiłbym to szybko, zanim drzwi by się zamknęły. Wziąłbym jego uzi i wypalił przez szparę. A kiedy skończyłaby się amunicja, poprawiłbym z colta. Jeśli w ogóle byłoby to konieczne. Jeśli ten drugi nie zmieniłby się przedtem w ser szwajcarski. Potem zabrałbym mu klucze czy transponder, w każdym razie coś, czym mógłbym otworzyć wewnętrzne drzwi, i sprawdził, czego tak pilnowali. Albo kogo. Prawdopodobnie Dendonckera. Miałem nadzieję, że również Michaeli.

Na pierwsze pukanie nie zareagowali, więc zapukałem jeszcze raz. Po chwili usłyszałem kroki. Ciężkie. Rozważne. Tego po lewej, tak jak myślałem. Otworzył drzwi. I zobaczyłem Mansoura. Zupełnie nie tak, jak myślałem. A on nawet przedtem nie wyjrzał. Nie przystanął. Po prostu wyszedł.

Wyprostowałem się. Drzwi już się zamykały, ale miałem na głowie większe zmartwienia. Mansour odwrócił się do mnie i uśmiechnął. Lewy policzek miał zaczerwieniony i spuchnięty. Pamiątka po moim łokciu. Wyprowadziłem szybki prawy prosty, chcąc podarować mu drugą, ale mnie przejrzał. Odchylił się w bok i od razu zaatakował. Był szybki. Zważywszy na jego masę, szaleńczo szybki. Podniósł nogę ugiętą w kolanie. Wysoko. I niemal natychmiast wyrzucił do przodu wielką stopę. Celował w brzuch. Gdyby trafił, poczułbym się jak po uderzeniu kulą do kręgli. Zmiażdżyłby mi wnętrzności. Wpadłbym na drzwi. Albo razem z drzwiami do korytarza.

Gra dobiegłaby końca. Tu i teraz. Nie mogłem do tego dopuścić, dlatego odskoczyłem w bok i ominąwszy jego nogę, rzuciłem się do przodu. Chwyciłem go za udo. Przytrzymałem je i nasadą dłoni grzmotnąłem go w podbródek. Głowa odskoczyła mu do tyłu. To był dobry cios. Może nie najlepszy, ale większość przeciwników wyładowałaby po nim na tyłku. Na sto procent. Poczulem, że on też zaczyna się przechylać, i pomyślałem, że zaraz będzie po wszystkim. Puściłem jego nogę. Cofnąłem swoją, żeby kiedy tylko Mansour padnie, przyłożyć mu z kopa. Co okazało się błędem. Bo rzeczywiście padał, ale padał celowo. Objął mnie przy tym, splótł dłonie na moich plecach i pociągnął mnie za sobą. Nie było sposobu, żebym dał radę utrzymać się na nogach. Ważył co najmniej czterdzieści pięć kilogramów więcej niż ja. I sprzyjała mu siła rozpędu.

Wyładowaliśmy w płataninie kończyn, nos w nos, ja na nim. Ale kiedy tylko dotknął plecami podłogi, wypiął biodra i skreślił się w pasie. Miałem unieruchomione ręce. Nie mogłem się o nic zaprzeć, chyba że o powietrze. Chwilę później leżeliśmy już odwrotnie. On na mnie, ja pod nim. Nie mogłem się poruszyć. Nie mogłem oddychać. Wiedziałem, że jestem w poważnych tarapatach. On też to wyczuł. Bo wystarczyło, żeby nie zwalniał uścisku. I zaczekał, aż jego ciężar ciała zrobi swoje. Ale nie grzeszył cierpliwością. Albo chciał się popisać. Wyciągnął spode mnie ręce. Przesunął kolana, uniósł pierś i mogłem wciągnąć haust powie-

trza. Pochylił się do przodu. Obiema rękami ścisnął moją głowę i poczułem, jak maca wokoło kciukami. Pewnie szukał oczu, lecz nie wiedziałem, czy chce mnie tylko oślepić, czy zrobić coś innego. Na przykład zmiażdżyć mi czaszkę albo grzmotnąć głową w podłogę.

Nie czekałem, żeby się o tym przekonać. Złapałem go za nadgarstki, ściągnąłem w dół ręce i odpychając się stopami od podłogi, gwałtownie uniosłem biodra. Normalny przeciwnik przeleciałby nade mną jak wystrzelony z katapulty i, zaskoczony, wylądował bez tchu na plecach. Tymczasem on prawie wcale się nie podniósł. A jeśli już, to najwyżej na piętnaście centymetrów. Lecz tyle mi wystarczyło.

Wytoczyłem się spod niego, wstałem na czworaki i zerwałem się z podłogi. Mansour też zaczął wstawać, ale zanim zdążył, kopnąłem go w brzuch. Kopniak o tej sile posłałby piłkę za koronę stadionu, a nawet za parking. Jego przewrócił na plecy. Mansour natychmiast usiadł, więc kopnąłem go znowu, w skroń. Przewrócił się na bok i odtoczył. Poszedłem za nim. Znowu spróbował wstać, nie zamierzałem mu jednak na to pozwolić. Zgodnie z najważniejszą zasadą. Kiedy już powaliłeś przeciwnika, musisz go wykończyć. Nie wahaj się. Nie dawaj mu drugiej szansy. Nie popełnij błędu. Wystarczyłby jeszcze jeden kopniak. Cofnąłem nogę. Wybrałem miejsce. I usłyszałem, jak za moimi plecami otwierają się drzwi.

– Dość. – Czysty głos. Cichy i ochrypły.

Przyszedł Dendoncker.

• • •

– Rusz się i ona zginie. – Źródło głosu powoli się zbliżało. – Najpierw ona, a potem Ty.

Zerknąłem przez ramię. Z jego prawej strony stał ten w jasnym garniturze, z uzi w rękach. Z lewej – Michaela. Podpierała się staroświecką drewnianą kulą. Pusty dół nogawki jej spodni zwisał prawie do podłogi. Michaela miała sznur na szyi. Jego koniec trzymał Dendoncker. Prawą

ręką, kciukiem i drugim pozostałym mu palcem. W lewej miał nóż o długim, wąskim ostrzu. Brytyjscy komandosi używali takich podczas drugiej wojny światowej. Zaprojektowano je tylko do jednego celu. Do zabijania. Z maksymalną skutecznością. Dendoncker przyciskał jego czubek do szyi zakładniczki.

– Nie słuchaj go! – rzuciła chrapliwie Michaela. – Zabij sukinsyna!

– On tego nie zrobi. – Dendoncker miał błyszczące oczy. – Zadał sobie wiele trudu, żeby Cię znaleźć. Chce, żebyś żyła. A nawet jeśli zmieni zdanie i uzna, że nie jesteś tego warta, nie jest głupcem. Wie, że ma szybkie pięści i nogi. Ale wie też, że kula kalibru dziewięć milimetrów jest dużo szybsza. Zresztą po co mielibyśmy się wzajemnie zabijać? To bez sensu. Mam pewną propozycję. Chodzi o coś bardzo prostego. Bardzo łatwego. Zgodzi się pan i rozejdziemy się cali i zdrowi, bez jednego zadrapania. Nikt inny też nie ucierpi. Co pan na to, panie Reacher? Chciałby pan poznać moje warunki?

Prawdę mówiąc, jego warunki mnie nie interesowały. Zupełnie. Natomiast bardzo interesowało mnie jednak coś innego: nie chciałem, żeby jego przydupas mnie zastrzelił. Poza tym nie podobał mi się widok Michaeli ze sznurem i ostrzem przytkniętym do szyi.

– Schowaj nóż i zabierz sznur – odparłem. – Potem powiesz swoje. Posłucham, ale niczego więcej nie obiecuję.

Chciał porozmawiać w swoim biurze. Aby się tam dostać, musieliśmy przejść przez podwójne drzwi, oszklony korytarz i drzwi na jego końcu. Otworzył je ten w ciemnym garniturze, przytykając pęk kluczy do białego kwadratu na futrynie. Pewnie miał na kółku transponder. Prawdopodobnie taki sam jak transponder Mansoura, który widziałem, szukając go w kostnicy, choć teraz stałem za daleko, żeby mieć całkowitą pewność.

Gość w ciemnym garniturze nie poszedł dalej. Odsunął się na bok i zaczekał, aż Dendoncker minie go i pchnie drzwi. On wszedł pierwszy, ja za nim. Pochód zamykał ten w jasnym garniturze. Szedł za mną, niby blisko, lecz za daleko, abym mógł go chwycić. Jego albo uzi. Skręciliśmy w kolejny korytarz, prostopadły do tego, którym szliśmy. Ten biegł wzdłuż całej połowy budynku. Na jego końcach były drzwi wyjściowe. Bez klamek. Logiczne, inaczej nie dałoby się przytwierdzić do nich stalowych płyt. Jedna ściana korytarza, ta od strony stołówki, była całkowicie przeszklona. W drugiej, białej i zwyczajnej, było czworo drzwi. Dwoje na lewo od skrzyżowania do oszklonego korytarza. I dwoje po prawej.

Wszystkie miały szyby wzmocnione stalową siatką i zaklejone od wewnątrz pożółkłymi ze starości gazetami. Z tego, co zdążyłem zauważyć, meksykańskimi.

Dendoncker skręcił w prawo. Za plecami usłyszałem kroki zmierzające w przeciwnym kierunku. Zerknąłem przez ramię i zobaczyłem, jak Mansour prowadzi Michaelę, podtrzymując ją za łokieć. W porównaniu z jego wielką łapą, jej ramię wyglądało jak cienki patyk. Ale przynajmniej nie miała już sznura na szyi. I chyba nie zrobili jej krzywdy. Na szczęście. Dla nich.

Dendoncker minął pierwsze drzwi i przystanął przed następnymi. Tymi na końcu korytarza. Otworzył je zwykłym kluczem. Wszedł do środka i zapalił światło. Na suficie ożyło sześć par jarzeniówek. Po prawej znajdowało się pomieszczenie oddzielone od reszty wewnętrzną ścianą, w którą wbudowano dwoje drzwi, jedno z napisem *Niños*, drugie z napisem *Niñas*. W ścianie naprzeciwko wejścia były kolejne, też z przytwierdzoną od zewnątrz stalową płytą, i szerokie okno, również zabezpieczone stalową płytą. Na ścianie po lewej wisiała tablica. Dokładnie wytarta. Kiedyś była to klasa. Bez dwóch zdań. Na podłodze widziałem nawet zadrapania w miejscach, gdzie stały ławki, ustawione w podkowę, jej końcami w stronę tablicy, po pięć ławek naprzeciwko siebie. Biurko nauczyciela ocalało. Stało skosem w kącie, a obok niego krzesło na metalowych nogach, z siedzeniem z pomarańczowego plastiku. Sześć takich samych stało kręgiem na środku klasy. Była tam jeszcze sfatygowana skórzana kanapa, a obok niej półka z książkami, głównie podręcznikami do fizyki. Na półce leżało kilka francuskich powieści. Pod ścianą naprzeciwko stało łóżko polowe z pomalowaną na oliwkowo metalową ramą, mocno naciągniętym białym prześcieradłem i poduszką w białej poszewce. Tylko jedną. W nogach stała szafka. Brak naturalnego światła. Brak świeżego powietrza. Niezbyt dobre miejsce do pracy czy do spania.

Dendoncker wyciągnął rękę.

– Pod ścianę. Nogi szeroko. Na pewno robi to pan nie pierwszy raz.

– Chwileczkę. – Zanim ten w jasnym garniturze zdążył mnie zatrzymać, wszedłem do toalety dla chłopców.

W środku były dwa pisuary, dwie umywalki i dwie suszarki do rąk. Wszystko małe, poobijane, lecz czyste. Sęk w tym, że nie wypatrzyłem tam ani jednego dobrego schowka. Miałem dwa pistolety i scyzoryk. Nie przejmowałem się ich ewentualną stratą. Łatwo mogłem je czymś zastąpić. Znacznie bardziej martwił mnie telefon. Dzwoniłem z niego do Wallworka. I do Sonii. Nie chciałem, żeby Dendoncker sprawdził te numery.

Pomyślałem, że wrzucę komórkę do muszli klozetowej i spuszczę wodę, ale nie wiedziałem, czy w rurach jest dobre ciśnienie i czy woda ją spłucze. Jeśli nie, tamci domyśliliby się, że próbuję coś ukryć. Dlatego zrobiłem coś innego. Wszystkie telefony, które odebrałem ludziom Dendonckera, były dokładnie wyczyszczone. Facet przywykł do tego rodzaju dyscypliny i nie dostrzegłby niczego podejrzanego. Przynajmniej taką miałem nadzieję. Sprawdziłem, czy komórka jest wyciszona. Przewinąłem menu i znalazłem opcję usuwającą wszystkie numery, wiadomości i rejestry rozmów. Schowałem telefon do kieszeni. Przesunąłem ręką pod dyszą suszarki, żeby ją włączyć, a potem wróciłem do klasy.

Dendoncker stał między drzwiami. A raczej nie mógł ustać w miejscu, jak pięcioletnia dziewczynka. Oparłem ręce o ścianę i spokojnie czekałem, aż mnie obszuka. Zrobił to dobrze. Powoli, lecz dokładnie. Kiedy skończył, zwrócił mi paszport i pieniądze, choć zatrzymał szczoteczkę do zębów i pozostałe rzeczy.

– Zapraszam. – Ruszył w stronę kręgu krzeseł. – Niech pan spocznie. Usiadłem naprzeciwko niego.

Długo się nie odzywał. Po prostu siedział i patrzył na mnie. Z zętkniętymi kolanami. Z rękami na udach. I z przechyloną na bok głową. Wyglądał jak stały bywalec ośrodka dla seniorów, który czekając na rozpoczęcie spotkania grupy terapeutycznej, ciekawie przygląda się nowemu uczestnikowi. Ale jeśli myślał, że milczeniem zmusi mnie do mówienia, to wybrał nie tego, co trzeba.

Poddał się po dwóch minutach. Dwoma palcami prawej ręki przeczesał rzadkie włosy i zwilżył językiem usta.

– A więc przejdźmy do interesów. Ale najpierw jedno pytanie. Dla kogo pan pracuje, panie Reacher?

– Dla nikogo.

– Rozumiem, jest pan wolnym strzelcem. Kto pana wynajął?

– Nikt.

– Chyba jednak wynajął. Wiem nawet kto. Śmiało, może pan podać jego nazwisko. Nie złamie pan zasady poufności. Potwierdzi pan jedynie moje domysły.

– Nikt mnie nie wynajął – powtórzyłem.

Spojrzał mi prosto w oczy.

– Nader Khalil. Tak? Niech pan kiwnie głową. Nie musi pan nic mówić.

– Khalil? Nigdy o nim nie słyszałem.

Dendoncker znów umilkł. Miał pustą twarz. Nie wiedziałem, czy mu ulżyło, czy jest zawiedziony.

– No dobrze – rzucił w końcu. – Wróćmy do tematu. Moja propozycja. To coś bardzo prostego. Łatwego do zrealizowania. Nikt przy tym nie ucierpi. A po wszystkim pan i pana przyjaciółka odejdziecie stąd wolni i zdrowi. Co pan na to?

Nie odpowiedziałem.

– Musiałby pan tylko pojechać trochę samochodem. I trochę podźwigać. Nic trudnego dla takiego krzepkiego mężczyzny. Zajęłoby to panu trzy dni. Wyznaczyłbym dokładną trasę, zapłacił za posiłki i dwie noce w ładnych hotelach. A po dotarciu na miejsce zostawiłby pan tam pewną rzecz. Tylko jedną. Widzi pan? Nic łatwiejszego, prawda? Rozumiem, że pan się zgadza.

– Nie.

– Czyżbym niezbyt jasno zapoznał pana z alternatywą? – Ruchem głowy wskazał gościa z uzi. – Pustynia jest duża. Roi się tam od padlino-

żerców. Nikt nie znalazłby ciała. Ani pańskiego, ani ciała pana przyjaciółki.

– Odpowiedź wciąż brzmi „Nie”. Nie jestem chłopcem na posyłki. Poza tym lepiej niech zginą dwie osoby niż pięćdziesiąt.

– Nie rozumiem. – Dendoncker udał, że jest skonsternowany. – Jak to pięćdziesiąt?

– Ta rzecz, którą miałbym gdzieś zawieźć... Wiem, co to jest.

Zmarszczył czoło.

– To jest zupełnie niegroźne. Nieszkodliwe. Daję panu słowo.

Milczałem.

– Nie wiem, co pan słyszał, ale jeżeli myśli pan, że planuję coś niebezpiecznego, to źle pana poinformowano. – Dendoncker wstał. – Chodźmy. Zaraz się pan przekona.

Zaprowadził mnie do sąsiedniego pomieszczenia. Do kolejnej klasy. Miała taki sam kształt jak jego biuro. Taki sam rozkład. Takie same toalety dla dzieci. Takie samo szerokie okno i drzwi wyjściowe, szczelnie zasłonięte stalową płytą. Takie samo oświetlenie. Tam też pod ścianą stało łóżko polowe, tylko na tym leżały dwie poduszki i zielony koc. Ale zamiast kręgu krzeseł na środku urządzono coś w rodzaju polowego warsztatu mechanicznego. Był tam składany metalowy stół z imadłem, z którego zwisały okulary ochronne, a tuż obok stołu stał wózek z dwiema oplecionymi łańcuchami butlami gazowymi, większą i mniejszą. Tlen i acetylen. Butle łączył giętki przewód zakończony dyszą. Były tam również cztery duże narzędziarki na kółkach, pełne szuflad, drzwiczek i uchwytów. Metalowe. Pomalowane na oliwkowo. Poobijane i porysowane. Nie pełniły służby pierwszy raz. To na pewno.

Dendoncker stanął pod ścianą po lewej stronie, obok tablicy. I rzędu pocisków artyleryjskich. W sumie dziewięciu. Podzielonych na trzy grupy, po trzy pociski w każdej. Jeden, ten stojący pośrodku każdej grupy, był skierowany czubkiem do góry. Drugi pochylał się w prawo. Trzeci – w lewo. Wszystkie były przytwierdzone do metalowej podstawy, jak do wielkiej tacy. Podstawa miała kółka i boki o wysokości dziesięciu centymetrów.

– Proszę. – Dendoncker wskazał pociski. – Oto co miałby pan przewieźć. Jeden z tych zestawów. Wytwarzają dym. To wszystko. Nie są ani szkodliwe, ani niebezpieczne.

Wciąż stałem przy drzwiach.

Dendoncker zamrugał i zapatrzył się w dal, jakby przeprowadzał w głowie skomplikowane obliczenia.

– Dobrze, rozumiem pański problem. Zrobimy tak: Proszę wybrać któryś zestaw.

Nie poruszyłem się.

– Pierwotnie chcieliśmy zdetonować wszystkie trzy, ale doszliśmy do wniosku, że jeden zakomunikuje nasz przekaz znacznie lepiej. Co za dużo, to niezdrowo. Prawda? Dlatego śmiało, niech pan wybiera. Wywieziemy go na dwór i uruchomimy. Sam pan zobaczy, że jest zupełnie nieszkodliwy.

Pomyślałem, że skoro Dendoncker jest gotów poświęcić jedną ze swoich bomb, głupotą byłoby z tego nie skorzystać. Miałbym potem mniej roboty. Podeszedłem bliżej i uważnie przyjrzałem się każdemu zestawowi. Tuż poniżej czepca balistycznego w płaszcach wszystkich pocisków wywiercono rząd otworów o średnicy półtora centymetra. Z jednego z otworów w każdym pocisku wychodziła czarna gumowa rurka. Biegła do zamontowanej na środku zestawu pompy, którą napędzał akumulator, taki, jakich używa się w małych samochodach albo elektrycznych kosiarkach do trawy. Akumulatory podłączono też do zegarków i telefonów komórkowych. Zegarki były cyfrowe. Bez pasków. Stare modele Casio. Mój brat Joe nosił taki na początku lat dziewięćdziesiątych. Przymocowano je do pocisków ustawionych po lewej stronie każdego zestawu. Natomiast komórki przyklejono taśmą do tych ustawionych po prawej. Miały normalne przyciski i małe ekrany. Sprawiły wrażenie bardzo prostych. Staromodnych. Lecz solidnych. Niezawodnych. I byłyby prawdopodobnie zbyt skuteczne, jeśli zegarki zrobiłyby swoje.

Pomyślałem, że może któryś z zestawów różni się od pozostałych. Czymś małym, drobnym, czymś, co zdradzi, że przygotowano go specjalnie do demonstracji. Albo że Dendoncker próbuje mnie oszukać jak karciany oszust, który chce, żeby jego ofiara wybrała znaczoną kartę.

W tym przypadku wybrałbym jeden z pozostałych, ale wszystkie zestawy były identyczne. Dendoncker stał z boku. Zupełnie nieruchomo. Z neutralną twarzą. Język jego ciała milczał.

– Na co pan czeka? – Zatoczył ręką łuk, wskazując pociski, wszystkie, żadnego konkretnego. – Są identyczne. Niech pan po prostu wybierze.

W razie wątpliwości zawsze polegam na liczbach. Miałem przed sobą trzy zestawy. Między jedynką i trójką są dwie liczby pierwsze: dwa i trzy. Wybrałem pierwszą i wskazałem drugi zestaw.

Dendoncker wyjął telefon i kazał komuś natychmiast zameldować się w warsztacie. Dwie minuty później w drzwiach stanął Mansour. Dendoncker wskazał wybrany przeze mnie zestaw i polecił wywieźć go na dwór. Olbrzym podszedł bliżej, przyjrzał się pociskom, chwycił za środkowy, odsunął zestaw od ściany i pchnął go w stronę drzwi. Cały czas mnie ignorował. On mnie, a ja jego. Byliśmy jak zwaśnione koty, które udają, że się wzajemnie nie zauważają.

Musieliśmy tworzyć dziwną procesję. Na czele szedł Mansour, pchając bombę na kółkach. Za nim Dendoncker. Potem ja. Na końcu, w bezpiecznej, jak sądził, odległości ode mnie, szedł ten z uzi. W milczeniu przeszliśmy przez pierwsze podwójne drzwi. Przez oszklony korytarz. Przez drugie podwójne drzwi. Przez stołówkę. Salę gimnastyczną. Wreszcie wyszliśmy na parking. Mansour skręcił w stronę SUV-ów. Było już prawie ciemno i kiedy dotarł do granicy światła padającego z wysokich okien, jego sylwetka zaczęła się zacierać. Pomarańczowa poświata wylewająca się przedtem zza rogu zniknęła. Słysząc było jedynie turkot kółek toczących się po asfalcie. Piłkarze poszli już do domu.

Dendoncker wykonał kolejny telefon. Kazał włączyć reflektory i po chwili całe obrzeże budynku utonęło w jasnym blasku niczym w świetlistej fosie średniowiecznego zamku. Mansour trącił nogą kółko zestawu. Najpierw jedno, potem pozostałe. Zablokował je i stanął obok swojego szefa.

Ten znów wybrał jakiś numer i podał mi komórkę.

– Chce pan?

Pokręciłem głową.

– Jak pan sobie życzy. – Nacisnął zielony guzik, zamknął telefon i schował go do kieszeni. – Niech pan patrzy.

Przez dziesięć sekund nic się nie działo. Przez kolejne dziesięć też nic. Potem bomba wydała trzy piśnięcia. Głośne. Elektroniczne. Zamruczała pompa. Pomruk przeszedł w monotonne buczenie. Ukazał się dym. Początkowo tylko cienkie smużki. Białe. Z otworów w środkowym pocisku. Po chwili smużki pogrubiały i zgęstniały. Biły z otworów jak para z czajnika. Z pocisku po prawej buchnął niebieski dym. Połączył się z białym, lecz się z nim nie mieszał, tak że wciąż widać było wyraźnie dwa różne kolory. Na końcu ożył pocisk po lewej i buchnął z niego czerwony dym. Od razu z pełną siłą, do góry, i po chwili było go już tyle samo co białego i niebieskiego.

– Widzi pan? Zwykły dym. – Dendoncker ruszył w tamtą stronę i przystanął niecały metr od bomby. Pomachał lewą ręką, teatralnie nawiewając dym do nosa i ust. Robił to przez dziesięć sekund, potem zakaszłał i wrócił. – Trochę pali w gardle. Nie da się zaprzeczyć. Ale nie jest trujący. Nic tu nie wybuchnie. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Czy jest pan zadowolony?

Zaczekałem, aż bomba zgaśnie. Najdłużej bił dym z pocisku po prawej, ale wszystkie razem wytworzyły go tyle, że wzdłuż całej szerokości budynku kłębił się wielki patriotyczny obłok. Byłem pod wrażeniem. Kiedy Sonia powiedziała mi o planie Michaela, miałem wątpliwości. Myślałem, że będzie to ot, wypłowiła mała chmurka. Show z cyklu „mru-gniesz i nic nie zauważysz”. Nic, czym można by komuś zaimponować. Ani na żywo, ani w telewizji. Ale gdyby podczas uroczystości odpaliło coś takiego, nie umknęłoby to nikomu.

– Zadowolony? – Dendoncker przeszył mnie gniewnym spojrzeniem. – Gotowy do drogi?

Pomyślałem, że może się jednak myliłem. Może powinienem był wykazać większe zainteresowanie jego propozycją.

– Chce pan, żebym zapakował takie coś do samochodu i po trzydniowej przejażdżce gdzieś zostawił?

– Właśnie. – Dendoncker kiwnął głową. – Nic więcej nie musi pan robić.

– Gdzie miałbym to podrzucić?

– Codziennie będzie pan otrzymywał stosowne instrukcje.

Trzy dni jazdy. Przez ten czas można dojechać aż do Kanady. Albo do Ameryki Środkowej. Ale celem było prawdopodobnie Wschodnie Wybrzeże. Waszyngton. Biały Dom. Albo Pentagon.

– Dobrze. Tylko po co w ogóle miałbym to robić? O co tu chodzi?

– Mam swoje powody. Nie musi pan ich znać. Powody nie podlegają dyskusji. Pytanie tylko, kto poprowadzi samochód. Jeśli pan, po robocie będzie pan mógł spokojnie odejść. Jeśli nie, znajdę kogoś innego.

– A ta kobieta? – spytałem.

– Jej los zależy od pańskiego. Wybierze pan życie, przeżyje i ona. Jeśli natomiast nie...

– Mogłaby pojechać ze mną. Prowadzilibyśmy na zmianę. Pomagałaby mi w nawigacji.

Dendoncker pokręcił głową.

– Pana przyjaciółka pozostanie moim gościem, dopóki nie ukończy pan misji.

– Krótko mówiąc, nie ufa mi pan.

Nie odpowiedział.

– Dobra. Ja też panu nie ufam. Skąd mam wiedzieć, że nie zabije jej pan, kiedy tylko wyjadę?

Dendoncker zastanowił się.

– Słuszna uwaga – odezwał się po chwili. – Przed wyjazdem zwrócę panu telefon. I podam numer. Będzie mógł pan zadzwonić o każdej porze dnia i nocy. Porozmawiacie i przekona się pan, że pana znajoma żyje.

– Pozwala pan zakładnikom korzystać z telefonu? Przez cały dzień?

– Ależ nie. Kiedy pan zadzwoni, ktoś przyniesie jej telefon.

Ucieszyłbym się bardziej, wiedząc, kto konkretnie. Gdybym miał gwarancję, że będzie to ten, o którym myślałem. Ale nie miałem pojęcia, kto to będzie. Jaką odegra rolę. I w tych okolicznościach uznałem, że to dobrze.

Moja matka była Francuzką. Urodziłem się w Niemczech. Mieszkałem w bazach wojskowych w kilkunastu krajach. Słyszałem ludzi mówiących dziesiątkami języków. Niektóre brzmią znajomo. Jedne całkiem dobrze rozumiem. Innych nie.

Słowa wypowiedziane przez Dendonckera brzmiały jak angielskie. Ale wiedziałem, że znaczą coś zupełnie innego. Coś, co bez trudu zrozumiałem. Chciał, żebym odwalił za niego brudną robotę. Podłożył bombę. Nie tknąłby Michaeli, dopóki bym tego nie zrobił. A potem by ją zabił. Ją i mnie. Może w ciężarówce, którą miałbym jechać, też byłaby bomba. Może nasłałby na mnie kogoś ze snajperką. Tak czy inaczej, nie wypuściłby nas żywych.

Kiedy przedstawiał swój plan, dobrze rozumiałem jego słowa. Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. Ale to, czy on rozgryzł mój, to już inne pytanie. I odpowiedź na pewno nie przypadłaby mu do gustu.

• • •

Pokaz się skończył. Uzgodniono warunki. Naszymi ubraniami szarpał coraz silniejszy wiatr. Na pustyni bardzo pochłodziło. Ponieważ nie było już powodu zostawać na dworze, weszliśmy do środka i zaliczyliśmy tę samą trasę co przedtem. Ale z dwiema różnicami. Po pierwsze, Mansour nie pchał już wózka z bombą. Po prostu zostawił go na parkingu w resztkach dymu. Po drugie, kiedy przeszliśmy przez podwójne drzwi na końcu oszklonego korytarza, on skręcił w lewo, a Dendoncker

w prawo, w stronę swojego biura. Ja się zatrzymałem. Gwałtownie i niewiele brakowało, żeby ten z uzi na mnie wpadł.

– Tutaj, dupku. – Mansour przystanął przed pierwszymi drzwiami i wyjął klucz.

Odczekałem parę sekund i podszedłem bliżej. Ten z uzi też.

– Włóż. – Mansour otworzył drzwi.

Kiedy stanąłem w progu, pchnął mnie w plecy. Mocno. Szeroko rozłożonymi palcami. Między łopatki. Wsparł pchnięcie całym ciężarem ciała, jakby chciał, żebym przebił ścianę na wprost drzwi. Pewnie z zemsty za poprzedni wycisk. Liczył na to, że wyląduję przynajmniej na twarzy i zbłąźnię się przed tym w garniturze. Jeśli tak, to go rozczarowałem. Bo przewidziałem, co chce zrobić. Dzięki jego odbiciu w szybie. Dlatego zapałem się mocno nogami, odchyliłem do tyłu i prawie nie przyspieszyłem kroku.

Pokój wyglądał jak warsztat i biuro Dendonckera, tylko miał odwrotny rozkład. Toalety były po lewej, a tablica po prawej. Stał tam tylko jeden mebel. Dokładnie na środku. Przyśrubowane do podłogi łóżko polowe. Na łóżku siedziała Michaela. Wzięła kulę, wstała i zrobiła krok w moją stronę.

Drzwi się zamknęły. Kroki w korytarzu się oddaliły. Ale trzydzieści sekund później powróciły. Drzwi się uchyliły i ktoś wrzucił przez szparę materac. Gdybym się w porę nie odsunął, wylądowałby na mnie. Cienki, kremowy w oliwkowe pasy, sfatygowany i poplamiony. Pewnie z łóżka w warsztacie. Bez prześcieradła i koca. I bez poduszki.

– Miłych snów, dupki. – Mansour zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku. Tym razem kroki jego i jeszcze kogoś oddaliły się na dobre.

Michaela obeszła materac i zarzuciła mi ręce na szyję. Przytuliła się i wcisnęła twarz w moją pierś.

– Nie mogę uwierzyć, że przyszedłeś. – Puściła mnie i cofnęła się. – Nie powinieneś, dobrze wiesz. Co Ci odbiło?

– Jestem jak przysłowiowy zły szeląg. Ciągle wracam.

– To nie jest zabawne. Teraz oboje mamy kłopoty. I to duże. Możemy stąd nie wyjść. Ani Ty, ani ja.

Pokręciłem głową.

– Spokojnie. Wszystko będzie dobrze. Za trzy dni wrócimy bezpiecznie do domu.

Michaela wskazała ucho, a potem zatoczyła ręką szeroki łuk.

– Mogę Ci tylko podziękować. I przeprosić, że Cię w to wpakowałam.

– Nie ma za co. – Podniosłem materac i położyłem go dwa metry od łóżka. – I nie martw się. Poważnie. – Powtórzyłem jej gest. – Dogadałem się z Dendonckerem. Zrobię coś dla niego i puści nas wolno.

– Aha. – Przewróciła oczami. – To dobrze. Podniosłeś mnie na duchu.

Skorzystałem z toalety, a po powrocie zobaczyłem, że zdjęła z łóżka materac i położyła go obok mojego. Rozłożyła też prześcieradło, tak że przykrywało teraz połowę jej i połowę mojego. Poza tym dała mi poduszkę.

– Zgasisz światło? – spytała.

Zrobiłem to, po omacku wróciłem do legowiska i wymacałem nogą brzeg materaca. Położyłem się, ale nie zdjąłem butów. Chciałem być gotowy na to, co mogło nas czekać rano. Nie ufałem Dendonckerowi za grosz. I bez trudu mogłem wyobrazić sobie, jak Mansour i jego kumple knują coś głupiego ze mną w roli głównej.

Po chwili usłyszałem stukot kuli na podłodze. Michaela usiadła na materacu, a potem się położyła. Przez kilka sekund nie ruszała się, a potem przesunęła się na mój materac i przytuliła. Poczułem jej ciepły oddech na szyi. Nagle wygięła się, jakby dostała konwulsji, i coś wylądowało na mojej głowie. Coś szorstkiego. Drapało mnie w policzek i cuchnęło. Olejem napędowym i pleśnią. Jej koc. Sądząc po ciężarze, kilka razy złożony. Żeby stłumić dźwięk.

– Gdzie my jesteśmy? – szepnęła.

– Nie wiesz? – odszepnąłem.

– Zarzucili mi kaptur na głowę. Kazali zejść po drabinie. Chyba do jakiegoś tunelu. Na końcu były schody.

– Jesteśmy w Meksyku. Ten tunel to kanał burzowy. Biegnie pod granicą.

– Skąd wiedziałeś?

– Już Ci mówiłem, jestem dobry w znajdowaniu ludzi.

– Mówiłeś, że w łapaniu. Ale to chyba oni złapali nas.

– Spokojnie. To sytuacja przejściowa.

– Dlaczego przyszedłeś?

– Bo miałaś kłopoty. Pomyślałem, że Ty też byś przysłała.

– Chciałeś mi pomóc?

– I dorwać Dendonckera.

Westchnęła.

– Miałam nadzieję, że... Nie, nieważne. Jestem głupia.

– Dlaczego?

– Miałam nadzieję, że będziesz miał dobre wiadomości. O Michaelu.

Że żyje.

Milczałem.

– Dobra – rzuciła po chwili. – Co teraz?

– Rano Dendoncker mnie wypuści. Wyjdę i wrócę po Ciebie.

– Myślisz, że przedtem mnie nie zabije?

– Gwarantuję, że nie.

– Dlaczego?

– Nie może. Inaczej nie dopiąłby swego.

– Czyli czego? Co to za układ?

– Taki, który skończy się dla niego inaczej, niżby chciał.

– Bo?

– Bo go oszukam.

Michaela milczała. Oparła głowę na moim ramieniu, ale wiedziałem, że prędko nie zaśnie. Była bardzo spięta.

– Reacher? – odezwała się po chwili, podnosząc głowę. – Naprawdę wrócisz?

– Możesz na to liczyć.

– Nie mam prawa Cię prosić, ale czy pomożesz mi potem w czymś jeszcze?

– W czym?

– Ciało Michaela... Chcę je znaleźć. Zabrać do domu. Urządzić mu należyty pogrzeb.

Nie odpowiedziałem od razu. Prośba była zupełnie zrozumiała. I nie mogłem jej odmówić. Ale ciało mogło być wszędzie. Zagrzebane w piasku. Spalone do stopnia uniemożliwiającego identyfikację. Rozerwane na strzępy. Nie chciałem angażować się w beznadziejne poszukiwania.

– Nie martw się – rzuciła, jakby czytała w moich myślach. – Wiem, gdzie je ukryli. „Tam gdzie zwykle”. Tak powiedział jeden z tych pod Drzewem. Wiem, gdzie to jest.

Pod kocem robiło się duszno. Michaela podniosła rękę, żeby go odrzucić, lecz ją powstrzymałem.

– Zaczekaj. Mam pytanie. O Twojego brata. To prawda, że lubił zagadki? Tajemnicze wskazówki?

– Chyba tak. Nigdy nie zwracałam na to większej uwagi. Jestem zbyt dosłowna. Zbyt analityczna. To jedyna cecha, która nas różniła. Weźmy choćby krzyżówki. On je uwielbiał, a ja nienawidzę. Jestem zbyt pedantyczna. Zawsze potrafię podać dziesięć powodów, dla których ta czy inna odpowiedź nie ma sensu. Krzyżówki doprowadzają mnie do szału.

Nie czekała, aż coś powiem. Po prostu odrzuciła koc. Leżeliśmy obok siebie, wdychając trochę świeższe powietrze. Potem położyła głowę na mojej piersi. I znieruchomiła, nie licząc tego, że przez jej plecy przebiegł lekki dreszcz. Objąłem ją i wtuliła twarz w moją szyję. Jej włosy pachniały lawendą. Zbita poduszka przestała mi nagle przeszkadzać. Cienki jak papier materac też. I twarda podłoga. Noc z Michaelą miała się nijak do tej spędzonej w kostnicy z porozcinanym trupem u boku. To na pewno. Choć z drugiej strony, cieszyłbym się znacznie bardziej, gdybyśmy byli zupełnie gdzie indziej.

- Reacher? - odezwała się jeszcze ciszej niż przedtem. - Na pewno wszystko dobrze się skończy?

- Absolutnie - odparłem. - Dobrze dla nas.

Jej ciało odprężyło się, oddech zwolnił i stał się głębszy. Ale choć próbowałem pójść w jej ślady, nie miałem tyle szczęścia. Przynajmniej nie od razu. W głowie roiło mi się od pytań. I wątpliwości. Co do Dendonckera. Szarady, w którą się bawiliśmy. Przeze mnie omal nie został porwany. Zabiłem kilku jego ludzi. Spaliłem jego zakład. Włamałem się do jego tajnej kwatery głównej. Powinien być zły. Urażony. Wściekły. Tymczasem potraktował mnie tak, jakbym starał się o pracę w sklepie z cukierkami. Coś mi ciągle umykało. Nie było innego wytłumaczenia. Nie wiedziałem tylko co.

Przecież bombę mogli przewieźć jego ludzie. Wierna ekipa, do której przydzielono Michaelę, kiedy zinfiltrowała jego szajkę. Z czymś tak prostym poradziłoby sobie bez najmniejszego trudu. Ale wybrał inną drogę. Odstąpił od zamierzonego planu. Dwa razy. Za pierwszym razem z Michaelą, kiedy wyznaczył go do przewiezienia bomby, chociaż Michael się w tym nie specjalizował. A teraz ze mną. Postawił na izolację. Bardzo nie chciał, żeby połączono z tym jego firmę. To było oczywiste. Oczywiste, lecz całkowicie sprzeczne z tym, że pomagał Michaelowi w zorganizowaniu zupełnie niewinnego protestu.

Coś musiało się za tym kryć. I na pewno się kryło. Na przykład to, że mógł się do niego zgłosić również ktoś inny. Ktoś, kto chciał wywołać zamęt w Dniu Kombatanta. Ktoś bogaty na tyle, żeby go do tego namówić. Albo ktoś z wielkim kijem, którym zapędził go do współpracy. Michael już pracował dla Dendonckera. Według informatora Michaeli jej

brat miał mu pomagać w sprzedaży min i bomb. I był wtedy w kiepskiej formie psychicznej. Dlatego Dendoncker mógł łatwo wmówić mu, że protest w Dniu Kombatanta to jego własny pomysł. Skutek? Michael zaprojektował zestawy z pociskami dymnymi. Zbudował je. I przetestował. A potem coś się stało. Czegoś się wystraszył. I poprosił siostrę o pomoc.

Nie znałem go. Nigdy go nie spotkałem. Ale trudno mi było wyobrazić sobie, żeby ktoś wycofał się nagle z przedsięwzięcia, nad którym tak intensywnie pracował. Chyba że coś się radykalnie zmieniło. Albo Michael od samego początku źle coś rozumiał czy zrobił złe założenie. Na przykład co do składników dymu. Może Dendoncker zamierzał w ostatniej chwili coś do nich dodać. On albo ten, kto mu płacił. Za szkołą był składzik pełen pocisków artyleryjskich. Około trzystu sztuk. Co najmniej. Niektóre mogły zawierać chemikalia. Niektóre albo wszystkie. Gaz musztardowy. Sarin. Wszelkiego rodzaju paskudztwa. Właśnie to Michael mógł odkryć. Właśnie to mogło go otrzeźwić. I koniec końców zabić.

Jeżeli miałem rację, Dendonckera i jego ludzi czekała pracowita noc. Musieli nie tylko przewieźć bombę tunelem i wytaszczyć ją na powierzchnię. Musieli ją odpowiednio spreparować. Napełnić trucizną, materiałem wybuchowym czy innym śmiertelnościanym ładunkiem. A wszystko to bez pomocy ich etatowego konstruktora. Ale obojętnie, co Dendoncker knuł, nie miało to znaczenia. Już nie. Nie po demonstracji, której byłem świadkiem. Bo zgodził się nie tylko przygotować kolejny zestaw do transportu. Obiecał mi również kluczyki do samochodu. Co znaczyło, że jedna trzecia jego pierwotnego arsenału wkrótce zniknie. I po dzisiejszym pokazie pozostanie jeszcze tylko jedna bomba. Zajmę się nią, kiedy Michaeli przestanie grozić niebezpieczeństwo.

• • •

Ostatecznie spałem pięć godzin i ponownie otworzyłem oczy o siódmej. Pół godziny później usłyszałem szcęk klucza w zamku. Otworzyły się drzwi. Na oścież. Michaela obudziła się gwałtownie i przetoczyła na swój materac. Zapaliło się światło. Do pokoju wszedł ten w jasnym garniturze i wymierzył w nas z uzi. Za nim gość w ciemnym garniturze, z dwiema tacami w rękach. Postawił je na podłodze między drzwiami do toalet. Na jednej i drugiej stał talerz z jakąś pomarańczową papką i kubek kawy.

– Pół godziny – rzucił ten z uzi. Niewyraźnie mówił. Pewnie wciąż miał kłopoty ze szczęką. – Bądźcie gotowi. Nie każcie nam czekać.

Wycofali się na korytarz i zamknęli drzwi na klucz. Podniosłem tace, Michaela zaciągnęła materac na łóżko, a potem usiedliśmy i wypiliśmy po łyku kawy. Była słaba i letnia, poza tym ktoś dodał mleka do obu kubków. Niezbyt obiecujący początek. Jeszcze gorzej było z jedzeniem. Okazało się, że pomarańczowa papka to fasola w sosie pomidorowym, skatowana na śmierć w mikrofalówce, a teraz zimna już i stężała. Michaela nie chciała jej tknąć, więc zjadłem obie porcje. Złota zasada. Jedz, kiedy tylko możesz.

Goryle wrócili po dwudziestu ośmiu minutach. Ja leżałem na materacu, udając, że śpię, a Michaela była w łazience.

– Wstawaj. – Ten w jasnym garniturze otworzył szeroko drzwi. – Idziemy.

Przeciągnąłem się, ziewnąłem, wstałem i ruszyłem w stronę wyjścia.

– Do zobaczenia za trzy dni! – zawołałem, mijając toalety.

Przodem szedł ten w ciemnym garniturze, z tyłu ten z uzi, więc znów byłem jak szynka w kanapce. Przeszliśmy przez podwójne drzwi. Przez oszklony korytarz. Przecięliśmy na skos stołówkę i znaleźliśmy się w kuchni.

Facet z uzi wskazał wyjście.

– Znasz drogę.

U stóp schodów czekał Mansour. Nic nie powiedział, tylko pokiwał na mnie palcem i wszedł do tunelu.

• • •

Szliśmy w milczeniu obok siebie. W stęchłym powietrzu, między szynami, co chwilę przecinając plamy żółtego światła. Wreszcie doszliśmy do dziury w podziemiach domu Dendonckera. W małym przedsionku było ciemniej niż w tunelu. Mansour wyprzedził mnie i nacisnął guzik na furtynie elektrycznie otwieranych drzwi. Mały guzik, coś jak przycisk dzwonka. Ożył silnik, drzwi drgnęły i obróciły się o dziewięćdziesiąt stopni. Weszliśmy do piwnicy. Mansour stanął przed chropowatą ścianą, machnął pękiem kluczy i kiedy drzwi zaczęły się zamykać, ruchem głowy wskazał drabinę. Wspiąłem się na górę, on za mną. Potem minął mnie, przeciął kuchnię i otworzył drzwi.

Na ulicy stała ciężarówka. Tam gdzie poprzedniego dnia parkowała Sonia. Zwyczajna, ani duża, ani mała. Ani błyszcząca czystością, ani brudna. Na bokach oklejona krajobrazami z parków narodowych. Dobry wybór. Ulicami krążyło takich tyle, że była praktycznie niewidzialna. Mansour wyjął z kieszeni telefon Sonii.

– Trzymaj. W pamięci ma zapisany numer. Zadzwonisz i pogadasz ze swoją znajomą. Nic jej się nie stanie. Na pewno nic złego. Pod warunkiem że dokładnie wypełnisz wszystkie polecenia.

44

Otworzyłem telefon, przewinałem menu i znalazłem numer. Był tylko jeden. Zadzwoiłem i po dwóch sygnałach odebrał jakiś mężczyzna. Nie znałem jego głosu.

– Co jest? Tak od razu?

– Daj mi Michaelę.

– Nie żartuj. Już?

– Powiedziano mi, że mogę dzwonić o każdej porze dnia i nocy. Czy aby na pewno rozumiemy to tak samo?

– Moment. Daj mi chwilę.

Usłyszałem chrobotanie krzesła przesuwanego po drewnianej podłodze. Potem kroki. Pięć kroków. Niespiesznych. Średniej długości. Otworzyły się drzwi. I znów kroki, tym razem osiem. Brzęk kluczy. I kolejne drzwi.

– Hej, telefon do Ciebie. Tylko nie gadaj za długo, dobra?

Te drzwi się nie zamknęły. Facet nie wyszedł. Pisk gumy na podłodze, kilka szybkich podskoków – przez pokój kuśtykała Michaela. Odezwała się dziesięć sekund później.

– Tak?

– Stęskniłaś się za mną?

– Powoli uczę się z tym żyć.

– Świetnie. Trzymaj się. Wkrótce znowu zadzwonię.

Rozłączyłem się i schowałem komórkę do kieszeni.

Mansour podał mi plik dwudziestodolarówek.

– Na jedzenie i paliwo. Pięćset dolarów. Jeszcze Ci zostanie. Hotele są już opłacone.

Pieniądze dołączyły do komórki.

Potem dał mi kartkę. Z instrukcjami. Ręcznie spisany. Wskazywały drogę do międzystanówki I-10, którą miałem pojechać na wschód, do motelu w pobliżu Big Spring w Teksasie.

– Pokój jest zarezerwowany na Twoje nazwisko – powiedział. – Rano dostaniesz faks z poleceniami na jutro. Nie wychylaj się. Unikaj kłopotów. I jeszcze jedno. Jeśli Cię jeszcze zobaczę...

– To co zrobisz? – Obszedłem ciężarówkę i podniosłem klapę. – Wypniesz tyłek, żebym znów mógł Cię skopać?

Na pace stała tylko jedna rzecz. Aluminiowy pojemnik. Na kółkach. Wyglądał jak ten, który widziałem w sali gimnastycznej, na prostokątnym fragmencie posadzki z napisem *W przygotowaniu*. Był tej samej wielkości. Metr na metr osiemdziesiąt. Różnił się tylko tym, że na dłuższych bokach miał czarny napis zrobiony za pomocą szablonu. PREMIER EVENT MANAGEMENT. Dotknąłem liter. Farba była sucha.

W prawym górnym rogu widniał rząd cyfr napisanych taką samą, tylko mniejszą czcionką. Sześć cyfr, łącznik i znów sześć cyfr. Numer seryjny. Albo inwentaryzacyjny.

W pojemniku spokojnie zmieściłby się zestaw z trzema pociskami artyleryjskimi. Z pewnością. Ale nie mogłem sprawdzić, co jest w środku. Pokrywa była zamknięta. Na kłódki. Na osiem ciężkich, błyszczących, nowiutkich kłódek. Pod pokrywą na bokach pojemnika wywiercono rząd otworów prawie czterocentymetrowej średnicy, a pojemnik przymocowano do podłogi pomarańczowymi pasami. Sześcioma. Grubymi i mocno ściągniętymi. Wyglądało na to, że sprawdzeniem jego zawartości będzie musiał zająć się ktoś inny.

– Ruszaj. – Mansour chodził nerwowo tam i z powrotem. – I pamiętaj. Jeżeli się zatrzymasz, będziemy o tym wiedzieli. Zboczysz z trasy, będziemy o tym wiedzieli. Zaczнеш grzebać przy ładunku, będziemy

o tym wiedzieli. Zrobisz coś nie tak i ktoś za to zapłaci. Ale nie Ty. Ta kobieta. Osobiście tego dopilnuję. Wszystko nagram i wyślę Ci film.

Zastanawiałem się, ile ten typ jest wart dla Dendonckera. I jak Dendoncker by zareagował, gdybym dokończył to, co zacząłem poprzedniego dnia. Kusiło mnie, żeby się o tym przekonać. I to bardzo. Ale nie, postanowiłem dać mu spokój. Tymczasem. Michaela została za linią wroga i nie było sensu jej narażać. Poza tym kto umie czekać, ten się doczeka.

Opuściłem i zablokowałem klapę.

– W takim razie przyjmij do wiadomości dwie rzeczy – powiedziałem. – Po pierwsze, lubię zatrzymywać się na kawę. I często się zatrzymuję. To nie podlega negocjacji. Po drugie, zrobię objazd. Krótki. Zajrzę na ulicę po drugiej stronie domu. Wczoraj tam zaparkowałem. I chcę wziąć coś z samochodu.

– Co?

– Walizkę mojej znajomej.

– Po co Ci jej walizka?

– Mnie po nic. Ale jej się przyda. Kiedy dostarczę przesyłkę i Dendoncker ją wypuści, chcemy się spotkać.

Mansour zmarszczył czoło. Intensywnie myślał. Miał kłopot. Nie mógł przyznać, że Dendoncker nie zamierza jej wypuścić, bo nigdzie bym nie pojechał.

– Na tę równoległą do tej? – spytał w końcu.

– Właśnie.

Podszedł do drzwi od strony pasażera.

– Dobrze. Pojadę z Tobą.

Fotel kierowcy był już maksymalnie odsunięty. Lusterka dobrze ustawione. Deska rozdzielcza łatwa do ogarnięcia. Świetnie. Odpaliłem silnik i ruszyłem. Bez kłopotów skręciłem w pierwszą ulicę. Potem w drugą i trzecią. Dojechałem do jej końca. Dałem kilka razy do przodu i do tyłu i wreszcie jakoś zawróciłem. Stałem za chevroletem i wysiadłem. Nie miałem kluczyków – Dendoncker mi ich nie oddał – więc nie mogłem otworzyć bagażnika. Otworzyłem drzwi od strony pasażera

i pociągnąłem za wajchę. Mansour podniósł klapę i zanim do niego podszedłem, zdążył już otworzyć walizkę. Grzebał w niej przez chwilę, rozgarniając i rozrzucając pedantycznie poukładane rzeczy, ale szybko doszedł do wniosku, że nie ma wśród nich nic, co powinno go zaniepokoić. Czyli nic, czym mógłbym rozbroić bombę i popsuć im szyki. Na wszelki wypadek przesunął palcami po zewnętrznych brzegach walizki, po czym zamknął ją, wyjął z bagażnika i postawił na chodniku.

– W porządku. Możesz ją zabrać. Bierz i ruszaj.

Otworzyłem tylne drzwi.

– Jeszcze coś – rzuciłem. – Będzie tego potrzebowała. – Wyjąłem z samochodu plecak, który wziąłem z lincolna po zderzeniu z zaporą graniczną.

– Chwila. – Mansour zmarszczył czoło. – Co tam jest?

– Tylko to. – Wyjąłem z plecaka protezę i podetknąłem mu ją pod nos. – Trudno jej bez tego chodzić.

Odskoczył do tyłu.

– Dobrze, dobrze. A teraz wsiadaj i ruszaj.

Michaela miała rację, mówiąc, że ludzie boją się wszystkiego, co kojarzy im się z ranami i obrażeniami. Mansour bał się na pewno. Tak bardzo, że nie sprawdził, czy w plecaku jest tylko proteza.

• • •

Wszedł do domu, a ja wsiadłem do ciężarówki i pojechałem. Wskazówki Dendonckera wyprowadziły mnie z labiryntu przedmiejskich uliczek na długą, prostą drogę biegnącą obok Drzewa. Miejsca, gdzie spotkałem Michaelę. Tego dnia nikt się tam na nikogo nie zasadził. W ogóle nikogo nie było. Ani żywego, ani martwego.

Jechałem równo i powoli, jak emeryt na cotygodniowej przejażdżce zabytkowym samochodem. Pamiętałem o leżącym na pace ładunku. Nie chciałem, żeby wybuchł, kiedy podskoczę na wyboju. Nie chciałem też, żeby zatrzymała mnie policja. W tych okolicach było pewnie niewiele

patroli, ale w tyłek gryzie Cię najczęściej to, czego się najmniej spodziewasz.

Cały czas spoglądałem w lusterka. Sprawdzałem, czy nikt mnie nie śledzi. Nikogo nie widziałem. Ani czarnych lincolnów. Ani rozklekotanych jeepów. Więc spoglądałem też w niebo. Wypatrując małych samolotów. Śmigłowców. Czy dronów. W górze jednak też niczego nie wypatrzyłem. Co przyjąłem bez zaskoczenia. Mansour powiedział, że będą mnie obserwowali. Ale bardziej prawdopodobne było to, że zainstalowali w bombie jakiś chip. Albo w ciężarówce. Albo w jednym i drugim. I dobrze. Wiedziałem, że zupełnie mi to nie zaszkodzi. Co więcej, bardzo na to liczyłem.

Wąskie drogi prowadziły mnie przez pustynny krajobraz przez czterdzieści minut, a potem wjechałem na autostradę. Ruch był niewielki. Zwolniłem do niecałych dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Regularnie zerkąłem w lusterka. Spoglądałem w niebo. Nikt nie siedział mi na ogonie. Po dwudziestu minutach jazdy zobaczyłem postój dla ciężarówek. Skręciłem i zatankowałem. Kiedy poszedłem zapłacić, kupiłem kubek kawy na wynos. Tym razem gorącej. I bez mleka. Poprosiłem sprzedawcę o drobne do telefonu. Facet spojrział na mnie tak, jakbym spytał, czy mogę umówić się z jego matką. Miał dwadzieścia kilka lat. Chyba nieczęsto słyszał taką prośbę. Być może nigdy.

Na stacji były dwa automaty telefoniczne. Obydwa na zewnątrz, pod kopulastymi daszkami z przezroczystego plastiku. Może po to, żeby ochronić rozmawiającego przed pogodą. Albo zapewnić mu prywatność. Tak czy inaczej, mało mnie to obchodziło. Nie było zbyt gorąco. Nie padało. A w pobliżu nie zauważyłem nikogo, kto mógłby mnie podsłuchać.

Wszedłem pod najbliższy daszek. Na ścianie roiło się od kartoników i kawałków papieru wielkości wizytówki. Reklamujących głównie usługi pań do towarzystwa. W większości subtelnych, choć nie tylko. Podniosłem słuchawkę i wybrałem numer Wallworka. I nic. Głucha cisza. Telefon był zepsuty. Przeszedłem do drugiego. Tym razem miałem szczęście, bo ten działał. Znów wystukałem numer i Wallwork odebrał po drugim sygnale.

– Przykro mi, Reacher. Te plany, o które pan pytał. Systemu kanałów burzowych. Próbowałem, ale nic nie znalazłem.

– Nie szkodzi. Faza zbierania materiałów już się skończyła.

Opowiedziałem mu pokrótce, jak wszedłem w posiadanie ciężarówki i jej ładunku. Poinformowałem go, dokąd jadę.

– Będę tam około dwudziestej pierwszej lokalnego czasu. Da pan radę przyjechać?

Wallwork milczał przez chwilę.

– Nie wiem. Musiałbym pociągnąć za kilka sznurków. Ale żeby zabezpieczyć bombę? Jasne. Coś wymyślę.

– Przyleci pan samolotem?

– Inaczej się nie da. Jestem w samym środku Tennessee. Za daleko, żeby zdążyć do Teksasu samochodem.

– Dobrze. Kiedy wylądujecie, niech pan powie pilotowi, żeby zaczekał. I zatankował. Do pełna.

– Po co?

– Żeby mnie gdzieś podrzucić.

– Nie da rady. Jest pan cywilem. Biuro to nie firma taksówkowa.

– Nie potrzebuję taksówki. Muszę dotrzeć do tej kobiety, zanim Dendoncker ją zabije.

Wallwork nie odpowiedział.

– Poza tym chcę go dopaść. Dendonckera. Chyba że woli pan, żeby zwiął.

– Może i bym coś wymyślił – powiedział agent po długiej chwili milczenia. – Ale pod jednym warunkiem. Przekaze go pan nam. Żywego.

– Rozumiem. Jeszcze dwie sprawy. Ciężarówkę zabierzecie dopiero rano. To kluczowa sprawa. I przywiezie mi pan kilka rzeczy. Konkretnie pięć.

• • •

Wallwork zapisał to, co mu podyktowałem, i rozłączył się. Wziąłem dolewkę kawy, wsiałem do szoferki i wyruszyłem w dalszą drogę. Ciężarówka nie była szybka. Ani elegancka. Lecz zaskakująco relaksująca w prowadzeniu. Robiła po prostu to, do czego ją stworzono. Godzina za godziną pożerała kilometry, bez zbędnego zamieszania i dramatyzmu. Tak więc jechałem gładko i spokojnie. Arizona przeszła w Nowy Meksyk. Nowy Meksyk w Teksas. Przede mną ciągnęła się wstęga asfaltu. Wydawało się, że w nieskończoność. Na dole asfalt, a na górze bezkresne niebo. Niemal zupełnie czyste, nie licząc przemykających tu i ówdzie rzadkich chmur. Otaczał mnie szarozielony ocean pustynnej roślinności. Miejscami płaski. Miejscami rozfalowany. A czasem na horyzoncie wyrastały wyszczerbione szczyty. Nigdy się do mnie nie zbliżały ani nie oddalały.

Ilekcio strzałka wskaźnika spadała poniżej połowy baku, zajeżdżałem na stację benzynową i tankowałem. Zawsze sprawdzałem, czy nikt się mną za bardzo nie interesuje. Lecz ani razu nikogo takiego nie zauważyłem. Dzwoniłem też do Michaeli, o różnych godzinach. Zawsze odbierał ten sam facet. I wszystko się powtarzało. Szurano odsuwane krzesło. Gość robił pięć kroków. Otwierał drzwi. Robił osiem kroków. Otwierał drzwi do jej pokoju. Pewnie dyżurował w pomieszczeniu obok. Tym na końcu korytarza. Jedyńm, którego nie widziałem. Jeszcze.

Dojechałem na miejsce pięć po dziewiątej wieczorem. Motel stał na skraju rzędu czterech identycznych, z tym że na moim wisiał szyld mówiący, do jakiej należy sieci. Był prostokątny. Jednopiętrowy. Miał małe okna i płaski dach. Recepcja mieściła się na końcu. Na drugim końcu, za kępą patykowatych krzaków, ukryto klimatyzatory. Wzdłuż całej ściany ciągnęły się miejsca parkingowe, a między budynkiem pierwszego i drugiego motelu zbudowano parking rezerwowy. Był pusty, więc stanąłem na końcu ostatniego rzędu. Wysiadłem, przeciągnąłem się, sprawdziłem, czy ciężarówka jest zamknięta, i poszedłem do recepcji.

Za ladą siedziała kobieta. Długo mnie nie zauważała. Była za bardzo pochłonięta książką. Od pełnej skupienia lektury oderwał ją dopiero dzwonek telefonu, skomplikowanego urządzenia nafaszerowanego guzikami i światełkami. Wyciągnęła rękę, żeby podnieść słuchawkę, dostrzegła mnie i znieruchomiała.

– Niech zadzwonią później – rzuciła z uśmiechem. – Albo zostawią wiadomość. Przepraszam, że musiał pan czekać. Czym mogę służyć?

– Mam tu rezerwację. Na nazwisko Reacher.

Obudziła komputer i zastukała w klawiaturę.

– Tak, oczywiście. Pokój zarezerwowano online. Jest już opłacony. Tylko na jedną noc?

Kiwnąłem głową.

– Mogę prosić o jakiś dokument tożsamości?

Podąłem jej paszport.

Przerzuciła pierwszą kartkę i zmarszczyła brwi.

– Jest nieważny.

– Fakt. Za granicę z nim nie wyjadę. Ale wciąż potwierdza moją tożsamość.

– Nie jestem pewna, czy...

Wskazałem komputer.

– Jeśli mi pani nie wierzy, proszę wejść do internetu. I sprawdzić na stronach rządowych.

Jej ręka zawisła nad klawiaturą. Nie uwierzyła mi. Oczywiście, że nie. Mogła mi szybko udowodnić, że kłamię, zastanawiała się tylko nad konsekwencjami. Nad papierkową robotą związaną ze zwrotem opłaty za pokój. Nad tym, że musiałaby tłumaczyć się przed szefem, wyjaśnić mu, dlaczego odprawiła klienta. Nad wpływem, jaki miałyby to na hotelowe statystyki.

– Nie ma takiej potrzeby – powiedziała. – Na pewno ma pan rację. – Zwróciła mi paszport. – Ile kluczy pan sobie życzy?

– Tylko jeden.

Otworzyła szufladę i wyjęła kawałek plastiku wielkości karty kredytowej. Wsunęła go do stojącej na biurku maszyny i znów zastukała w klawiaturę. Małe czerwone światełko zgasło i zapaliło się zielone. Recepcjonistka wyjęła kartę.

– Proszę. Pokój dwieście dwadzieścia dwa. Czy mam panu zapisać ten numer?

– Nie trzeba.

– Dobrze. Śniadanie podajemy w barze w holu, od szóstej do ósmej. Jeśli będzie pan miał jakieś pytania, proszę wybrać zero na telefonie w pokoju. Mam nadzieję, że miło spędzi pan u nas czas i odwiedzi nas ponownie.

Ona wróciła do lektury, a ja do ciężarówki. Usiadłem na tylnym zde-rzaku, oparłem głowę o klapę, zamknąłem oczy i poczułem powiew chłodnego wiatru na twarzy. Minęło dziesięć minut. Minął kwadrans. Wtedy usłyszałem narastający warkot silnika. Kilku silników. Podnio-słem głowę i zobaczyłem rząd srebrzystych samochodów. Pięciu. Iden-tycznych. Chryslerów 300. Ten jadący na czele skręcił na parking. Pozo-stałe skręciły za nim, rozdzieliły się i zatrzymały rzędem przed cięża-rówką. Z pierwszego wysiadł kierowca. Wallwork. Szybko podszedł do mnie, podał mi plastikową reklamówkę i uściśnął rękę.

– Miło pana widzieć, Reacher. – Ruchem głowy wskazał ciężarówkę.
– To jest tam? W środku?

– Zgodnie z obietnicą.

– Świetna robota. – Spojrzał na mężczyzn czekających w samocho-dzie stojącym obok jego wozu i pokazał im uniesiony kciuk. – Dziękuję. Teraz zajmujemy się tym my.

Otworzyłem drzwi, zabrałem plecak i dałem mu kluczyki.

– W szoferce została walizka. Michaeli Fenton. Zaopiekuje się pan nią do jutra?

– Oczywiście. – Wallwork wziął mnie za łokieć i odprowadził na bok, z dala od samochodów. – Niech pan posłucha. – Zniżył głos. – Myślę, że możemy sobie zaufać, więc będę z panem całkowicie szczery. Po naszej

rozmowie zadzwoniłem do mojego dawnego opiekuna. Tego, który pracuje teraz w TEDAC. Już tu jedzie. My zabezpieczymy teren, a on obejrzy bombę. Tu, na miejscu. Wiem, powiedziałem, że do jutra jej nie tkniemy, ale jeśli facet stwierdzi, że miejscowym grozi jakieś niebezpieczeństwo, będę musiał złamać obietnicę.

Milczałem.

– Reacher, niech pan tylko pomyśli. Co będzie, jeśli ta bomba wybuchnie? Jeśli skazi atmosferę toksycznym gazem. Albo jest radioaktywna. Na jednej szali leży to. A na drugiej życie kobiety, która wpadła w tarapaty. I której może pan nie uratować bez względu na to, jak długo będziemy czekać.

– Wykluczone. – Pilot spojrział na miejsce na mapie, które mu pokazywałem, i pokręcił głową. – Nie. Odmawiam. Nie mogę tam polecieć. Nie mogę naruszyć meksykańskiej przestrzeni powietrznej. Nie bez oficjalnego upoważnienia. Nie ma mowy. W żadnym wypadku. Rozumie pan?

Byłem zaskoczony. I trochę zawiedziony. Ale nie zbity z tropu. Dlatego uznałem, że nie ma potrzeby mu odpowiadać.

Obserwowało nas dwóch mechaników. I agent, który podrzucił mnie na lotnisko. Stali na tyle daleko, żeby pilot nie bał się mnie zrugać. I na tyle blisko, żeby słyszeć, co mówi. Mechanicy oglądali coś na ekranie płaskiego komputera bez klawiatury. Agent stukał w ekran telefonu. Wszyscy trzej byli teatralnie skupieni. Wszyscy trzej udawali, że nas nie widzą. Ale wszyscy trzej słyszeli każde słowo. Pewnie bawiła ich ta konfrontacja. Pilot zachowywał się agresywnie. Moim zdaniem zupełnie niepotrzebnie. Tamci też to zauważyli. Czekali na dalszy rozwój wypadków. Ciekawiło ich, czy zadowolili się napaścią słowną. Czy też będzie dążył do eskalacji konfliktu. Do rozstrzygnięcia siłowego. Co ubarwiłoby im wieczór.

– Podrzucę pana tak blisko, jak pan chce – ciągnął. – Do samej granicy. Ale po amerykańskiej stronie. Nie zamierzam nielegalnie jej przekraczać. Dlatego niech pan więcej mnie o to nie prosi. Czy wyrażam się jasno?

– Jak najbardziej – odparłem. – W takim razie Los Gemelos. Po amerykańskiej stronie. Ruszajmy. Byle szybko.

Obmyślając ten plan, założyłem, że zdążę go zrealizować do ósmej rano. Może do dziewiątej. Miałbym mnóstwo czasu. Ale gdyby Wallwork zaczął grzebać przy bombie przed nastaniem dnia, Dendoncker by się o tym dowiedział. Na sto procent. Odkryłby tym samym, że go oszukałem. Dla mnie nie stanowiłoby to żadnego problemu. Ale dla Michaeli byłby to wyrok śmierci. Dlatego nie miałem ani sekundy do stracenia.

Mechanicy przestali gapić się na ekran komputera i odeszli w stronę jedyne go hangaru z otwartymi drzwiami. Agent schował komórkę i wsiadł do srebrzystego chryslera. Natomiast pilot wszedł do kokpitu helikoptera. Maszyna miała znajomą sylwetkę. Był to Sikorsky UH-60M. Cywilna wersja wojskowego Black Hawka. Z mnóstwem anten. I z kołami zamiast płóz. Nie czarny i błyszczący, tylko matowozielony. Smukły i złowrogi. Jak drapieżnik, a nie jak koń roboczy. Na ogonie miał numer identyfikacyjny, lecz bez oznakowań, które wskazywałyby, do jakiej agencji należy. Na tylnej części kadłuba widniał jedynie sporządzony szarymi literami dyskretny napis UNITED STATES. Wrzuciłem plecak do kabiny, wsiadłem, zasunąłem drzwi, przypiąłem się pasem do tylnego fotela i włożyłem słuchawki.

Pilot zakończył procedury przedstartowe i kiedy ruszyły wirniki, maszyna uniosła się na podwoziu, rwąc się do lotu. W słuchawkach odezwał się jego głos:

– Przepraszam za to małe przedstawienie. Chodziło mi o to, żeby tamci zapamiętali, że nie chciałem przekraczać granicy. Na wszelki wypadek.

– Na przykład jaki?

– Choćby taki, że pana złapią. Dlatego zrobimy inaczej. Podejmę próbę lądowania przy samej zaporze, tak jak powiedziałem. Ale będziemy na pustyni. Wiatr jest nieprzewidywalny. I w ostatniej chwili zniesie nas z kursu. Na południe. Tylko kilka metrów. Występują tam bardzo chaotyczne prądy termiczne, więc gwałtownie opadniemy. Do wysokości

niecałego metra. Wtedy odzyskam panowanie nad sterami i zawiśnięmy. Na kilka sekund. Nie złamię prawa, bo koła w ogóle nie dotkną meksykańskiej ziemi. Ale jeśli bez mojej zgody czy wiedzy wykorzysta pan sytuację i wyskoczy, nie będę mógł nic na to poradzić.

– To wypali?

– Jasne. Zawsze tak robimy.

• • •

Droga z meksykańskiej szkoły Dendonckera do motelu pod Big Spring zajęła mi nieco ponad dwanaście godzin, wliczając w to wędrówkę tunelem. A droga powrotna, łącznie z trzykilometrową wędrówką ze strefy nielegalnego lądowania, tylko niecałe pięć. Lot przebiegł spokojnie. Pilot wiedział, co robi. Leciał gładko i prosto. Udało mi się nawet zdrzemnąć, mimo pulsującego dudnienia wirników, łoskotu silnika i grzechotania luźno przymocowanych elementów wyposażenia kabiny.

Pilot był dobrym aktorem, w dodatku zwolennikiem metody Stanisławskiego, bo obudziłem się, kiedy naprawdę opadliśmy sześć metrów w dół. Na ten oczywisty znak rozpiąłem pas, zdjąłem słuchawki i otworzyłem drzwi. Kabinę wypełnił hałas, a silny prąd zstępujący omal nie wyssał mnie na zewnątrz. Nie widziałem ziemi. Facet powiedział, że niecały metr. Perspektywa skoku w ciemność nie była zbyt zachęcająca bez względu na to, jaka odległość dzieliła mnie od stałego gruntu. Poczuję, że helikopter zaczyna się wznosić. Miałem coraz mniej czasu. Zrobiłem krok do przodu i moje stopy dotknęły ziemi. Kucnąłem i czekałem, aż ryk silnika i wiatru przesunie się nieco dalej.

Wyjąłem telefon. Nic. Wallwork milczał. A więc ciężarówka wciąż stała tam, gdzie ją zaparkowałem.

Jeszcze.

Wyjąłem z plecaka czarną bluzę z kapturem, pierwszą rzecz z listy, którą przekazałem mu przez telefon. Włożyłem ją. Częściowo po to, żeby się lepiej zamaskować. A częściowo dlatego, że od pustyni ciągnęło

nocnym chłodem. I ruszyłem. Szedłem szybko. Lecz ostrożnie. Po piasku, żwirze i kamykach trudno było przemieszczać się cicho. Wokoło panowała zupełna ciemność. A teren był nierówny, pełen dziur, szczelin i pęknięć. To się wznosił, to opadał, zupełnie nieprzewidywalnie. Idąc przez coś takiego, człowiek aż się prosił o skręcenie kostki. No i nie wiedziałem, jakie czai się tam towarzystwo. Węże. Skorpiony. Pająki. Nie miałem ochoty nawiązywać z nimi bliższej znajomości.

Nadchodziłem z zachodu, więc poświatę wiszącą nad amerykańską połową miasta miałem po lewej stronie. Szedłem, dopóki nie znalazłem się w zasięgu kamer na zewnętrznym ogrodzeniu szkoły. Wtedy przystanąłem. Nie chciałem bardziej ryzykować. Budynek tonął w ciemności. Obie połowy. I najbliższe otoczenie. Wszystko oprócz oszklonego korytarza, który zalewało jaskrawe światło. Nie było sposobu, żeby podejść tam niezauważenie. Ani innej drogi do wewnętrznej kryjówki Dendonckera.

Sprawdziłem telefon. Wallwork milczał.

Na razie.

Za pięć drugą. W normalnych okolicznościach wolałbym poszukać jakiegoś schronienia i przywarować na parę godzin. Zaatakować o czwartej nad ranem. Jak agenci KGB. Bo o czwartej ludzie są najbardziej bezbronni. Psychologicznie. Do takiego wniosku doszli ich naukowcy. Na podstawie licznych danych. Ale tej nocy nie stać mnie było na luksus czekania. Wstrzymywania się do chwili, aż warunki będą idealne. Za dwie godziny facet z TEDAC mógł kazać przewieźć bombę. Za dwie godziny Michaeli mogło zabraknąć szczęścia.

Wyjąłem telefon i wybrałem numer.

Odebrał ten co zwykle.

– Nie – warknął zachrypniętym od snu głosem.

– Jeszcze o nic nie poprosiłem.

– Chcesz z nią pogadać. Znowu.

– Zgadłeś. Daj mi ją.

– Nie.

– Daj. Mi. Ją.

– Zwariowałeś? Cholera jasna, jest środek nocy! Idź spać. Zadzwoń rano.

– O każdej porze dnia i nocy. Pamiętasz? Czy w ciągu ostatniej doby definicja tego określenia uległa zmianie? A może obudzę Dendonckera i poproszę jego?

Gość mruknął, stęknął i coś zaszeleściło. Pewnie odrzucił koc czy kołdrę. Potem zrobił kilka kroków. Tym razem siedem. Nie pięć, tylko siedem. Otworzył drzwi.

Ruszyłem. Podszedłem do ogrodzenia. Przystanąłem u stóp najbliższego słupa z zamontowaną na szczycie kamerą i położyłem plecak na ziemi.

Tamten wciąż szedł korytarzem. Zrobił jeszcze osiem kroków. Otworzył drzwi do pokoju Michaeli i krzyknął, że znowu ma telefon. Odezwała się po dłuższej chwili.

– Reacher? Dlaczego nie śpisz? Coś się stało?

– Nie, nic – odparłem. – Musisz coś zrobić. To bardzo ważne. Za chwilę odłożę telefon, ale się nie rozłączę. A Ty będziesz mówiła dalej, jakbyśmy wciąż rozmawiali. Wróć błyskawicznie. Dasz radę?

– Jasne. Chyba dam. Ale po co?

– Spokojnie. Wkrótce wszystko się wyjaśni.

Położyłem telefon na plecaku i zacząłem wspinać się na słup. Bez trudu przytrzymałem się go rękami, bo z obu stron przymocowano go drutem do ogrodzenia. Ale ze stopami było dużo gorzej. Romboidalne oka w siatce okazały się za małe. A czubki moich butów za szerokie. Tylko odrobinę, ale to wystarczyło, żebym miał problem. Kiedy wbiłem w oko czubek prawego, natychmiast się z niego wyślizgnął. Spróbowałem jeszcze raz. I wyślizgnął się ponownie. Po chwili odkryłem, że jeśli wepchnę go naprawdę mocno i ustawię stopę pod ostrym kątem, zapewnię sobie względnie dobre podparcie. Powtórzyłem to ze stopą lewej nogi. Potem znów podniosłem prawą. I tak na zmianę. Poskutkowało. Nie spadłem. Tylko że wspinałem się bardzo powoli. Nieznośnie powoli. Tracąc cenne sekundy. Nie miałem pojęcia, jak długo Michaeli uda się pociągnąć sztuczkę z telefonem. Z drugiej strony, jeśli myliłem się co do faceta, który go jej przyniósł, mogło już być za późno.

Wspinałem się, aż dotknąłem piersią wierzchu ogrodzenia. Od dźwignania ciężaru ciała pod dziwnym kątem bolały mnie łydki. Przytrzymałem się siatki lewą ręką i wyciągnąłem przed siebie prawą. Chwyciłem za kamerę i spróbowałem ją obrócić. W lewo, przeciwnie do ruchu wskazówek zegara. Ani drgnęła, jak zablokowana. Szarpnąłem i prawa stopa wyślizgnęła się z oka siatki. Za nią lewa i zawisłem na lewej ręce. Prawą złapałem za wierzch ogrodzenia. Wbiłem w nie obie stopy, wyprostowałem się i znowu chwyciłem za kamerę. Spróbowałem prze-

kręcić ją jeszcze raz. Tym razem drgnęła. Obróciła się. Tylko odrobinę, ale na pewno się obróciła.

Naparłem mocniej. Przesunęła się o trzy milimetry. Potem o kolejne trzy. Walczyłem z nią, aż wykonała dwudziestostopniowy obrót. Wtedy zszedłem na dół. Powoli. Żeby nie spaść. Podniosłem telefon, przytknąłem go do ucha i usłyszałem głos Michaeli. Opowiadała jakąś anegdotę. O swojej ciotce, słoiku marmolady i agencji TSA. Przesunąłem się w lewo, na środek segmentu siatki, i położyłem na ziemi plecak i komórkę. Stałem przed sąsiednim słupem. I znów zacząłem się wspinać. Szło mi tak jak wcześniej. Niezdarnie. Zanim dotarłem na szczyt siatki, dwa razy ześlizgnęła mi się prawa noga. Lewa tylko raz. W końcu chwyciłem za kamerę i przekręciłem ją. Z tą poszło dużo łatwiej, więc obróciłem ją o dwadzieścia stopni w prawo, zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Potem zszedłem na dół i podniosłem komórkę. I nic nie usłyszałem. Ani głosu Michaeli, ani pilnującego jej faceta. W telefonie panowała głucha cisza.

Schowałem go do kieszeni i wyteżyłem słuch, chcąc sprawdzić, czy z budynku nie dochodzą jakieś odgłosy. Być może facet poznał, że Michaela udaje. Być może miał dość czekania, zabrał jej telefon i poszedł spać. Ważniejsze było jednak kiedy. Jak długo wracał do swojego pokoju? Jeżeli zdążył, zanim skończyłem przestawiać kamery, lada chwila powinienem usłyszeć ich kroki. Prawdopodobnie tych z uzi. Zajęliby pozycje i włączyli reflektory, a w ich świetle moja zupełnie odsłonięta sylwetka byłaby jak tarcza na pustynnej strzelnicy. Przykucnąłem i napiąłem mięśnie, gotów do ucieczki.

Ale nic się nie wydarzyło.

Sprawdziłem telefon. Wallwork milczał.

Na razie.

Jeśli nie pomyliłem się w szacunkach, powinienem być w martwej strefie między obróconymi kamerami. Pod warunkiem że nikt nie patrzył na ekrany monitorów, kiedy je przekręcałem. Jeśli nie, to nie dostrzegli drobnej różnicy w obrazie pustyni, jaki teraz przekazywały.

Wciąż siedząc w kucki, wyjąłem z plecaka drugą rzecz z mojej listy dla Wallworka. Nożyce do prętów. Wyciąłem kawałek siatki. Kwadratowy, nieco szerszy od moich ramion. Ale nie przeczołgałem się na drugą stronę. Nie od razu. Położyłem się i uważnie przyjrzałem ziemi między zewnętrznym i wewnętrznym ogrodzeniem. Chciałem sprawdzić, czy jest płaska. Czy nie ma na niej charakterystycznych wybrzuszeń. Denoncker sprzedawał miny lądowe. Gdyby zatrzymał kilka dla siebie, byłoby to idealne miejsce do ich wykorzystania.

Werdykt okazał się niejednoznaczny. Ziemia nie była płaska. Wprost przeciwnie. Ale nie wypatrzyłem niczego, co wskazywałoby, że wybrzuszenia nie są naturalne. Czy przypadkowe. Bo mogły być dziełem wiatru. Albo deszczu. Albo robotników stawiających ogrodzenia. Dlatego wyjąłem z plecaka trzecią rzecz z listy dla Wallworka. Nóż. O długim, szerokim ostrzu. Dwadzieścia pięć na dwa i pół centymetra w najszerszym miejscu. Wsunąłem w piach czubek i przesunąłem go do przodu. Powoli. Ostrożnie. Trzymałem nóż niemal zupełnie na płask, żeby żadna część klingi nie zagłębiła się więcej niż na dwa i pół centymetra. Niczego nie wymacałem, więc wyciągnąłem ją z piasku i powtórzyłem wszystko piętnaście centymetrów dalej, z podobnym rezultatem. W ten sposób sprawdziłem odcinek o szerokości sześćdziesięciu centymetrów i wiedząc, że nic mi nie grozi, podczołgałem się do przodu, ukląknąłem przed ostatnim rzędem zrobionych przeze mnie dziur i zacząłem sondować kolejny fragment terenu.

Była to bardzo czasochłonna procedura. Posuwałem się do przodu z prędkością trzydziestu centymetrów na minutę. Piętnaście tysięcy razy wolniej niż helikopterem. W każdej chwili mogła nadejść wiadomość od Wallworka. Byłem na ziemi niczyjej, zupełnie odsłonięty. Na łasce i niełasce tych, którzy wyszliby na patrol. Dobrze chociaż, że nie natrafiłem na miny. Zaczynałem już myśleć, że przesadzam z ostrożnością. Tak czy inaczej, pokonałem trzy metry. Zostało jeszcze cztery i pół. I wtedy dotknąłem czegoś czubkiem noża. Czegoś twardego. Metalowego. Zamarłem. Wstrzymałem oddech. Powolutku zacząłem cofać rękę.

Najbardziej krytyczne byłyby pierwsze milimetry. Chwila, kiedy czubek noża traci kontakt ze skorupą miny. Gdyby rzeczywiście była to mina.

Jeśli nawet była, to nie wybuchła. Co nie znaczyło, że wyszedłem już na prostą. Musiałem jeszcze wyciągnąć resztę ostrza. Ziemia doskonale przewodzi wibracje. Najbliższy ruch mógłby okazać się moim ostatnim.

Ale nic się nie stało.

Wziąłem oddech i spróbowałem trzydzieści centymetrów w prawo. Od tej chwili poruszałem się jeszcze wolniej. Znalazłem kolejne trzy potencjalne miny, lecz dotarłem do siatki w jednym kawałku. Wyciąłem w niej dziurę. Przeczółgałem się na drugą stronę, podbiegłem do ściany na tyłach połowy budynku należącej do Dendonckera i stanąłem pod zabitym oknem pokoju Michaeli. Wątpiłem, żeby ktoś z nią tam był, a onanie podniosłaby raczej alarmu, gdyby mnie usłyszała. Wyjąłem z plecaka czwartą rzecz od Wallworka. Hak. Miał cztery pokryte gumą zęby i był przymocowany do siedmioipółmetrowej liny. Cofnąłem się, ująłem ją metr poniżej haka, kilka razy zakręciłem nim w powietrzu, żeby zobaczyć, jak lata, a potem rzuciłem do góry. Hak pokonał szczyt ściany, zniknął i sekundę później huknął w dach. Pociągnąłem za linę. Delikatnie. Przesunąłem go powoli w stronę ściany. Ostrożnie. Powolutku. Był coraz bliżej krawędzi. Aż o coś zahaczył. Pociągnąłem mocniej. Trzymał. Więc zacząłem się wspinać. Ręce na linie, stopy płasko na ścianie. Jakbym spuszczał się po linie, tyle że w przeciwnym kierunku. Dotarłem na szczyt, wszedłem na dach i zwinąłem linę. Ruszyłem przed siebie, w stronę oszklonego korytarza łączącego obie połowy budynku.

Siedzieli tam Ci z uzi. Obaj. Co pewnie znaczyło, że Dendoncker jest u siebie. Liczyłem na to, że są jak flaga królowej Anglii, która powiewa wszędzie tam, gdzie Jej Wysokość aktualnie przebywa. Nie ma to jak wydajność. Upiec dwie pieczenie na jednym ogniu to coś w sam raz dla mnie.

Przez szklany dach widziałem ich głowy. Siedzieli na stołkach, opierając się o podwójne drzwi. Zupełnie nieruchomo. Jakby byli zmęczeni albo w jakimś transie. Albo, jeśli mi się poszczęściło, zasnęli na służbie. W plecaku miałem pistolet. Nawet dwa. Beretty zdobyte w hotelu Border Inn. Najwygodniej by było po prostu ich zastrzelić. Ale taka strategia niosła ze sobą duże ryzyko. Chroniła ich tafla przemysłowego szkła. Grubego. Wytrzymałego. Pierwsza kula najpewniej by ją przebiła. Ale zmieniłaby trajektorię lotu. I niemal na pewno chybiła. Straciłbym element zaskoczenia. Ujawniłbym tylko swoją obecność, nic więcej. Mimo to prawdopodobnie zdążyłbym któregoś zlikwidować. Jednego. Ale ten drugi zlikwidowałby mnie. Co raczej mi się nie podobało. Dlatego wyjąłem z plecaka ostatnią rzecz, którą przygotował dla mnie Wallwork. Małe nożyce do drutu. Chwyciłem zębami rączkę, zszedłem na szklany dach i znieruchomiałem. Spojrzałem w dół. Tamci się nie poruszyli, więc centymetr po centymetrze zacząłem przesuwać się dalej. Aż dotarłem do wywietrznika. Przeciąłem nożycami brzeg gęstej siatki przeciw owadom. Jeszcze raz zerknąłem w dół. Wyjąłem maskę z plecaka.

Włożyłem ją. Wyjąłem pojemnik ze specjalnym gazem Dendonckera. I pociągnąłem za zawleczkę.

Odskokzyła. Pojemnik zaczął się nagrzewać. W Border Inn myślałem, że to atrapa. Ale był prawdziwy. W tych okolicznościach na szczęście dla mnie. Mimo to wciąż się wahałem. Nie wiedziałem, jak szybko tamci zareagują. Jak szybko wybiegną z korytarza. Gdyby zdążyli uciec za drzwi, miałbym poważny problem.

Minęło pięć sekund. Pokazywały się już pierwsze smużki gazu. Wrzuciłem pojemnik do wywietrznika. Zaklekotał na podłodze i poturłał się do ściany. Ci z uzi natychmiast zerwali się ze stołków, lecz już po chwili zaczęli chwytać się za szyję i gwałtownie trzeć oczy. Jeden próbował zwać, lecz zdezorientowany, grzotnął głową w przeszkloną ścianę i upadł na plecy. Drugi miotał się na wszystkie strony i przeraźliwie krzyczał. Zamieniłem nożyce do drutu na te do prętów, ściałem główki śrub mocujących wywietrznik, zdjąłem go i odrzuciłem na bok. Potem pochyliłem się nad dziurą i strzeliłem im w głowy. Każdemu dwa razy. Na wszelki wypadek.

Wetknąłem pistolet za pasek, opuściłem się na rękach i zeskoczyłem na podłogę. Podeszedłem do tego, który leżał bliżej. Zabrałem mu klucze i uzi. Wziąłem też uzi tego drugiego i zarzuciłem je na ramię. Otworzyłem transponderem drzwi. Przeszedłem przez nie i przesunąłem maskę na czubek głowy.

Od pierwszego strzału minęło osiem sekund. Góra dziewięć. To niewiele czasu na reakcję, mimo to w następnym korytarzu zobaczyłem Mansoura. Obok drzwi Dendonckera stało krzesło. Jedno z tych pomarańczowych. Mansour musiał na nim siedzieć jak strażnik. Ale teraz pędził prosto na mnie. Szarżował. Z opuszczoną głową. Z szeroko rozłożonymi rękami. Był za blisko, żebym zdążył w niego wycelować. Dlatego wyszedłem mu na spotkanie. Liczyłem na to, że uda mi się go chwycić, pchnąć w bok czy obrócić, wykorzystać przeciwko niemu ciężar jego własnego rozpędzonego ciała. Rzucić go na okno. Na ścianę. Albo chociaż na podłogę. Ale korytarz był za wąski. A on za szeroki. Huknął mnie

ramieniem w pierś i poczułem się tak, jakby trafił mnie pocisk armatni. Straciłem równowagę. Wylądowałem na plecach, a właściwie na plecaku, i pojechałem po błyszczącej podłodze jak na ślizgawce. Jedno uzi grzmotnęło w szkło. Drugie straciłem z oczu. Brakowało mi tchu, lecz nie mogłem wciągnąć powietrza. Żebra bolały mnie tak, jakby poraził je prąd o napięciu miliona woltów. Wiedziałem tylko, że muszę wstać. Jak najszybciej, zanim Mansour dopadnie mnie ze swoimi nogami, pięściami i masą ciała. Wstałem, przytrzymując się ściany. I zobaczyłem Dendonckera, który właśnie zniknął w oszklonym korytarzu. Był w masce. Mojej. Musiała spaść, kiedy wylądowałem na podłodze. Za nim biegł Mansour. Bez maski. Jego szef umiał wzbudzać lojalność. Musiałem to przyznać.

Podniosłem uzi i ruszyłem w pościg. Dobiegłem do podwójnych drzwi i wtedy usłyszałem coś za plecami. Z pokoju mieszczącego się naprzeciwko pokoju Michaeli wyszedł jakiś mężczyzna. Ktoś, kogo nigdy dotąd nie widziałem. Pewnie facet, z którym rozmawiałem przez telefon. Stał już przed jej drzwiami. Musiał prześlizgnąć się chyłkiem, kiedy dochodziłem do siebie po zderzeniu z Mansourem. Pomógł mu hałas i już przekręcał klucz w zamku. Otworzył drzwi. Wszedł do środka. Z pistoletem w ręce. Zanim zawróciłem, drzwi się zamknęły. Nie mogłem zajrzeć przez szybę, bo była zaklejona gazetą. Ale słyszałem dochodzące stamtąd odgłosy. Przeróżliwy krzyk. Trzask. I wystrzał.

Potem zapadła cisza.

Wyważyłem kopniakiem drzwi i wpadłem do środka, gotów opróżnić magazynek i poszatkować kulami tego, który tam wszedł. I zobaczyłem Michaelę. Stała obok łóżka. Bez kuli. Celowała we mnie z pistoletu mężczyzny. A ten leżał na podłodze. Z górną połową ciała na moim materacu i z nogami na drewnianym parkiecie. Prawą rękę miał wykręconą pod zwariowanym kątem. Była złamana. Na sto procent. I brakowało mu górnej połowy czaszki.

– Chyba będziemy musieli poszukać innego lokum. – Michaela opuściła pistolet.

– Na to wygląda. – Podeszedłem do niej. – Wszystko w porządku?
Kiwnęła głową i usiadła na łóżku.

– Mniej więcej.

Otworzyłem plecak i podałem jej protezę. Tę, którą goryl Dendonckera przyniósł do kawiarni. Potem odwróciłem się i ruszyłem do wyjścia.

– Dzięki – rzuciła. – Gdzie Ty idziesz?

– Po Dendonckera. Jeśli jeszcze tu jest.

Przystanąłem przed podwójnymi drzwiami. Wziąłem kilka głębokich oddechów. Potem ile sił w nogach przebiegłem oszklonym korytarzem i wpadłem do stołówki. Pod szklanym dachem hulał teraz wiatr. Wysysał gaz przez otwór po wywietrzniku. Ale gaz musiał być rzeczywiście zabójczo skuteczny, bo nawet po tak krótkiej ekspozycji piekły mnie oczy. Z trudem oparłem się pokusie, żeby je potrzeć. Przystanąłem i czekałem, aż świat odzyska wyraźniejsze kształty.

I zacząłem szukać. Nie zawracałem sobie głowy kuchnią i biurami. Pomyślałem, że Dendoncker nie chciałby się nigdzie ukrywać. Wolałby uciec. Zdecydowanie. Mógł to zrobić na dwa sposoby. Tunelem. Albo samochodem. SUV-em. Przeciąłem salę gimnastyczną i wyjrzałem przez okno. Parking był pusty. SUV-y zniknęły. Dendoncker i Mansour też. Wyszedłem na dwór. Bramy były zamknięte, lecz na nierównej drodze biegnącej za nimi dostrzegłem cztery czerwone punkciki. Po dwie pary. W tym samym układzie. Tylne światła cadillaców.

Ten jadący na czele był chyba niżej zawieszony. Jakby wiózł coś ciężkiego. Ale może tylko mi się wydawało. Nie widziałem. Dzielila nas zbyt duża odległość. Poza tym samochody ciągle podskakiwały na wybojach. Tak czy siak, nie miało to już żadnego znaczenia. SUV-y odjeżdżały. I nie mogłem ich zatrzymać.

• • •

Kiedy wróciłem, Michaela szła ostrożnie korytarzem, jakby proteza sprawiała jej ból. Minęła już drzwi do sąsiedniego pokoju.

– Tu jest ktoś jeszcze. – Zniżyła głos. – Inny więzień czy zakładnik. Chyba w kiepskim stanie.

– Skąd wiesz?

– Kiedy dzwoniłeś i rozmawialiśmy, ten od telefonu zawsze stał w drzwiach. Otwartych. Raz, kiedy oddawałam mu komórkę, widziałam dwóch mężczyzn w korytarzu. Szli obok siebie. Z prawej strony. Goryl Dendonckera, ten wielki, i ktoś obcy. Ten obcy miał torbę. Lekarską. Czarną, skórzaną i mocno podniszczoną. Mówił po hiszpańsku. Powiedział coś w rodzaju: „Musicie trochę zwolnić. On ledwo żyje. Zostawcie go w spokoju. Na czterdzieści osiem godzin. Co najmniej”.

– Zostawcie w spokoju kogo?

– Nie wiem.

– Jak zareagował ten od Dendonckera?

– Zdenerwował się. Powiedział, że szef nie zgodzi się na opóźnienie. Że musi wiedzieć, gdzie to jest, a zostało mało czasu.

– To?

Michaela pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia.

– Dobrze, gdzie trzymają tego ledwo żywego?

– Myślałam, że w sąsiednim pokoju, ale przed chwilą sprawdziłam. Nikogo tam nie ma. Tylko łóżko i kilka monitorów. Tam nie mogli nikogo przetrzymywać. Na pewno. Muszą mieć inne miejsce.

Poszła dalej. Mocno utykając. Ruszyłem za nią, choć wydawało się, że to beznadziejne. Korytarz musiał być ślepy. Tak jak ten za biurem Dendonckera. Drzwi były zabite. Widziałem je na własne oczy, szukając wyjścia. Ale kilkanaście kroków dalej zauważyłem pewną różnicę. Ściana ostatniej klasy nie biegła cały czas prosto. Nie stykała się z sąsiednią. Na końcu była wnęka. Trzydziestocentymetrowa nisza, która miała odwrócić uwagę od kolejnych drzwi. Drewnianych. Solidnych. Z tabliczką z napisem: *el Conserje. Woźny.*

Były zamknięte. Ale nie na poważnie. Wystarczył jeden kopniak i zobaczyliśmy schody prowadzące do piwnicy. Drewniane. Też pomalowane na biało, ale mniej wytarte niż te z kuchni do tunelu. Zapaliłem światło i ruszyłem na dół. Michaela za mną. Piwnica była podzielona na dwie części. Jedną trzecią zajmował sprzęt do sprzątania i zapasy. Dwie trzecie sprzęt do napraw i konserwacji. Zajmował kiedyś, bo wszystkie stoły robocze i szafki zostały przesunięte pod ścianę, a na wolnym miejscu ustawiono łóżko polowe. Obok stał stojak z kroplówką. Z worka z przezroczystym płynem wychodziła rurka podłączona do ramienia leżącego na łóżku mężczyzny. Był przykryty prześcieradłem. Cały, łącznie z nogami i drugą ręką. Ale prześcieradło nie zasłaniało głowy. Miał twarz opuchniętą, posiniaczoną, poparzoną i pełną strupów. I wielkiego guza na czole. Łyse placki we włosach. Michaela przeraźliwie krzyknęła i odepchnęła mnie. Podbiegła do łóżka. Chciała dźwignąć mężczyznę i przytulić, lecz się powstrzymała. Wzięła go za rękę. I powiedziała tylko jedno słowo. Cicho. Z bólem i poczuciem winy.

– Michael.

Ja też podszedłem do łóżka. Pomyślałem, że facet może już nie żyć. I zastanawiałem się, jak oderwać od niego siostrę, gdyby rzeczywiście tak było. Ale po chwili otworzył jedno oko.

– Mickey... – Mówił suchym, ochryplym, ledwo słyszalnym głosem. – Dostałaś ostrzeżenie... I przyszłaś? – Potem oko się zamknęło, a głowa opadła bezwładnie na bok.

Michaela sprawdziła mu puls.

– W porządku. Żyje. Pomóż mi go wynieść.

• • •

Musiałem podjąć trudną decyzję. Michael nie nadawał się do przenoszenia. Wolałbym, żeby to lekarz przyjechał do niego. Ale pamiętałem o Dendonckerze, który nie wiedział, że Michaela znalazła brata. Z kolei jej brat wiedział coś, co Dendoncker chciał z niego wyciągnąć. Dlatego założyłem, że po niego wróci. Albo wyśle swoich ludzi. Tak czy inaczej, nie mieliśmy szans na obronę. Nie w tej piwnicy. A jeśli już, to długo byśmy nie wytrzymali. Dlatego mniejszym złem wydawała się ewakuacja.

Dźwignąłem go z łóżka i owiniętego prześcieradłem zaniósłem na górę. Michaela szła za mną z kroplówką. Poruszaliśmy się powoli i ostrożnie, żeby nim nie potrząsać ani o nic nie zawadzić. W korytarzu chwilę odpoczęliśmy, wróciliśmy do pokoju Michaeli i położyłem go na łóżku. Ona została, a ja poszedłem do oszklonego korytarza i kilkoma seriami z uzi rozwalilem wszystkie okna, pół magazynka pakując w te

po jednej stronie, pół w te po drugiej. Żeby gaz szybciej się ulotnił. Potem zadzwoniłem do Wallworka, już z pokoju. Odebrał natychmiast. Chyba nie spał. On i ekipa z TEDAC mieli pewnie pracowitą noc. Powiedziałem mu, że Michaela jest już bezpieczna, więc może w każdej chwili zabrać ciężarówkę. Dodałem, że mamy rannego, i spytałem, czy mógłby wysłać kilku agentów do centrum medycznego w Los Gemelos i jak długo by to trwało. Bo kiedy Dendoncker odkryje, że Michael zniknął, nie będzie siedział z założonymi rękami. Wyśle kogoś na poszukiwania, a ponieważ wie, w jakim Michael jest stanie, na pewno zacznie od najbliższego szpitala.

Chwilę trwało, zanim Wallwork przeliczył odległość na czas.

– Będę musiał wykonać parę telefonów – odezwał się w końcu. – Ale sądzę, że kilku agentów dałoby radę dotrzeć tam w ciągu najbliższych czterech godzin. Skoro tak się pan o niego martwi, mógłby pan się nim do tego czasu zaopiekować? Nieoficjalnie.

– Czemu nie? – Pomyślałem, że może mi się poszczęści i Dendoncker zjawi się w szpitalu osobiście. Albo z Mansourem. Szlag mnie trafiał na myśl, że Ci dwaj nie siedzą jeszcze za kratkami. – Co u Was? Jak Wam idzie?

– Dobrze. Przed chwilą rozmawiałem z Quantico. Po tym, co opowiedziałem im o Dendonckerze, organizują obławę. Na wielką skalę. W razie konieczności na światową.

– A co z tą bombą?

– Mój znajomy, ten z TEDAC, skończył inspekcję. Przygotowuje ją do transportu. Wywieziemy ją samolotem. Natychmiast.

– Ochrzanił pana za to, że go pan tam ściągnął?

– Nie. Przeciwnie. Jest w siódmym niebie. Ciągłe robi zdjęcia, nagrywa filmy i wysyła je mailem do swojego laboratorium. Mówi, że już dawno nie widział czegoś tak ciekawego.

– Przez ten gaz?

– Nie. Samych pocisków jeszcze nie badał. Mówi, że w terenie to zbyt niebezpieczne.

– Uważa, że są groźne?

– Wie, że są. Bo odkrył, czym są pokryte. VX.

VX. Najbardziej zabójczy chemiczny środek bojowy, jaki kiedykolwiek zsyntetyzowano. Wytworzono go w Wielkiej Brytanii w latach pięćdziesiątych. Nie pamiętam jego składu chemicznego. Ale pamiętam, co oznacza litera V. *Venom*. Jad. Nazwano go tak nie bez powodu. Kilka lat temu dwie kobiety wtarły odrobinę tej substancji w twarz Kim Dzong Nama, przyrodniego brata Kim Dzong Una, kiedy czekał na samolot na lotnisku w Kuala Lumpur. Być może gość coś knuł. Być może tylko go o to podejrzewano. Tak czy inaczej, umarł, zanim zdążono przewieźć go do szpitala.

– Myśli, że Dendoncker dodał VX do dymu? – spytałem.

– Sprawdzi to dokładnie w laboratorium. Ale wystarczy spojrzeć. Przy wszystkich pociskach niedawno majstrowano. Są wyraźne ślady. A VX to nie sarin. Nie gaz. To ciecz o konsystencji oleju samochodowego albo miodu. Żeby przeszedł w stan lotny, trzeba go podgrzać. Źródłem ciepła może być reakcja chemiczna, która zachodzi podczas wytwarzania dymu. A dym ułatwia rozprzestrzenianie się toksyny. Mógłby pan szukać do końca życia i nie znalazłby pan lepszego sposobu na rozpylenie tego świństwa. Czy to zwykły przypadek?

– Nie sądzę. Nic dziwnego, że facet jest rozemocjonowany.

– Niemal widzę, jak obracają się trybiki w jego głowie. Myśli już o pracach naukowych, które napisze. O konferencjach kryminalistycznych, na których wystąpi. Ale nie tylko to go zafascynowało. Znalazł coś ukrytego w systemach elektronicznych bomby. Trzeci zapalnik. Ani czasowy, ani komórkowy.

– Więc jaki?

– Transponder. Popularny gadżet, ale używany zwykle do innych celów. Wiem, że ten Dendoncker to kutas, ale trzeba przyznać, że piekielnie pomysłowy. I dokładny. Warstwa ochronna VX i trzy niezależne zapalniki? W jednej bombie? Facet nie pozostawia niczego przypadkowi.

Kiedy Wallwork się rozłączył, poczułem lekkie wyrzuty sumienia, bo nie powiedziałem mu, że to nie Dendoncker zbudował bombę, tylko Michael. To Michael był dokładny i pomysłowy. W normalnych okolicznościach Ci z TEDAC odkryliby to, wprowadzając szczegóły do bazy danych. Nie licząc dodanego w ostatniej chwili środka bojowego VX, składniki bomby i techniki konstrukcyjne pasowałyby na pewno do tych, jakie Michael zastosował w swojej pierwszej bombie. W której też zamontował transponder. W dodatku ze swoim odciskiem palca. Tylko że eksperci z TEDAC by tego nie skojarzyli, ponieważ Michaela zniszczyła wszystkie dowody. Co przemilczałem i co czyniło mnie pewnie współnikiem przestępstwa federalnego. I czym się zbytnio nie przejąłem. Kariera Michaela jako konstruktora bomb dobiegła końca. A jeśli do akcji wkroczy FBI, końca dobiegnie również kariera Dendonckera.

Michaela chciała jak najszybciej wyjść, ale przekonałem ją, żeby zaczekała, bo muszę wykonać jeszcze jeden telefon. Zadzwoiłem do doktora Houlliera. Na komórkę. Nie wiedziałem, czy centrum medyczne jest czynne dwadzieścia cztery godziny na dobę, i nie chciałem pojawić się tam z Michaeliem tylko po to, żeby pocałować klamkę. Houllier obiecał dopilnować, żeby ktoś tam był. Brzmiał trochę tajemniczo i kiedy go przycisnąłem, okazało się, że zamierza zająć się Michaeliem osobiście. Przyznał, że wrócił już do miasta, i zaproponował, że wyśle po nas karetkę. Propozycja była kusząca, martwiło mnie jednak związane z nią ryzyko. Ktoś mógłby nas zobaczyć i donieść Dendonckerowi. A on, w zależności od tego, jak długo pozostawałby na wolności, mógł się mścić. Sęk w tym, że nie mieliśmy innego środka transportu. Tylko chevroleta, który wciąż powinien stać przed domem po amerykańskiej stronie granicy. I do którego nie mieliśmy kluczyków. Dlatego powiedziałem doktorowi, gdzie jesteście. Podałem mu adres. I dodałem, że zadzwonię, kiedy będziemy gotowi.

• • •

Umieścił nas na oddziale pediatrycznym. Bardzo mądre posunięcie. Zamiast zwykłych sal, był tam ciąg sal podwójnych, czegoś w rodzaju miniapartamentów, w których rodzice mogli przebywać wraz ze swoimi chorymi dziećmi. Dwie pielęgniarki pomogły mu ułożyć Michaela na łóżku. Zawiesiły na stojaku dodatkowy worek z kroplówką. Zmierzyły mu temperaturę. Ciśnienie krwi. Za pomocą specjalistycznych narzędzi Houllier zajrzał mu do oczu i uszu. A siostry wysmarowały Michaela jakimś kremami i balsamami, dżgając go przy okazji i szturchając we wszystkie możliwe miejsca.

W końcu lekarz oświadczył, że nie jest źle. Że trochę to potrwa, ale pacjent wyzdrowieje. Uprzedził nas też, że co godzinę będzie zaglądała do niego pielęgniarka. Potem wyszedł, żebyśmy mogli się rozgościć. Michaela wybrała fotel. Przysunęła go bliżej łóżka, podciągnęła nogi i zwinęła się w kłębek. Ja wolałem drugie łóżko. Dochodziła piąta rano i nie spałem od dwudziestu dwóch godzin. Leciałem z nóg, ale w głębi serca odczuwałem satysfakcję. Michael żył. Rozbrojona bomba była w drodze do laboratorium, gdzie mieli ją zbadać eksperci. Uznałem, że zasadniczo rzecz biorąc, wszystko jest w najlepszym porządku.

To zabawne, jak bardzo można się mylić.

Obudziłem się za minutę siódma. Właściwie to obudził mnie telefon. Zasnąłem błyskawicznie, w jednej chwili. A już w następnej byłem całkowicie rozbudzony. Pstryk! I już. Jakby ktoś nacisnął przełącznik. Pewnie była to instynktowna reakcja na coś nienormalnego. Albo groźnego.

Uznałem, że elektroniczne zawodzenie telefonu można zaliczyć do jednego i drugiego.

Odebrałem. Dzwoniło FBI. Jedna z agentek specjalnych, które Wallwork skrzyknął do ochrony Michaela. Jej zespół dotarł już na skraj miasta i pytała, gdzie się spotkamy. Wytłumaczyłem jej, jak dojechać do szpitala, położyłem się i zamknąłem oczy. W mojej głowie dojrzywał konflikt. Myśl o prysznicu biła się z chęcią nic nierobienia. Obie były kuszące. Ale żadnej nie uległem, bo telefon zabrzączał ponownie. Tym razem dzwonił Wallwork.

– Mam nowiny – zaczął. – Wielkie. Zdjęcia bomby, które spec z TEDAC wysłał do laboratorium. Pamięta pan? Jedno od razu rozbiło bank. Na transponderze był odcisk palca. Zidentyfikowali go. Podobno bez pudła. Z powodzeniem wystarczy na dowód w sądzie.

– Odcisk palca Michaela Curtisa, tak? – Pomyślałem, że dla Michaeli i jej brata dzień będzie fatalny. Z każdą godziną gorszy. Dlatego postanowiłem uprzedzić cios.

– Czyj? Nie. Nadera Khalila.

– Nie wiem, kto to jest. – Nie kłamałem, choć słyszałem to nazwisko. Dendoncker zarzucał mi, że dla niego pracuję.

– To gruba ryba. Bardzo gruba. Cały system rozjarzył się jak świąteczna choinka, kiedy komputery wypuły jego nazwisko. Terrorysta. Z Bejrutu. Z terrorystycznej rodziny. Jego ojciec był terrorystą. Policja go zabiła. Brat był terrorystą. I też nie żyje. Ale jego śmierć dużo nas kosztowała. Prowadził ciężarówkę z bombą, która wysadziła w powietrze koszary naszej piechoty morskiej. Nader ma na sumieniu mnóstwo potwornych rzeczy, ale nigdy nie zostawiał po sobie śladów. Do dzisiaj.

Dziwny szczegół z przeszłości. To, że brat Khalila prowadził tę ciężarówkę. Musiał zginąć parę kroków od miejsca, w którym się wtedy znajdowałem. Ale nie zgadzała mi się teraźniejszość. Skoro to Michael skonstruował bombę, to jakim cudem na transponderze znalazł się odcisk należący do kogoś innego?

Wallwork jeszcze nie skończył.

– Rozpoczęło się polowanie. Ogólnoświatowe. Z nieograniczonymi środkami. Już po nim. To tylko kwestia czasu...

Może Khalil dostarczył Michaelowi części? Może stąd ten odcisk palca?

– Tak jak mówiłem, będą szukać go na całym świecie – ciągnął Wallwork. – Ale mamy inny problem. Wewnętrzny. Ci z TEDAC obawiają się, że Khalil wciąż jest w Stanach...

A może Dendoncker po prostu te części ukradł? Albo nie chciał za nie zapłacić? Albo oszukał Khalila w jakiś inny sposób i spodziewał się zemsty?

– Są przerażeni – mówił dalej Wallwork. – I pewni, że Khalil chce przeprowadzić zamachy bombowe. Całą serię. U nas, w Stanach. Zakładają, że Dendoncker mu pomaga. Jego rodzina też pochodziła z Bejrutu. W każdym razie matka.

– Doszli do tego wniosku na podstawie jednego odcisku palca i niejasnych powiązań z Bejrutem?

– Nie. Na podstawie tego, że to już jego druga bomba.

– Gdzie znaleziono pierwszą?

– Nie wiem, ale to był niewybuch. Przewieziono ją do TEDAC, zbadano i znaleziono tyle wspólnych cech, że nie ulega wątpliwości, że zbudowała ją ta sama osoba.

– Był w niej transponder?

– Nie. I nie emitowała żadnego gazu. Ale części pochodziły z tego samego źródła. Miała identyczne okablowanie i budowę. To w zupełności wystarczyło, żeby wyzbyli się wątpliwości.

Właśnie taki pojawia się problem, kiedy poda się kłamstwu zbyt dużo tlenu. Bo wtedy się rozrasta. Nawet zwykłe niedopowiedzenie. Bombę dymną skonstruował Michael. Więc jeśli eksperci z TEDAC połączyli ją z inną, lecz skonstruowaną przez tę samą osobę, musiała to być bomba, którą badała Michaela. Ta, którą brat wysłał jej jako sygnał SOS. Tylko że eksperci nie wiedzieli, że w tej też był transponder. I że Michaela go zniszczyła, bo nie chciała, żeby znaleziono na nim odcisk palca brata. Gdyby wiedzieli, wyciągnęliby zupełnie inny wniosek. Na sto procent. Już chciałem powiedzieć to Wallworkowi. Już chciałem go poprosić, żeby zawiadomił tych z TEDAC i skorygował ich błędne założenie. Ale coś mnie powstrzymało. Irytujący głos w tyle głowy. Odezwał się pierwszy raz, kiedy Michaela powiedziała mi o wiadomości od brata. O ulotce reklamowej z Płowego Deresza i o prezerwatywie. Przybrał na sile po dziwnych reakcjach Dendonckera. A teraz, kiedy zaczęliśmy rozmawiać o Khalilu, ogłuszająco ryczał.

Wallwork zamilkł. Lecz po chwili dodał:

– Tak więc bardzo się niepokoją. Uważają, że Dendoncker pomaga Khalilowi, a pan jest jedyną osobą, która była z Dendonckerem w kontakcie. Dobra, powiem prosto z mostu. Chce z panem pogadać szefstwo TEDAC.

Nie podobała mi się perspektywa ewentualnej współpracy. Nie, kiedy Dendoncker myślał, że to Khalil mnie na niego nasłał. Z drugiej strony, tych dwóch na pewno coś łączyło, z czego z pewnością nie mogło wyniknąć nic dobrego. I poznałem Dendonckera. Wiedziałem, jak dzia-

ła. Gdzie mieszka i pracuje. Zdawałem sobie sprawę, że trzeba go jak najszybciej zatrzymać. Dlatego powiedziałem:

– Dobra. Niech do mnie zadzwonią.

– Oni nie chcą rozmawiać przez telefon. Chcą rozmawiać osobiście, twarzą w twarz.

Milczałem.

– Niech pan tylko pomyśli. Jeśli coś pójdzie nie tak, straty mogą być nieobliczalne. Straty w ludziach, Reacher. Gdyby do tego doszło i gdyby był pan na ich miejscu, nie gryzłyby pana wyrzuty sumienia, że nie przesłuchał pan jedyne go człowieka dysponującego informacjami z pierwszej ręki?

Tu mnie miał.

– Zajmie to panu tylko godzinę. Góra dwie. Co pan na to?

– Nie wiem. Kiedy?

– Dzisiaj.

– Gdzie?

– W TEDAC. W Redstone Arsenal, pod Huntsville w Alabamie.

– Jak się tam dostanę w ciągu jednego dnia? To prawie dwa i pół tysiąca kilometrów.

– Przyślą samolot. Właściwie to już przysłali. Czeka na pana. Godzinę drogi od Los Gemelos jest lotnisko. Jadą do Was cztery agentki, które mają przypilnować uratowanego przez Was gościa. Jedna z nich pana podrzuci.

Zastanawiałem się, czy i to lotnisko wykorzystywał Dendoncker do szmuglowania kontrabandy.

– A potem?

– Zawiozą pana, gdzie pan chce. W granicach Stanów Zjednoczonych.

– Do San Francisco też?

– Oczywiście. Jeśli pan chce.

– Chcę.

– Dobra, załatwione. Aha, jeszcze jedno. Może to pana rozbawi. Do hotelu przyszedł faks. Trzydzieści cztery minuty po północy. Od Dendonckera. Napisał, że operacja zostaje wstrzymana. Ma pan tam zostać i nie spuszczać oka z „obiektu”.

• • •

Nasza rozmowa obudziła Michaelę. Wciąż siedziała w fotelu, więc usiadłem na łóżku i zapoznałem ją z sytuacją.

– Proszę, proszę – powiedziała, kiedy skończyłem. – Wygląda na to, że jednak zobaczysz ocean. Prywatny odrzutowiec. Rządowy. Wprowadzasz autostop na nowy poziom.

– Mam nadzieję, że Michael wyzdrowieje. I wstawię się za Wami gdzie trzeba.

Pokręciła głową.

– Wstaw się tylko za nim. Wiedziałam, co robię. Spokojnie przyjmę to, co mnie czeka.

– Podam Ci numer telefonu. Zapamiętasz?

– Zabierasz komórkę?

– Nie. Inny. Pewnej kobiety. Ma na imię Sonia. Poznałem ją, kiedy Cię szukałem. Pomogła mi. Ona i Twój brat bardzo się do siebie zbliżyli. Powinnaś do niej zadzwonić. Powiedzieć jej, że Michael żyje.

– Bardzo się do siebie zbliżyli? To znaczy?

Wzruszyłem ramionami.

– Poznali się w Niemczech, w szpitalu. Od tej pory są razem.

Widziałem, jak Michaela dodaje dwa do dwóch. Nigdy nie słyszała o Sonii. To było oczywiste. A jej kontakt z bratem zaczął się rwać mniej więcej w tym samym czasie, kiedy on i Sonia zaczęli się spotykać.

– Jaka ona jest, ta Sonia? – spytała. – Polubię ją?

– Oby. Może zostać Twoją szwagierką.

Kiedy dojechaliśmy, samolot rzeczywiście już czekał. Na końcu pasa startowego, samotny i wyniosły wśród kilku samolotów do opylania pól i dwumiejscowych maszyn szkoleniowych. Gulfstream. Mnóstwo ostrych kątów i błyszczącej czarnej farby, tak że wydawało się, że leci nawet wtedy, kiedy stał. Podobnie jak black hawk, który przywiózł mnie z Teksasu, na ogonie miał numer identyfikacyjny, ale bez oznakowań agencyjnych. Numer i dyskretny napis: UNITED STATES.

Agentka machnęła odznaką przed obiektywem kamery na wyposażonej w domofon bramie i podjechaliśmy bliżej. Silniki już pracowały, a kiedy zatoczyliśmy łuk wokół ogona, zobaczyłem, że opuszczono nawet schody. Pół minuty później siedziałem na pokładzie, przypięty pasem do fotela. Zaraz potem wzbiliśmy się w powietrze. Bez instruktążu bezpieczeństwa. Bez czekania w kolejce na start. I bez innych pasażerów.

Wyłożona jasnym drewnem kabina bardziej przypominała mobilne biuro niż luksusowy klub. Było tam mnóstwo wtyczek, portów komunikacyjnych, złączy dla komputerów oraz dwanaście obrotowych foteli pokrytych granatową skórą. Pod oknami zamontowano rozkładane stoliki, a pod sufitem projektor i ekran. Był tam również ekspres do kawy, więc nalałem sobie kubek, wypilem i zamknąłem oczy. Lot był cichy i spokojny. Pilot leciał szybko i wysoko. Podróż trwała niecałe trzy godziny i obudziłem się, kiedy zaczęliśmy podejście końcowe. Lądowanie

było bardzo łagodne. Kołowanie krótkie. U stóp schodów czekał samochód.

Lotnisko leży na północno-zachodnim krańcu kompleksu wojskowego Redstone Arsenal. Od siedziby TEDAC dzielą go ponad dwa kilometry na południowy wschód. Agent FBI, który mnie odebrał, bez słowa jechał labiryntem alejek wijących się między laboratoriami NASA, obiektami wojskowymi i budynkami należącymi do FBI. Wożenie obdartych cywilów nie było tu chyba wymarzonym zadaniem. W końcu zatrzymał się przed rzędem błyszczących niskich słupków bezpieczeństwa i wskazał przeszklony budynek po drugiej stronie.

– To tam – rzucił. – Niech pan spyta o agenta Lane’a.

W środku czekało na mnie troje strażników w mundurach prywatnej agencji wojskowej. Pierwszy, a właściwie pierwsza, siedziała za ladą w recepcji. Poprosiła mnie o dokument tożsamości. Podałem jej paszport. Nie obchodziło jej, że jest nieważny. Położyła go na skanerze i po chwili stojąca obok maszyna wypluła zalaminowaną przepustkę z moim zdjęciem, datą i dwugodzinnym terminem ważności. Kiedy przypiąłem ją do koszuli, drugi strażnik podszedł do mnie z pojemnikiem na rzeczy. Wrzuciłem tam pieniądze oraz telefon, a on przepuścił pojemnik przez urządzenie do prześwietlania. Potem poprosił, żebym zdjął buty, więc zdjąłem je i rzuciłem na taśmociąg. Trzeci strażnik kazał mi przejść przez łukowatą bramkę bezpieczeństwa. Nie zabrzczała ani nie zapiszczała i zanim zdążyłem zasznurować buty i odebrać swoje rzeczy, nadszedł ktoś czwarty. Ten miał czterdzieści kilka lat, był w ciemnoszarym garniturze i krawacie. Na szyi wisiała mu smycz z identyfikatorem.

– James Lane, agent specjalny do spraw nadzoru służbowego. – Wyciągnął do mnie rękę. – Wiem, okropny tytuł. Kieruję zespołem, który powołujemy w reakcji na ostatnie wydarzenia. Dziękuję, że zechciał pan przyjechać. Bardzo liczę na pańską pomoc. Proszę tędy. Pokażę panu, co jest gdzie.

Za drzwiami były dwa stopnie i kamienna ścieżka, która przecinała płaski, rozległy trawnik pełen drewnianych stołów piknikowych pod

szarymi parasolami. W pobliżu stały dwa budynki. Lane wskazał ten po lewej, duży, szary, nijaki prostopadłościan.

– Nazywamy go Budynkiem. Agenci FBI mają wyobraźnię, co? Widział pan *Poszukiwaczy zaginionej Arki*, ten film z Indianą Jonesem? Pamięta pan końcową scenę, w której ukrywają arkę w magazynie? Właśnie tak tam wszystko wygląda. Same półki, od podłogi po sufit, od początku do końca. Ponad sto tysięcy pojemników. Wszystkie improwizowane urządzenia wybuchowe, jakie zbadaliśmy w ciągu ostatnich osiemnastu lat. Zaczyna brakować miejsca i budujemy nowy magazyn. Ale nie tam idziemy.

Skręcił w stronę budynku po prawej. Ten był podzielony na dwie wyraźne części. Na parterowy segment z płaskim dachem, kamiennymi ścianami i wysokimi oknami. I na segment dużo wyższy, ze spadzistym dachem, białymi ścianami i bez okien. Całość wyglądała tak, jakby jedna połowa budynku chciała połączyć drugą.

– Tu dzieją się wszystkie czary. – Lane przystanął przed wejściem. – W naszych laboratoriach. Ale są tu i mniej ciekawe rzeczy. Jak pomieszczenia administracyjne. Czy sale konferencyjne. Przykro mi, ale właśnie tam idziemy.

Machnął identyfikatorem, otworzył drzwi i głównym korytarzem doszliśmy do pokoju z tabliczką *Sala konferencyjna 1*. Na środku pomieszczenia – miało cztery i pół metra szerokości i sześć długości – stał stół z drewnianym blatem. Prostokątny. A wokół jedenaście krzeseł ustawionych pod kątem do przeciwległej ściany. Białej. Wykorzystywanej pewnie jako ekran. W ścianie po prawej były trzy szafy wnękowe. W tej po lewej – okna. Podłogę pokryto wykładziną, czymś w rodzaju nieco stonowanej tekstylnej wersji obrazu Jacksona Pollocka.

Lane usiadł u szczytu stołu.

– Przepraszam, że traktuję pana jak zwykłego gościa. Przeglądałem pańskie akta, znam przebieg pańskiej służby i chciałbym pokazać panu wszystkie zakamarki. Ale cóż, przepisy. Nie było czasu na załatwienie odpowiedniej przepustki. Pracuje tu ponad dwustu ludzi. Mamy mnó-

stwo sprzętu, który bardzo trudno by było zastąpić. I mnóstwo dowodów rzeczowych z całego świata, niezwykle ważnych w walce z terroryzmem. Być może nie jesteście najbardziej widowiskowym celem, ale na pewno widniejemy na szczycie listy najbardziej łakomych obiektów strategicznych. Na miejscu naszych wrogów zaatakowałbym ten kompleks bez chwili wahania. Dlatego musimy zachować ostrożność. I nie możemy robić wyjątków. Mam nadzieję, że pan to rozumie.

– Oczywiście.

– A więc do rzeczy. Odcisk palca Khalila. To, że go znaleźliśmy, ma dwie strony, dobrą i złą. Dobra jest taka, że Khalila można teraz aresztować. Pod warunkiem że ktoś go znajdzie. Zła jest taka, że jeśli działa na terenie Stanów Zjednoczonych, musimy go powstrzymać. I to szybko. Sęk w tym, że nie wiemy, gdzie go szukać. Ma tu mnóstwo potencjalnych celów, dlatego musimy zawęzić ich liczbę. Bomba, którą pomógł pan zabezpieczyć, będzie tu za pół godziny. Może znajdziemy w niej jakieś wskazówki. A może nie. Zobaczymy. Tak czy inaczej, badania potrwają. Tymczasem szukamy pomocy wszędzie, gdzie się da. Chciałbym zacząć od sposobu transportu. Khalil może pracować nad bombą, którą da się przewieźć na przykład samochodem. Albo ciężarówką. Czy samolotem. Albo nad taką, którą można włożyć na siebie jak kamizelkę. Czy nawet wysłać mailem. Widział pan lub słyszał coś, co pomogłoby nam w tej kwestii?

– Dendoncker kierował szajką przemytników. Pod przykrywką firmy cateringowej dla prywatnych samolotów operujących z małych lotnisk. Kierował, bo jestem niemal pewny, że ten interes mu się posypał. Co dziwne, zupełnie się tym nie przejął. Jakby zaplanował już coś innego. Pytanie tylko co. Nie jestem przekonany, czy współpracuje z Khalilem. Moim zdaniem on się go boi.

– Ci ludzie są dziwni – powiedział Lane. – Zaczynają jako introwertycy i przez całe życie robią wszystko, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Nie kupują dwa razy w tych samych sklepach z elektroniką. Ani w tych samych sklepach internetowych. W końcu uciekają przed własnym cie-

niem. To pewnie nic takiego. Nawet jeśli się pokłócili, przydadzą nam się informacje z czasów, kiedy ze sobą trzymali.

– Przychodzą mi do głowy tylko samoloty i firma cateringowa.

– Dobrze. Teraz materiały. Na przykład czy używa prekursorów? Azotanu amonu, nitrometanu, oleju opałowego. Albo specjalnych składników, takich jak TATP czy dwuazotanu glikolu etylenowego. Albo wojskowych materiałów wybuchowych w rodzaju C-cztery. – Lane spojrział prosto na mnie. – Nawiasem mówiąc, w bombie, która eksplodowała w naszej bejruckiej bazie, wykorzystano prekursory. Był pan tam. Otrzymaliśmy niedawno nowe dowody, po tylu latach. Wkrótce powinniśmy mieć dobre nowiny.

W sposobie, w jaki to powiedział, było coś dziwnego. W tym: „Był pan tam”. Zabrzmiało to jak na wpół pytanie, na wpół stwierdzenie. W tyle mojej głowy odezwało się echo z przeszłości. Niedawno słyszałem coś podobnego, ale nie mogłem sobie przypomnieć kiedy i gdzie.

– Panie Reacher? – ponaglił mnie Lane. – Materiały.

– Pociski artyleryjskie – odparłem. – Dendoncker ma ich od groma. Co najmniej trzysta. Trzyma je pod kluczem w szopie. Na terenie zamkniętej szkoły. Ma tam swoją bazę.

– Wie pan, co w nich jest?

– Nie.

– Nie widział pan książki kodów? Te pochodzące z terenu wroga są często mylnie oznakowane. Celowo. Żeby potwierdzić ich zawartość, potrzebna jest książka kodów.

Pokręciłem głową.

– Dobrze. Poda pan namiary i kogoś tam wyślę. Teraz sposób detonacji. Wiemy, że w swojej pierwszej bombie Khalil zastosował dwa zapalniki, czasowy i telefoniczny. Obydwa są dość powszechne. Natomiast w bombie, która do nas jedzie, zastosował trzy. Czasowy, telefoniczny i transponder. To dość niezwykle. Ale na razie nie wiem, czy transponder miał służyć jako zapalnik zapasowy, czy Khalil chciał tylko namieszać nam w głowach.

Milczałem.

– Wie pan, jak działają transpondery?

– Mniej więcej wiem, co robią, ale nie wiem jak.

– Dobrym przykładem jest uruchamianie silnika samochodowego.

Kiedy próbuje pan to zrobić, zainstalowany w stacyjce chip wysyła sygnał radiowy. Zamontowany w kluczyku transponder automatycznie na ten sygnał odpowiada i jeżeli odpowiedź jest prawidłowa, chip łączy obwód. Dlatego tak trudno jest odpalić na krótko współczesne samochody. Bo nawet jeśli połączy pan odpowiednie przewody, chip nie odbierze sygnału z transpondera i obwód pozostanie otwarty.

– Tak samo działa to w tej bombie?

– Tak przypuszczam. Oczywiście jeszcze jej nie widziałem i trzeba to sprawdzić. Ale jeśli Khalil dobrze opanował tę technikę, możemy mieć olbrzymi problem. Proszę sobie wyobrazić, że chce pan zaatakować jakiś cel, ale nie zna pan jego planu dnia. Co pan robi? Podkłada pan bombę na jego trasie i podrzuca mu transponder do kieszeni albo przyczepia go do kółka z kluczami. Wszyscy przejdą czy przejadą obok bomby bez najmniejszego szwanku. Ale kiedy zbliży się do niej właściwy cel... Bum!

– Dobrze. Powiedział pan, że transponder jest w kluczyku. Nie w samochodzie.

– Tak. Zainstalowany w samochodzie chip inicjuje komunikację. Kluczyk odpowiada.

– Więc chip w tej bombie działa jak ten w samochodzie?

– Zgadza się. Sprawdzę to, kiedy ją przywiozą, ale nie widzę innego sposobu.

– Jaki zasięg mają transpondery?

– Różny. Zależy od sterującej nimi aplikacji. W samolotach są używane do identyfikacji i w tym przypadku sygnał może pokonać wiele kilometrów. A jeśli używa się ich do otwierania drzwi, wystarczy kilka milimetrów. Włoży pan transponder do bomby i powinien zadziałać po-

dobnie, inaczej cel mógłby znaleźć się poza zasięgiem wybuchu. Chyba że bomba byłaby olbrzymia i nie obchodziłyby pana straty uboczne.

„Włóż pan transponder do bomby”. Znowu to samo. Lane znów to zrobił. Ni to stwierdzał, ni to pytał. I nagle mnie olśniło. Już wiedziałem, kogo mi przypomina. Michaela. Kiedy go znaleźliśmy, zamienił z siostrą kilka słów. Powiedziała: „Przyszłaś”. Albo „Przyszłaś?”. A najpierw zadał jej dziwne pytanie: „Dostałaś ostrzeżenie?”. Ona myślała, że było to wołanie o pomoc. Sygnał SOS. Absolutnie nie. Pomyślałem o tym, co znalazła. Na czym oparła ten wniosek. I wstałem.

– Przepraszam, ale muszę zadzwonić.

– Teraz? – Lane spojrział na zegarek. – Zaraz przywiozą tę bombę. Będę musiał wyjść. Nie może pan zadzwonić, kiedy wyjdę?

– Nie. – Stanałem w kącie sali i wybrałem numer doktora Houlliera. – To nie może czekać.

Kiedy doktor odebrał, spytałem, czy mógłbym porozmawiać z Michaeliem.

– To niemożliwe – odparł. – Przykro mi. Stracił przytomność.

– Znowu?

– Tak. Jakiś czas był przytomny, choć niewiele mówił. A jeśli już, to od rzeczy. Coś o poszukiwaniu piłki, bramki czy czegoś tam.

Podziękowałem mu, rozłączyłem się, natychmiast zadzwoniłem ponownie i poprosiłem do telefonu Michaelę.

– Mógłby pan się pospieszyć? To ważne.

Podeszła pół minuty później.

– Co się stało? Mów, tylko szybko. Chcę wrócić do brata.

– Zadam Ci pytanie, a Ty dobrze się zastanów nad odpowiedzią. Nie zgaduj. Odpowiedz tylko wtedy, kiedy będziesz stuprocentowo pewna. Okej?

– Dobra, pytaj.

– Ta prezerwatywa. Ta, którą przysłał Ci Michael. Jakiej była marki?

– Trojan.

– Na pewno?

- Na sto procent.

Prezerwatywa. Ulotka reklamowa. I Płowy Deresz.

Michael próbował powiedzieć siostrze, że bomba, którą dostała do zbadania w TEDAC, jest koniem trojańskim. Ale Michaela źle go zrozumiała. Zrobiła dwa błędne założenia: że bomba z wiadomością od brata ma eksplodować. I że ukryty w niej transponder jest zapalnikiem.

Dawałem głowę, że było zupełnie inaczej. Bomba była jedynie nośnikiem. Miała dostarczyć transponder. Do miejsca, gdzie mogło trafić tylko improwizowane urządzenie wybuchowe. Zamontowany w niej transponder nie miał jej detonować. Miał detonować coś innego. Do czego nie doszło. Ponieważ Michaela zafiksowała się na odcisku palca brata. Nie zdawała sobie sprawy, że wysłał ten odcisk tylko po to, żeby bomba do niej trafiła. Albo że odcisk jest dodatkowym potwierdzeniem jego ostrzeżenia. Nie lubiła zagadek. Była zbyt pedantyczna. Założyła, że widzi to, co widzi. Pograżający dowód rzeczowy. Dlatego go zniszczyła.

Zniszczyła pierwszy transponder. Ale właśnie nadjeżdżał drugi. W bombie dymnej. Miała tu być za kilka minut. W tym budynku. Gdzie pracowało dwieście osób. Gdzie roiło się od unikalnych urządzeń i bezcennych dowodów rzeczowych. Nic dziwnego, że Dendonckerowi tak bardzo zależało na tym, żebym ją przewiózł. Od samego początku chciał, żeby trafiła do TEDAC.

Lane uniósł brwi.

– Przerywa pan spotkanie, żeby porozmawiać o prezerwatywach?
Co się z panem dzieje?

Pierwszą bombę Michaela przywieziono do TEDAC wiele tygodni temu, z pierwotnie nietkniętym transponderem. Ale kompleks nie wyleciał w powietrze. A więc tego, co transponder miał zdetonować, wtedy tu nie było. Przyjechało później.

– Ostatnie trzy tygodnie – spytałem. – Czy w tym czasie dostaliście coś nowego?

Lane znów spojrzał na zegarek.

– Oczywiście.

– Coś wyjątkowo dużego?

– Nie mogę udzielać takich informacji. Są zbyt wrażliwe.

– Niech pan przestanie. To ważne.

– Dlaczego?

– Długa historia. Gość lubiący zagadki wysłał ostrzeżenie, że transponder zainstalowany w bombie, która właśnie tu jedzie, ma detonować nie tę bombę, tylko coś innego.

Lane uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Nie. To nie trzyma się kupy. Urządzenie, które już tu jest, musiałyby mieć odpowiedni transponder. A takiego urządzenia tu nie ma.

– Na pewno? Mówił pan, że niektóre muszą czekać, zanim je zbadać.

– Klasyfikujemy je pod względem ważności. Owszem, niektóre muszą czekać. To prawda. Ale nie wrzucamy ich do szafy. Nie zsuwają się niepostrzeżenie z tapczanu. Kiedy tu trafiają, są poddawane wstępnym oględzinom. Fotografujemy je. Spisujemy części. Transpondery to rzadkość. Gdyby tu jakiś był, na pewno bym o tym wiedział.

– Te oględziny... Przeprowadza się je bez żadnego wyjątku?

– Sprawy priorytetowe są natychmiast kierowane do działu analiz, który zajmuje się dokumentacją i archiwizacją. To część ich pracy. Pozostałe urządzenia przechodzą inspekcję wstępną. Tak, bez żadnego wyjątku. – Lane zmarszczył czoło. – Właściwie to był jeden wyjątek. Bom-

ba na ciężarówce. Gigantyczna. Niszczycielka miast. Z zagranicy. Ciężarówka była tak duża, że nie zmieściła się w bramie, więc od razu ją odesłaliśmy. Do naszej dawnej siedziby. W Quantico. Jest tam wielki plac. Zmieszczą się na nim dziesiątki takich ciężarówek.

– A gdyby przywieziono coś podczas naszej rozmowy?

– Tak, to możliwe. – Lane wyjął telefon, zadzwonił i zamienił z kimś kilka słów. – Nie. Dzisiaj nic nowego nie przyszło.

Mrowienie na moim karku przybrało na sile.

– Kiedy przywiozą bombę M... Khalila, zatrzymajcie ją przed bramą. Nie wpuszczajcie jej na teren kompleksu.

– To niemożliwe.

– Dlaczego? Tę wielką zatrzymaliście.

– Transportowano ją drogą lądową. Pod eskortą. Bomba Khalila leci samolotem. Bez eskorty. A bez eskorty nie można przewozić jej drogami publicznymi. Co będzie, jeśli to bomba chemiczna i zdarzy się wypadek? Mogłoby zginąć wielu ludzi tylko dlatego, że odesłaliśmy ją wbrew obowiązującym przepisom. Bez żadnego konkretnego powodu. Tylko dla pańskiego kaprysu.

– Ale...

Rozległo się pukanie do drzwi i do sali wszedł inny agent. Młodszy. Najwyraźniej nowy i chętny do pracy.

– Już tu jest – zameldował. – Bomba z Teksasu.

– Znakomicie. – Lane wstał i ruszył do wyjścia. – Zostań. Dotrzymaj towarzystwa panu Reacherowi. Wróć, kiedy skończymy inspekcję.

• • •

Wciąż myślałem o tej gigantycznej bombie. Lane nazwał ją niszczycielką miast. Źle to brzmiało. Wprost fatalnie. Na szczęście już ją stąd wywieźli. To pewnie ją miała zdetonować bomba Michaela. Na sto procent. Bo tylko tej dokładnie nie obejrzano, a wszystkie pozostałe nie miały transpondera. Nagle zdałem sobie sprawę z czegoś innego. To, że ją

odesłano, mogło być powodem, dla którego Dendoncker zmienił zdanie. Stąd faks z poleceniem, żebym nie ruszał się z hotelu. Jeśli miał wtyczkę w TEDAC, wiedział, że nie ma sensu wysłać drugiego transpondera.

Spojrzałem na agenta.

– Ta wielka bomba. Niszczycielka miast. Ta, która nie zmieściła się w bramie. Kiedy ją odesłano? Muszę wiedzieć dokładnie. Co do minuty.

– Zaraz sprawdzę. – Agent zadzwonił i odbył rozmowę pełną gestykulacji i zmieniających się min. – Wciąż tu jest. Nie wywieziono jej. Wóz eskorty się zepsuł i na razie nie mają innego.

– Gdzie teraz jest?

– Na parkingu między tym budynkiem i... Budynkiem.

– Kiedy ją przywieziono?

– Wczoraj. Około północy... Chyba.

– Dzwon do Lane'a. Powiedz mu, żeby nie wpuszczał tej nowej za bramę. Pod żadnym pozorem.

– Proszę się nie niepokoić. Tę wielką już rozbroiliśmy. W trybie pilnym. Miała trzy systemy detonacyjne i wszystkie odłączyliśmy.

– Transponder też?

– Nie. Transpondera w niej nie było. Był zapalnik telefoniczny, magnetyczny i światłoczuły.

– Dzwon do Lane'a – powtórzyłem. – Natychmiast. Nie ma czasu na wyjaśnienia.

Agent wybrał numer, przytknął komórkę do ucha i pokręcił głową.

– Zajęty.

– Dzwon do kierowcy.

– Dobrze. Jaki to numer?

– Nie mam pojęcia.

– A nazwisko?

Wzruszyłem ramionami.

– Żaden problem. – Agent zastukał w klawiaturę telefonu i przeciągnął palcem po ekranie. – Wejdę do sieci wewnętrznej. Poszukam listy pracowników...

- Nie ma czasu. Na jakiej ciężarówce leży ta niszczycielka?
- Na wojskowej. Starej. Dwuipółtonowej M trzydziestcepiątce.
- Co jest dalej? Ciężarówka czy brama?
- Brama.
- Więc pędź do bramy. Ale już. Biegiem. I próbuj złapać Lane'a. Musisz go zatrzymać.

Wypadłem na korytarz. Sprintem dobiegłem do wyjścia. Pchnąłem drzwi. Skręciłem i między budynkami zobaczyłem ciężarówkę. Staralem się nie myśleć, co na niej leży. Podbiegłem do drzwi od strony kierowcy. Szarpnąłem za klamkę. Ani drgnęły. Co było dziwne, bo tego rodzaju ciężarówki nie mają zamka. Wtedy ją zauważyłem. Kłódkę. Jej pałąk tkwił w dziurze w drzwiach. Pewnie zahaczał o jakąś część nadwozia.

Rozejrzałem się. Wzdłuż ściany budynku biegł wąski rowek. Wypełniony kamieniami. Białymi, dekoracyjnymi. Wybrałem największy, jaki mogłem znaleźć, i grzmotnąłem nim w kłódkę. Poprawiłem i puściła. Wyciągnąłem ją z dziury. Odrzuciłem na bok. Rzuciłem kamień. Stałem na stopniu, po czym wcisnąłem się na fotel. Co nie było łatwe, bo nie miał regulacji. Wdepnąłem pedał sprzęgła. I spróbowałem przypomnieć sobie, jak uruchamia się silnik. Minęło wiele lat, odkąd ostatni raz siedziałem za kierownicą takiego wozu. Wiedziałem, że nie kluczykiem. Że odpala się go na trzy takty. Powiodłem wzrokiem po gałkach, dźwigniach i wskaźnikach. Większość była nieoznakowana. A kilka miało napisy po arabsku, co nic mi nie mówiło. Skupiłem się na drążku sterującym na środku deski rozdzielczej. Wydawał się znajomy. Przekręciłem go. Dwadzieścia stopni w lewo, bo dalej się nie dało. Po lewej stronie wypatrzyłem przycisk z rączką w kształcie uchwytu szpadla. Pchnąłem go i nacisnąłem czerwony guzik po prawej, na wysokości kolan. Ciężki, stary diesel jęknął, kaszlnął i ożył. Wrzuciłem jedynkę. Była

tam, gdzie w większości samochodów jest dwójka. Zwolniłem hamulec ręczny i powoli puściłem pedał sprzęgła. Ciężarówka zadygotała i ruszyła.

Przed maską miałem drogę prowadzącą do podnoszonych drzwi na tyłach budynku laboratoryjnego. Gdybym nią pojechał, znalazłbym się bliżej ciężarówki, od której chciałem być jak najdalej. Dlatego skręciłem w lewo. Okrążyłem Budynek, znów skręciłem w lewo, minąłem go i znalazłem się na terenie piknikowym. Pełnym stołów i parasoli. Nie sposób było tamtędy przejechać. Stoły stały zbyt blisko siebie. Więc kilka stara nowałem i po prawej stronie, za rzędem ośmiu budynków sąsiadujących z kompleksem, zobaczyłem bitą drogę. Budynki były nowe. A drogą dojeżdżano pewnie na plac budowy. Biegła za ogrodzeniem, więc przebiłem się przez nie, wyprostowałem kierownicę i dodałem gazu.

Usłyszałem syreny. Z tyłu. Zerknąłem w lusterko na drzwiach. Strasznie się trzęsło. Widziałem tylko dwa czarne samochody z dyskoteką na dachu. Doganiali mnie. Ale dogonić to za mało. Musieli mnie jeszcze zatrzymać. Nie miałem pojęcia, jak zamierzają to zrobić. Czy wiedzą, co wiozę. Jak bardzo są brawurowi. Albo jak głupi. Uznałem, że jestem jakieś trzysta metrów od budynku laboratoryjnego. Mniej więcej tyle, ile wynosiła szerokość całego kompleksu. Transponder w bombie dymnej nie miał chyba tak dużego zasięgu. Samochody były tuż za mną. Jeden zniknął z pola widzenia. Pewnie próbował zajechać mi drogę z boku. Pojawiły się dwa kolejne. Z przodu. Uznałem, że tyle powinno wystarczyć, i zdjąłem nogę z pedału gazu. Zredukowałem biegi. Wcisnąłem hamulec. I zatrzymałem się najłagodniej, jak potrafiłem. Zdjąłem koszulę i wywiesiłem ją za okno. Nie była biała, ale miałem nadzieję, że tamci zrozumieją, o co mi chodzi.

• • •

Następną godzinę spędziłem w sali konferencyjnej 1, z dwoma uzbrojonymi agentami. Obaj milczeli, co mi pasowało. Siedziałem na tym sa-

mym krześle co przedtem. Nisko pochylony, z głową opartą na rękach. Słuchałem Magic Slima. A potem Shawna Holta.

Wyprostowałem się dopiero wtedy, kiedy wrócił Lane. Podeszedł do stołu i postawił na nim małe pudełko. Czarne. Zakurzone. Ze sterczącymi z rogu kolorowymi drutami.

– Jestem winny panu przeprosiny – powiedział. – I podziękowania. Terrorysty mają dzisiaj zły dzień. – Wskazał pudełko. – Znaleźliśmy to w tej dużej bombie. W niszczytelce. Nadajnik i odbiornik, dwa w jednym. Zgrany z transponderem w bombie dymnej. Gdyby transponder znalazł się w jej zasięgu, Redstone Arsenal zniknąłby z powierzchni ziemi. My też. I tysiące innych.

Milczałem.

– Jedno pytanie. – Lane usiadł. – Skąd pan wiedział?

Ostrzegł mnie Michael. I desperackie poczynania Dendonckera. Ale nie chciałem w to wchodzić. Lane zasypałby mnie kolejnymi pytaniami, na które nie miałem ochoty odpowiadać. Dlatego odparłem:

– To żadna tajemnica. Miałem fart.

– A motyw? Khalil chciał zniszczyć urządzenia, które tu przechowujemy?

– Zniszczyć urządzenia, tak. Khalil, nie. – Nie miałem na to dowodu. Tylko przeczucie. Co znaczyło, że Pacyfik musi jednak zaczekać.

55

– Nie przyjdzie – powiedziała Michaela. Znowu.

Pierwszy raz powiedziała to, kiedy spotkaliśmy się na małym lotnisku godzinę jazdy od Los Gemelos.

Drugi, kiedy usiadła za kierownicą wielkiego cadillaca doktora Houlliera.

Trzeci, czwarty i piąty, kiedy samochód mięciutko płynął do miasta długimi, prostymi drogami.

Szósty, kiedy zaparkowaliśmy przed domem Dendonckera.

Siódmy, kiedy szliśmy tunelem.

Ósmy, kiedy sprawdziliśmy, czy wciąż są tam pieniądze i narkotyki.

Dziewiąty, kiedy upewniliśmy się, że z warsztatu zabrano ostatnią bombę dymną jej brata.

Dziesiąty, kiedy usiedliśmy pod ścianą w dawnej sali gimnastycznej.

Za każdym razem odpowiadałem tak samo:

– Przyjdzie.

– Skąd ta pewność?

– Nie ma wyboru. Jego plan wziął w łeb. Co znaczy, że nie może zostać w Stanach. Ani wrócić do Bejrutu. Znajdzie się na listach poszukiwanych we wszystkich krajach. Więc będzie musiał przywarować. Na zawsze. Dlatego przyda mu się każdy cent. Każda cenna rzecz, którą da się sprzedać.

– A jeśli FBI już go złapało? Próbował wysadzić w powietrze TEDAC. Są napaleni jak cholera.

– Jasne. Ale nie wiedzą, gdzie go szukać.

– Nie powiedziałaś im?

Pominałem to milczeniem.

– Niesamowite. Masz kolejny medal. Dobra, ale jeśli go jednak znajdują, na własną rękę? Albo jeśli mylisz się co do jego planu? Jeśli źle coś zrozumiałaś? Jeśli jego plan nie wziął jednak w łeb?

– Wtedy nie przyjdzie.

Dała mi kuksańca w bok i czekaliśmy dalej.

• • •

Dochodziła siódma wieczorem. Minęło dwanaście godzin, odkąd obudził mnie dzwonek telefonu. Sześć godzin, odkąd włamałem się do ciężarówki z niszczycielką. Słońce opadało coraz niżej i niżej. Wszystko to, czego dotknęło swoimi promieniami, stawało się pomarańczowe albo różowe. Gdyby taki zachód zdarzał się tylko raz na sto lat, nie każdy by go oglądał. Kolory zmieniały się co sekundę. Cienie wydłużały się i przesuwaly. Niebo płowiało i szarzało. Nagle ukazały się dwa jaśniejsze punkciki. Nisko. Tuż nad ziemią. Ruchome i coraz większe. Zmierzaly w naszym kierunku.

Reflektory.

Przeszliśmy do stołówki. Zostawiając lekko uchylone drzwi, przez które wyglądaliśmy. Minęło pięć minut. Minęło dziesięć. A potem wysokie okna rozświetliły się jak olbrzymie lustra. Po chwili zgasły. Otworzyły się zewnętrzne drzwi. I wszedł Mansour. Za nim Dendoncker. Ruszyli prosto do aluminiowych pojemników. Tych pełnych pieniędzy i prochów.

Jako pierwsza do akcji wkroczyła Michaela. Ze zdobycznym uzi. Podniosła je i wymierzyła w pierś Dendonckera.

– Hej, Ty! Pod ścianę. I łapy do góry.

Nie wahał się. Nie był głupi. Zrobił, co kazała.

A ja zbliżyłem się o krok do Mansoura. Który uśmiechnął się i gestem ręki zachęcił mnie, żebym podszedł jeszcze bliżej.

– Nie musisz – powiedziałem. – Wiesz, że przegrasz. Wracaj do samochodu. Przyślę Ci szefa, kiedy już sobie pogawędzimy. Zakładając, że będzie mógł chodzić.

Mansour podniósł ręce nad głowę i zaczął je opuszczać. Powoli, szerokim łukiem. Z palcami w strzałkę. Jakby demonstrował jakiś układ ze sztuk walki. Nie wiem, może miało to coś symbolizować. Albo mi zaimponować. Albo mnie wystraszyć. Tak czy inaczej, nie chcąc, żeby skończył i ewentualnie zyskał przewagę, podbiegłem bliżej i kopnąłem go w prawe kolano. Brutalnie. Na tyle mocno, że każdemu innemu roztrząskałbym rzepekę. Ale on tylko stęknął i wyprowadził hak w moją głowę. Uchyliłem się, huknąłem go w nerkę, a drugą pięścią w podbródek. Włożyłem w cios wszystkie siły. Zadałem go w idealnym tempie. W odpowiednim momencie stanąłem na czubkach palców. Gdybym miał normalnego przeciwnika, walka natychmiast dobiegłaby końca. Z nim też prawie dobiegła. Bo zachwiał się i odskoczyła mu do tyłu głowa. Zaczął osuwać się na podłogę. Gdyby upadł, byłoby po nim. Nie pozwoliłbym mu wstać. Ale uratowała go ściana. A raczej przytwierdzone do niej drabinki gimnastyczne. Grzmotnął plecami w środek segmentu trzymetrowej wysokości i prawie dwumetrowej szerokości. Bardzo sprężystego. Co zamortyzowało siłę uderzenia. Pozwoliło mu utrzymać się na nogach. Pochylił się do przodu. Zatrask puścił i drabinki, z prawej strony zamontowane na zawiasach, podążyły za Mansourem. Obróciły się o dziewięćdziesiąt stopni i zatrzymały, celując w salę. Pewnie było to coś w rodzaju toru przeszkód dla dzieciaków trenujących kondycję.

Mansour podniósł ręce.

– Dobra. Wygrałeś. Mam dość.

Zrobił krok w moją stronę. Chwiał się na nogach. Ciężko sapał. Miał chrapliwy oddech. Zrobił drugi krok. Potem trzeci, szybki. Zacisnął pięści. I wyprowadził prawy prosty w moją twarz. Odparowałem go i odskoczyłem w bok. Ale właśnie o to mu chodziło, bo brał już zamach dru-

gą ręką. Za późno się spostrzegłem. Zrobiłem unik, skręciłem się w pasie, oberwałem w ramię i poczułem się tak, jakbym wpadł pod pociąg. A on już szykował się do zadania kolejnego ciosu. Zaparłem się nogami. Odchyliłem w przeciwną stronę. Podniosłem rękę. I grzmotnąłem go łokciem w skroń. Każdemu innemu roztrzaskałbym czaszkę. Mansour rozdziawił usta. Bezwładnie opadły mu ręce. Nie czekałem. Zmieniłem kierunek i przyłożyłem mu w drugą skroń. Zachwiał się. Zmiękły mu nogi. Tym razem naprawdę. Teraz miałem okazję. I nie zamierzałem jej zmarnować. Zresztą kto miałby mnie powstrzymać? Uderzyłem go trzy razy prosto w twarz. Trzema szybkimi ciosami lewą ręką. Zatoczył się do tyłu. Zmieniłem ręce i prawą wyprowadziłem potężnego haka z dołu, w brzuch. Mansour zgiął się wpół. Wyprostowałem go i uderzyłem kolaniem w twarz. Poleciał do tyłu. Podszedłem do niego i nasadą prawej dłoni poprawiłem w podbródek. Uderzył skronią w ścianę i przewrócił oczami. Ugięły się pod nim nogi. Opadł na kolana. Chwiał się przez chwilę, lecz zanim zdążył upaść, kopnąłem go w głowę. Obrócił się, runął na podłogę i wylądował na brzuchu. Z szeroko rozrzuconymi rękami. I twarzą w szparze między podłogą i podstawą drabinek. Wiedziałem, że już nie wstanie. Ale pewności nigdy za wiele. Podszedłem bliżej. I nastąpiłem na podstawę czaszki. Poczułem, jak pęka kręgosłup. I na pewno pękł.

Dendoncker stał nieruchomo, patrząc na ciało Mansoura. Twarz miał bladą i bez wyrazu.

Michaela trzymała go na muszce. Podszedłem bliżej i obszukałem go. W kieszeni miał malutki rewolwer, kolejny NAA-22S. Zatknałem go za pasek.

– Dałem Mansourowi szansę. Mógł wyjść. Teraz taką samą daję Tobie. Pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Że powiesz prawdę.

• • •

Dendoncker zwilżył usta.

– Co chcesz wiedzieć?

– Jak zdobyłeś transponder z odciskiem palca Nadera Khalila?

– Niczego nie zdobyłem. On i Michael mnie oszukali. Współpracowali ze sobą za moimi plecami. Kupiłem bajeczkę Michaela o tym dymnym proteście. Nie miałem pojęcia, że coś knują.

Michaela wycelowała w niego z uzi.

– Mam go zastrzelić?

Podniósł rękę, jakby mogło go to ochronić przed serią kul. Chwyciłem go za nadgarstek, zawlokłem do drabinek i rzuciłem na kolana. Podniosłem mu głowę. I pchnąłem, tak że jego twarz znalazła się centymetry od twarzy Mansoura.

– Dobrze pomyśl. Chcesz skończyć jak on?

– Kupiłem go... ten odcisk. – Dendoncker rozpaczliwie próbował odsunąć się od ciała. – Zajęło mi to wiele lat. Kosztowało mnóstwo pieniędzy. Ale w końcu znalazłem kogoś, kto był gotów go zdradzić.

Pozwoliłem mu wstać.

– Mów.

– Wysłałem do Bejrutu moją pracownicę, z cateringu. Z pieniędzmi. I przywiozła odcisk. Na taśmie klejącej. Zdjęty z kieliszka. Dał się łatwo przenieść na transponder.

– Kiedy to było?

– Kilka tygodni temu. – Dendoncker wskazał Michaelę. – Dlatego ją zatrudniłem. Bo wysłałem dwie kobiety. Jedna została w Bejrucie. Jako część ceny.

– Uprzedziłeś ją? Tę, która została.

– Oczywiście, że nie. Ta, która wróciła, też nic nie wiedziała. Myślała, że tamta zginęła w wypadku.

– Co się stało z pozostałymi? Z tego, co słyszałem, pracowało u Ciebie sześć kobiet. Pięć, wyłączając Michaelę.

– Jedna knuła coś z jej bratem. Uciekła. Dwie jadą ze mną. Reszta... odejdzie.

Kątem oka zauważyłem jakiś ruch. To Michaela szła do wyjścia. Tak jak się umówiliśmy.

– Wykorzystałeś odcisk, żeby zrobić Khalila – podsumowałem. – Bo tak naprawdę nie miał z tym nic wspólnego.

Dendoncker kiwnął głową.

– Khalil chciał Cię zabić – ciągnąłem. – Musieliście się o coś pokłócić.

Ponownie kiwnął głową.

– Dlatego oglądałeś ciała wszystkich tych, którzy na Ciebie polowali. To była nie tylko paranoja.

– Nasyłał na mnie swoich ludzi wiele razy. Liczyłem na to, że kiedyś pojawi się sam. I mu się nie uda. Byłbym wreszcie wolny.

– O co się poróżniliście?

Znów zwilżył usta.

– Jego ojciec obwiniął mnie o śmierć swojego drugiego syna. Kiedy umarł, Khalil przejął po nim pałeczkę.

– Brat Khalila zginął. Prowadził ciężarówkę z bombą. W Bejrucie.

– Rywalizowaliśmy ze sobą, jego ojciec i ja. Byłem młody. Ambitny. Chciałem przejąć dowództwo naszej grupy, wejść na skróty na szczyt drabiny. A on stał na mojej drodze. Myślałem, że strata syna go załamie. Że sam odejdzie. Mógłbym wtedy zająć jego miejsce. – Dendoncker wzruszył ramionami. – Pomyliłem się. Stał się jeszcze silniejszy. Jeszcze twardszy.

– Kazałeś jego synowi pojechać z bombą do koszar? Zmusiłeś go?

– Nie. Pomogłem mu tylko podjąć decyzję.

– Podejrzewam, że jego ojciec nie widział tej różnicy.

Dendoncker pokręcił głową.

– A więc dostrzegłeś okazję, żeby pozbyć się Khalila. O to chodziło?

– O to. Tylko tak mogłem kupić sobie wolność.

– Według mnie chciałeś załatwić to w trzech krokach. Kazałeś Michaelowi zbudować bombę. Ten niby-niewypał. Podrzuciłeś ją gdzieś, gdzie na pewno by ją znaleziono. Miała wbudowany nadajnik GPS, żebyś wiedział, kiedy trafi do TEDAC. Nadajnik GPS i transponder. Wiedzieliś, że w TEDAC dokładnie ją obejrzą, szczegółowo opiszą i zatrzymają do dalszych badań.

Dendoncker milczał.

– Krok drugi to ta niszczycielka. Miała zostać przetransportowana na teren kompleksu i zdetonowana za pomocą transpondera w bombie Michaela.

W mojej kieszeni zawibrowała komórka. Co znaczyło, że Michaela znalazła w jego samochodzie to, czego szukała.

– Jedno pytanie – dodałem. – Jak ją zdobyłeś?

Dendoncker wzruszył ramionami.

– Tak jak wszystko inne. Kupiłem.

– Dobrze. Więc niszczycielka wybucha i TEDAC znika z powierzchni ziemi. Krok trzeci. Ktoś znajduje bombę dymną. Opartą na takiej samej technologii. Bombę i odcisk palca Khalila.

– Tak miało być.

– Ale ten pierwszy transponder nie zdetonował niszczycielki.

– Nie. Nie mam pojęcia dlaczego. Powinien.

Uśmiechnąłem się. Korciło mnie, żeby mu powiedzieć, że transponder się nie zepsuł. Że nie miał ku temu okazji. Bo Michaela zniszczyła go wiele tygodni wcześniej. Ale oparłem się pokusie. Nie chciałem, żeby Dendoncker się zdekoncentrował. Musiał odpowiedzieć na kilka ważnych pytań.

– W takim razie dlaczego kazałeś mi zostać z bombą w motelu? Dlaczego nie chciałeś, żeby pojechała do TEDAC i żeby transponder zrobił swoje?

– Owszem, ta, którą wiozłeś, miała taki sam transponder. I wywołałaby wybuch niszczycielki. To prawda. Ale nie chciałem zmarnować odcisku palca.

– Zmarnować?

– Tak. Kosztował krocie. Dwa miliony dolarów i dobrą pracownicę. Ten odcisk mógłby przetrwać wybuch zwykłej bomby. Ale bomby o tej mocy? Uległyby zniszczeniu. A nawet jeśli nie, wyobraź sobie skutki eksplozji. Tam są setki tysięcy urzędzeń. Mógłby się łatwo zawieruszyć między ich szczątkami. Na zawsze.

– Rozumiem. Co zrobiłeś po pokazie, który dla mnie urządziliście? Dodałeś coś do bomby, zanim ją wywiozłem?

– Nie. Po co miałbym to robić?

– Bo nie chciałeś zmarnować odcisku palca. Litera „T” w TEDAC oznacza terrorystę. A nie uczestnika protestu. Czy kogoś, kto chce zwrócić na siebie uwagę. Pracujący tam ludzie są ekspertami. Nie zrywają się z łóżka na widok obłoczka dymu. Więc jeśli nie podrasowałeś czymś bomby, trafiłaby najwyżej do ich placówki terenowej. Albo na najbliższy

posterunek policji. Gdzie długo po Twojej śmierci zbierałaby kurz w jakiejś pakamerze.

– Nieprawda. Prasa narobiłaby krzyku i Ci z TEDAC by ją zabrali. Niczym jej nie podrasowałem.

– Nie posmarowałeś jej od zewnątrz VX?

– Tym środkiem bojowym? Skąd miałbym go wziąć?

– Nie posmarowałeś nim pocisków ani nie wlałeś go do środka?

Wróciła Michaela i została przy drzwiach. Zdjęła lateksowe rękawiczki i schowała je do kieszeni.

– VX jest bronią masowej zagłady – odparł Dendoncker. – Nigdy bym czegoś takiego nie tknął.

– A trzecia bomba dymna? Ta, która została w warsztacie. Tej też nie napełniłeś VX?

– Ta ostatnia? Nie wiem nawet, gdzie jest. – Wskazał ciało Mansoura.

– Miał się jej pozbyć. Nie mam pojęcia, co z nią zrobił.

– A więc nie podrasowałeś pierwszej bomby ani drugiej. I nie wiesz, gdzie jest trzecia. Piękna bajeczka. Chcesz, żebym w nią uwierzył?

– To nie jest bajeczka.

Zaczekałem chwilę, dając mu ostatnią szansę na szczere wyznanie. Ale z niej nie skorzystał. Dlatego rzuciłem:

– Dobrze. Postanowiłem Ci uwierzyć.

– I mogę już iść?

– Za moment. Nie rozumiem jeszcze czegoś. Chciałeś wysadzić coś w powietrze i zwalić winę na Khalila. Ale dlaczego wybrałeś akurat TEDAC? Jest mnóstwo łatwiejszych celów.

Dendoncker potarł czoło.

– Pomyślałem, że jeśli zaatakuję coś należącego do FBI, wezmą to do siebie. Poruszą niebo i ziemię. Znajdą odcisk i...

– Nie. – Pokręciłem głową. – Myślę, że było inaczej. Dowiedziałeś się, że trzymają tam coś, co może Cię obciążyć. Co jeszcze nie wyszło na jaw. Ale mogło wyjść. Już wkrótce. Nagle ktoś zaproponował Ci odcisk palca Khalila. I dostrzegłeś szansę. Dwie pieczenie przy jednej bombie.

Milczał.

– Wiem, co to jest. Dodałem dwa do dwóch i wiem. Ale chcę usłyszeć to od Ciebie. I chcę, żebyś wszystkich przeprosił. Zrób to i puszczę Cię wolno.

Dendoncker wciąż milczał.

Wskazałem ciało Mansoura.

– Inaczej odejdziesz z tego świata tak jak on. Twój wybór.

Wziął głęboki oddech.

– Dobrze. Bomba z zamachu w Bejrucie. To nie ja ją zbudowałem. Ale szkoliłem tych, którzy to zrobili. Dotykałem jej części.

– Byłeś ich szkoleniowcem? Dlatego mogłeś wybrać kierowcę?

– Tak. I dlatego skojarzyłem Twoje nazwisko, kiedy zobaczyłem Cię w kostnicy. Zdobyłeś wtedy Purpurowe Serce. Ale przeczytałem o tym dopiero potem.

– Dobrze. I?

– Przepraszam. Bardzo mi przykro. Przepraszam wszystkich, których skrzywdziłem. Wszystkich, którzy przeze mnie zginęli.

Spojrzałem na Michaelę. Skinęła głową.

– Okej. – Cofnąłem się. – Możesz iść.

Dendoncker jakby wrósł w ziemię. Przez dwadzieścia sekund stał nieruchomo, nieprzytomnie strzelając oczami na wszystkie strony. Potem ruszył do wyjścia. Najpierw szedł powoli, potem szybkim truchtem. Dobiegł do samochodu. Wskoczył za kierownicę. Uruchomił silnik. I pojechał w stronę bramy.

Wyjąłem telefon. Na ekranie widniał komunikat, że nie odebrałem jakiegoś połączenia. Nie znałem tego numeru. Ale dobrze wiedziałem, kto do mnie dzwonił. I co chciał mi przekazać. Michaela nie na próżno poszła na przesłpiegi.

Nacisnąłem guzik, żeby oddzwonić.

– Na pewno chcesz to zrobić? – zapytała.

– Czemu nie? Jeśli nie skłamał, nic mu nie będzie.

– Skłamał, mówiąc, że nie wie, gdzie jest trzecia bomba. Wątpię, czy mówił prawdę o VX.

– Jego problem. Daję mu większą szansę, niż on dał dwustu czterdziestu jeden żołnierzom piechoty morskiej w Bejrucie.

Cadillac przystanął przed wewnętrzną bramą. Po ekranie komórki poznałem, że połączenie zostało odebrane. Brama zaczęła się rozsuwać. Po chwili rozsunęła się na tyle, że samochód mógł przejechać. Ale cadillac nie ruszył. Brama otworzyła się na całą szerokość. Samochód ani drgnął. Nagle zgasły światła stopu i wóz potoczył się przed siebie. Powoli, w tempie piechura. Zatrąbił klakson. Samochód toczył się dalej. Lekko zboczył w lewo. I wpadł na ogrodzenie.

Z wciąż trąbiącym klaksonem.

– Chcesz zerknąć? – spytała Michaela. – Sprawdzić, czy dodał VX do dymu?

Pokręciłem głową.

– Ani myślę. Ten wóz nie jest hermetyczny. Dendoncker jest już tam, gdzie od dawna powinien być. Nie mam zamiaru do niego dołączać.

Ostatni raz widziałem ją dwanaście godzin później. Spotkaliśmy się za miastem. Na drodze. Ja szedłem piechotą. Ona jechała jeepem. Wyprzedziła mnie z rykiem silnika, gwałtownie skręciła w lewo i zatrzymała się z przednim zderzakiem o milimetry od pnia drzewa. Karłowatego, powyginanego szkaradztwa, prawie pozbawionego liści, lecz najwyraźniej odpornego i wytrzymałego, bo oprócz niego w promieniu wielu kilometrów nie rosło nic, co sięgałoby powyżej moich kolan.

– Odszedłeś bez pożegnania.

Wzruszyłem ramionami.

– Wszyscy spali.

– Dzwoniłam do Ciebie.

– Nie mam już telefonu. Wyrzuciłem go do kosza na śmieci.

– Tak myślałam. Dlatego Cię szukałam. I pomyślałam o tej drodze.

– Innej tu nie ma.

– Wciąż chcesz zobaczyć ocean?

– Inaczej nie spocznę.

– Nie zmienisz zdania?

Pokręciłem głową.

– W takim razie... chcę Ci podziękować. Michael też.

– Obudził się?

– Tak. Jest słaby, ale już mówi.

– Powiedział, czego Dendoncker tak rozpaczliwie szukał?

– Swojego ubezpieczenia. Tak to nazwał. Książki ze spisem kodów pokazujących, co jest w pociskach, które zeszkładował. Chciał je sprzedać, a dzięki książce mógł zażądać wyższej ceny.

– Gdzie Michael ją ukrył?

– Zwinął ją w rulon i wetknął do poprzeczki bramki piłkarskiej w szkole.

– Świetnie.

– Coś jeszcze... Zadzwoiłam do Sonii. I wiesz co? Podoba mi się. Kto wie, może to rzeczywiście moja przyszła szwagierka? Jeśli tak, to świetnie.

Milczałem.

Przechyliła głowę na bok.

– Nie zostaniesz chociaż dzień dłużej?

– To bez sensu. Po dziesięciu minutach miałabyś mnie dość. Błagałabyś, żebym sobie poszedł.

– Wątpię.

– Masz rację. – Odwróciłem się i ruszyłem przed siebie. – Zamiast błagać, pewnie byś mnie zastrzeliła.